CUD GOSPODARCZY DENGA
Jak następca Mao Zedonga umiał połączyć komunizm i kapitalizm

POLSKI KRÓL BEZ KORONY
Mieszko II niczym nie zasłużył sobie na przydomek Gnuśny

UTRACONA PERŁA CHRZEŚCIJAN
Hagia Sophia ma historię niemal tak starą i burzliwą jak samo Bizancjum

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 6(148)/2025 CZERWIEC 2025

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

ISSN 2299-9515 Nr indeksu 396 031

DO RZECZY HISTORIA

Chiny kontra Zachód

OD UPADKU DO MOCARSTWA

eprasa.pl/936f7d6ac4

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Zainwestuj w Do Rzeczy S.A. Kup Akcje Spółki!

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Idziemy na giełdę, by budować jeszcze mocniejsze, niezależne medium."



Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY
TYGODNIKA „DO RZECZY"



Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE NA **New/Connect (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl 93b77a6ac4

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Harbin, 1934 r.

Wychowankowie polskiej bursy w Harbinie (Chiny) z ks. Władysławem Ostrowskim



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Chiński skok

Widzimy to właściwie na każdym kroku. Auta elektryczne „Made in China" robią furorę na światowym rynku samochodowym, chińska fotowoltaika dawno już zmiotła europejskie firmy, a sieć superszybkich pociągów w Państwie Środka stała się wzorem dla reszty świata. Mało tego, w pełni zrobotyzowane fabryki i kolejne innowacje w dziedzinie AI sprawiają, że zachodni politycy (przede wszystkim amerykańscy) rwą sobie włosy z głowy, zastanawiając się, jak to możliwe, że dali się na tylu polach wyprzedzić ChRL.

Ten nieprawdopodobny wzrost potęgi jeszcze pół wieku temu byłby czymś niewyobrażalnym. Państwo Mao wciąż lizało rany po wielkim skoku, który spowodował śmierć głodową dziesiątek milionów Chińczyków.

Mało tego – jeszcze trzy dekady temu raczej nikt nie podejrzewał, że w niedługim czasie Chiny zagrożą gospodarczo USA, a ich marynarka wojenna stanie się największą (pod względem liczby jednostek) flotą świata.

W tym numerze przyglądamy się ostatnim dwóm stuleciom z perspektywy Pekinu. Cesarstwo, które uważało się za najważniejsze państwo na świecie, zostało szokująco szybko obezwładnione przez mocarstwa europejskie, USA, a także przez tak bardzo pogardzaną przez Chińczyków Japonię. Profesor Jakub Polit, jeden z najwybitniejszych polskich znawców dziejów Państwa Środka, tłumaczy w wywiadzie, jak te wydarzenia wpłynęły na chińską mentalność i na czym polegała próba odpowiedzi ze strony tamtejszych elit.

Pokazujemy też upadek cesarstwa i przyglądamy się przedziwnemu dworowi otaczającemu ostatnich władców. I wreszcie analizujemy przyczyny spektakularnego sukcesu gospodarczego Chin, który poprzedzony został przez rozkwit Hongkongu. Mimo że Daleki Wschód wciąż pozostaje dla Polaków tematyką nieco egzotyczną, warto rozumieć drogę, którą przebyły Chiny, zmierzając ku potędze. Nie bez przyczyny wielu analityków wieszczy, że XXI w. będzie stuleciem Pekinu. ©℗

eprasa.pl 93b77a6ac4



/ TEMAT NUMERU

.6 JAKUB POLIT
Z odmętów chaosu ku potędze

.12 ŁUKASZ CZARNECKI
Ostatni Syn Niebios

.16 PIOTR WŁOCZYK
Co się stało po Mao

.20 PIOTR SEMKA
Cud „Pachnącego Portu"

/ CZASY I LUDZIE

.24 LESZEK LUBICKI
Król bez korony

.28 SŁAWOMIR KOPER
Rzeczpospolita nad Amurem

.32 PIOTR WŁOCZYK
Wybawca z Mille Collines

.36 MAREK GĄZOWSKI
W cieniu wielkich

.40 MIKOŁAJ IWANOW
Polska iskra

.44 ANNA SZCZEPAŃSKA
Utracona perła chrześcijan

.48 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Tallińska reduta

.52 TOMASZ STAŃCZYK
Warmińskie Lourdes

.56 JAKUB OSTROMĘCKI
Polarna epopeja Shackletona

.60 TOMASZ KORNAŚ
Rosjanie losifa Antonowicza

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Pisarz chłopskiego losu

.64 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Albo–albo

.71 PIOTR SEMKA
Fenomen mścicieli

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Pokojowe wojny

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Amfibie na dnie

/ POD PRĄD

.81 PIOTR ZYCHOWICZ
Lewica, prawica, Izrael

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Z kanału do Bonda

eprasa.pl 93b77a6ac4

REPUBLIKA

Najlepsi goście, gorące dyskusje, ostre i ciekawe spory.
Ruszamy z nowym formatem programu! Wszystko
przy udziale publiczności i w nowym studiu Republiki.
Zachęcam do wyrażania opinii, zamieszczania komentarzy
i zadawania pytań **#KlubRepubliki** – zaprasza **Adrian Klerenbach.**



RepublikaTV **@RepublikaTV** **Telewizja Republika** **@RepublikaTV**

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 93b77a6ac4



Xi Jinping na Kremlu, 2023 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PRESIDENTIAL EXECUTIVE OFFICE OF RUSSIA

Wywiad / Z prof. Jakubem Politem, historykiem, znawcą dziejów Chin



rozmawia Piotr Włoczyk

Z odmętów chaosu ku potędze

W XIX w. chińskie elity przeżyły szok, widząc, z jaką łatwością najeźdźcy pokonali ich państwo. Unowocześnianie kraju było skomplikowanym procesem – po drodze doszło do katastrofy, którą musiało odrabiać całe pokolenie. Dzisiejsze Chiny znów trzymane są w żelaznym uścisku przez jedynowładcę, któremu marzy się hegemonia

PIOTR WŁOCZYK: Czy wojny opiumowe wciąż są w Chinach żywym tematem?

PROF. JAKUB POLIT: Jak najbardziej. I jest to podstawa pewnej historycznej manipulacji. Należy pamiętać, że ówcześni władcy Cesarstwa Chińskiego byli Mandżurami, czyli bardzo różnili się od swoich poddanych, choć – nawiasem mówiąc – i tak mocno się „schińszczyli". Mówimy oczywiście o dynastii Qing. Mandżurowie nie postrzegali tych wojen jako czegoś szczególnie ważnego. O wiele istotniejsze były dla nich rewolty wewnętrzne, na czele ze słynnym powstaniem tajpingów (1851–1864), podczas którego zginęło być może nawet 20 mln ludzi.

Inwazja zza morza oczywiście uderzała w prestiż dynastii panującej, ale jednak nie była postrzegana jako coś przełomowego. Wbrew temu, co sugeruje dziś oficjalny przekaz z Pekinu. Dla ówczesnych Chińczyków ważne były skutki długofalowe, czyli uświadomienie sobie, że w przeciwieństwie do inwazji Mongołów czy samych Mandżurów pojawił się ktoś, kto ma do zaoferowania dużo więcej niż

eprasa.pl 93b77a6ac4

tylko nagą siłę, nie chce się „schińszczyć", a – co więcej – z wyższością patrzy na świat chiński. To jednak zaczęto sobie uświadamiać dopiero po kilku dziesięcioleciach. Natomiast dziś w propagandzie chińskiej partii komunistycznej wojny opiumowe pokazywane są jako kluczowe wydarzenie, które jest symbolem krzywdzenia Chin przez zachodnich drapieżców. Ten mit został częściowo „kupiony" przez zachodnie elity.

W jakim sensie Zachód „kupił" ten mit?

Rozpatrywane jest to na Zachodzie nierzadko jako konfrontacja dobra ze złem. Któż nie współczułby narodowi, któremu Brytyjczycy wpychali – jak to jest powszechnie postrzegane – ohydny narkotyk? Mamy tu więc argument moralny. Nie tylko był to najazd, lecz także był to najazd z najbardziej nikczemnych pobudek.

Tymczasem z naszego polskiego punktu widzenia, ponieważ nie solidaryzujemy się z żadną ze stron, możemy na to spojrzeć jako na walkę dwóch imperiów: mandżursko-chińskiego, dążącego do uzyskania statusu hegemona na Dalekim Wschodzie, oraz brytyjskiego, które było swoistym „lodołamaczem". Za nim płynęły w stronę Chin mniejsze okręciki europejskich mocarstw, następnie amerykański, a na końcu japoński. Wszystkie one domagały się od Chin przywilejów, które wyszarpali dla siebie Brytyjczycy.

Dziś temat opium wraca, gdy Amerykanie żądają od Chin ograniczenia przemytu fentanylu.

A wtedy Chińczycy przypominają Amerykanom, że to Zachód kiedyś truł Chiny. Choć z drugiej strony partia obecnie rządząca w Chinach zbiła majątek na handlu opium. Podczas wojny chińsko-japońskiej przedstawiciele komunistycznej armii wyprawiali się do okupowanych przez Japonię części Chin, by pozyskać tam sadzonki opium. Większość dochodów partii Mao w latach 1940–1945 pochodziła właśnie ze sprzedaży tego narkotyku…

… sprzedaży zwykłym Chińczykom, jak rozumiem?

Dokładnie tak. Na skutek załamania się waluty i powszechnej inflacji opium było jedynym sensownym ekwiwalentem kruszcu.

Chiny okazały się wtedy, w połowie XIX w., typowym kolosem na glinianych nogach?

Na to wygląda. Chiny były zamkniętym, samowystarczalnym światem, więc przypominało to trochę najazd Marsjan na Ziemię z kart powieści Herberta G. Wellsa. Najpotężniejsze na świecie mocarstwo – jak myśleli o sobie Chińczycy – które nie ma żadnej konkurencji, nagle pada ofiarą agresji, wobec której zawiodła nie tylko ich broń, lecz także organizacja społeczna. Pamiętajmy, że o ile na morzu Brytyjczycy bezapelacyjnie górowali, o tyle na lądzie nie mieli przewagi ani technicznej, ani liczebnej. Okazało się jednak, że zmurszałe siły mandżursko-chińskie nie potrafiły się oprzeć uderzeniom nie tyle nawet Brytyjczyków, ile indyjskich sipajów w służbie brytyjskiej. Ci ostatni czasem samym wyciągnięciem szabli byli w stanie rozgonić siły chińskie.

Wraz z wojnami opiumowymi zaczęło się w Chinach „stulecie upokorzeń"…

… z tym że dopiero Mao wymyślił, że było to stulecie. Po prostu do przejęcia władzy w Chinach przez komunistów doszło mniej więcej 100 lat po wojnach opiumowych. Mao powiedział wtedy również, że od tej pory Chińczycy nie będą już narodem upokarzanym, jak podczas wojen opiumowych.

Wiek XIX wygląda w przypadku Chin jak jedno wielkie pobojowisko. Przecież wspomnianych przez pana 20 mln zabitych w trakcie samego powstania tajpingów po prostu nie mieści się w głowie.

I to niemal wyłącznie od broni białej, ponieważ wówczas sposób walki niewiele się różnił od tego, z którym mieliśmy do czynienia w średniowieczu. Nic podobnego w dziejach naszego zachodniego świata się nie wydarzyło.

To była wojna bratobójcza, mająca na celu zmianę dynastii, całkowite przenicowanie świata. Kontrastuje to z wiekiem XVIII, który był uznawany w Chinach za wiek potęgi i blasku. Po rebelii tajpingów pozostało natomiast jedno wielkie dymiące pobojowisko. Tym bardziej zdumiewa, że ideologia, która pchała do boju tajpingów – bardzo zdeformowane chrześcijaństwo – całkowicie właściwie wyparowała i dekadę po rebelii nie sposób było już znaleźć w Chinach ani jednego tajpinga.

Państwo Środka uważało wszystkich poza „środkiem" za barbarzyńców?

Prawdziwym człowiekiem był tylko Chińczyk Han, dookoła było jedynie barbarzyństwo. Natomiast Mandżurowie pełnili rolę specyficznych „Nadchińczyków". Z punktu widzenia Pekinu niemożliwe były równoprawne stosunki między państwami. Zanim jednak potępimy Chińczyków, pamiętajmy, że przez długie wieki mieli oni powody do takiego myślenia. Analogia do Imperium Romanum, które widziało wokół siebie w zasadzie jedynie barbarzyństwo.

> Chiny nie uczyły się od nikogo, one były dla siebie i Grecją, i Rzymem. **To od nich zapożyczano rozwój. Stąd ten szok w reakcji na to, co nastąpiło w XIX w.**

Chiny były odizolowane od wszystkich innych cywilizacji świata największym oceanem, najwyższymi górami i bezkresnymi pustyniami. Kontakty z obcymi odbywały się z prędkością koni idących przez największy na świecie step. W zasadzie były one incydentalne, z wyjątkiem czasów mongolskich, gdy wybity został korytarz z Chin do Europy. Aż do czasu wypraw portugalskich nie było bezpośrednich kontaktów! Nic więc dziwnego, że Chińczycy nie widzieli wokół siebie nikogo porównywalnego. Chiny nie uczyły się od nikogo, one były dla siebie i Grecją, i Rzymem. To od nich zapożyczano rozwój. Stąd ten szok w reakcji na to, co nastąpiło w XIX w. Owszem, zdarzało się wielokrotnie, że Chiny były zwyciężane na polu bitwy, dwukrotnie nawet całkowicie podbite – przez Mongołów i Mandżurów – jednak ci najeźdźcy górowali nad pokonanymi jedynie nagą siłą i błyskawicznie się sinizowali.

eprasa.pl 93b77a6ac4

Chińczycy zaczęli się postrzegać nieco inaczej po tym, gdy Brytyjczycy pokazali swoją wyższość?

Powoli i z wielkimi oporami. Chińskie elity próbowały przejąć od najeźdźców nowe technologie, jednak bez wprowadzania zmian w sposobie funkcjonowania społeczeństwa. Okazało się, że jest to niemożliwe. Jeżeli chcemy budować nowoczesne okręty wojenne, to musimy znać nawigację, czyli musimy zakładać, że Ziemia jest okrągła. Tymczasem było to całkowicie sprzeczne z modelem wszechświata znanym w Chinach. Mędrcy konfucjańscy mawiali przecież, że Chiny mają nie tylko własną moralność, lecz także własną astronomię…

Pamiętajmy o jeszcze jednym – chrześcijaństwo było, jak się okazało, nieodłącznym komponentem wiedzy zachodniej. A w Chinach elity okazały się stosunkowo odporne na nawrócenia, ponieważ cały świat zachodni był im głęboko obcy. Modernizację Chin przejmą w XX w. ludzie, którzy niemal w całości będą się wywodzili spoza tradycyjnych elit – byli to wychowankowie szkół stworzonych głównie przez europejskich misjonarzy. Choć zwykle niechrześcijanie.

Nie tylko Brytyjczycy dali się wtedy we znaki Chinom. Za kilka dekad Japończycy odbiorą im Koreę i Tajwan.

Był tu jednak ogromny kontrast. Japończycy byli Azjatami, w pewnym sensie uczniami Chin. Uwzględniając wszystkie proporcje, możemy to porównać do tego, co się stało w XX w. na Bliskim Wschodzie. Świat arabski mógł wytrzymać to, że został pobity przez Europejczyków. Ale żeby przegrywać z pogardzanymi od zawsze Żydami? To już się nie mieściło w głowie.

Japończycy uważani byli za półzwierzęta. I oto okazało się, że te półzwierzęta biją teraz Chińczyków, jak chcą. A dodatkowo, w przeciwieństwie do ludzi z Zachodu, ci najeźdźcy nie odpłyną do siebie po zdarciu z Chin potężnego haraczu. Japończycy zakotwiczą się na kontynencie i będą powoli połykać chińską ziemię. Jedynym konkurentem Japończyków była na tym polu Rosja. Chińczycy mówili wtedy, że Brytyjczycy i Amerykanie chcą ich bogactwa, ale Japończycy i Rosjanie zabierają ich ziemię – a to zagrażało już istnieniu państwa chińskiego.

Czyli widać tu swego rodzaju gradację chińskiej traumy z XIX w.?

Pytanie, o którym momencie mówimy i z jakiej perspektywy patrzymy. Do lat 80. XIX w. Mandżurów pochłaniają głównie rewolty wewnętrzne. Wydaje im się, że można niezbyt dużym kosztem skanalizować ekspansję państw zachodnich – odstąpić im dzielnice w niektórych portach, pozwolić obcym na pobieranie ceł. To wszystko było dla pekińskiej elity stosunkowo niewielkim kosztem w skali całego państwa.

Pojawienie się Japończyków początkowo jest szokiem, ale jednak również ci najeźdźcy nie wydają się szczególnie ważni aż do lat 1904–1905, gdy Japończycy zwyciężają Rosję i pozostają na kontynencie – w Mandżurii. Wtedy już zaczyna wzbierać w Chinach prawdziwy strach. Japończycy wkrótce zaczynają też zagrażać państwu chińskiemu od południa – z Tajwanu. To już jednak wiek XX, gdy w Chinach wybucha rewolucja, załamuje się cesarstwo i znikają Mandżurowie.

Powstanie bokserów nie miało żadnych szans na sukces?

Bokserzy byli na straconej pozycji. Nawiasem mówiąc, widać tu przemianę chińskiej tradycji historycznej. Ówcześni rewolucjoniści z Sun Jat-senem na czele patrzyli na bokserów jak na odrażający dziki motłoch, wierzący w zabobony, jak choćby odporność na kule karabinowe, jeżeli człowiek powtarza magiczne formułki i ćwiczy chwyty pięściarskie. Ale już pół wieku później, podczas rewolucji kulturalnej w Chinach, rozwieszano plakaty stawiające młodzież bokserską za wzór.

Patriotyzmu?

Patrioci chcą walczyć i umierać za swój kraj. Hasłem bokserów było natomiast: „Podtrzymać dynastię mandżurską, unicestwić cudzoziemców". Utrzymywanie na tronie okupacyjnej dynastii to raczej coś przeciwnego patriotyzmowi. Nie mówiąc już o tym, że pojęcie patriotyzmu w ówczesnych Chinach w ogóle nie istniało. Patriotyzm to umiłowanie własnej ojczyzny i narodu. Tymczasem w Azji, z wyjątkiem Japonii, w ogóle nie istniały ruchy narodowe. Stąd zdumienie Europejczyków i Japończyków, kiedy podczas tłumienia powstania bokserów, po wkroczeniu do kolejnego miasteczka, jego ludność rozwija flagi brytyjskie, rosyjskie, japońskie i generalnie radośnie wita okupantów. Jak widać, poza władzą cesarską nie widziała ona żadnego zwornika Chin. Już niedługo okaże się, że gdy zabraknie cesarza, Chiny się rozpadną i każdy będzie sobie panem. Bokserzy byli sektą i jak każda sekta byli oni zdolni do najwyższych poświęceń, jednak do czasu. Po 1902 r. ten fenomen zupełnie „wyparował" i od tego momentu bardzo trudno znaleźć w Chinach jakiegokolwiek boksera.

Mao ujęło to, że bokserzy walczyli z cudzoziemcami?

Tak. W czasach Mao obowiązywała ogólna ksenofobia. Jak wiadomo, dokonał on niezwykłego wyczynu – udało mu się jednocześnie znaleźć w konflikcie z USA, ZSRS, Indiami i Japonią. Czegoś takiego nie dokonał nikt inny w historii. Dlatego bokserska apologia niechęci do wszystkiego, co niechińskie, bardzo mu odpowiadała.

Jak dziś wspominany jest w Pekinie, a także na Tajwanie, Sun Jat-sen, człowiek, który był architektem obalenia cesarstwa?

I tu, i tam jest wspominany z wielką estymą. Uważa się go za ojca założyciela nowych Chin. Jeżeli uciekniemy się do porównań religijnych, to o ile w Tajpej głosi się, że był on swego rodzaju „Jezusem Chrystusem", który rozpoczął chińską drogę do zbawienia, o tyle w Pekinie powiada się, że Sun Jat-sen to „Jan Chrzciciel", który przepowiedział, choć w sposób niejasny, nadejście komunistycznych „zbawicieli".

Obydwie strony powołują się na Sun Jat-sena i chociaż na kontynencie mówi się, że był on przede wszystkim rewolucjonistą, to na wyspie Tajwan podkreśla się, że chciał budować demokratyczne Chiny. Obydwa te twierdzenia można jakoś uzasadnić. Sun Jat-sen był bojownikiem o wyzwolenie narodowe, wyznającym ideologię bardzo eklektyczną i niezbyt jasną.

Republika zbudowana przez Sun Jat-sena przeszła do historii, choć tak naprawdę w tamtym okresie na większości terytorium Chin rządzili przecież warlordowie…

eprasa.pl 93b77a6ac4



Dzielenie Chin. Karykatura francuska

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GALLICA

Sun Jat-sen nigdy nie rządził realnie całym państwem. Był tymczasowym prezydentem i na skutek negocjacji ustąpił na rzecz prezydenta zatwierdzonego przez parlament – Yuan Shikaia. Ten ostatni przez parę lat trzymał całe Chiny w garści. Ale po jego śmierci Chiny doświadczyły implozji, czyli zawalenia się państwa od wewnątrz. Coś takiego przytrafiło się współcześnie m.in. Somalii. Teoretycznie istnieje takie państwo jak Somalia, ale na jej terenie funkcjonują de facto niezależne państewka, które pozostają w stanie wojny między sobą. Niemniej, ponieważ Chiny są wielkości Europy, nawet wtedy były tam regiony, które prosperowały całkiem dobrze. Zwłaszcza funkcjonujące pod kuratelą cudzoziemców wielkie miasta portowe jak Szanghaj. Dla tych miast była to wręcz epoka rozkwitu.

Komuniści wygrali w Chinach dlatego, że ten system lepiej pasuje do charakteru chińskiego społeczeństwa?

Nic z tych rzeczy. W Chinach nie było rewolucji, lecz wojna domowa, która zakończyła się zwycięstwem komunistów. A wojna domowa nie jest ekwiwalentem demokratycznego głosowania. W takiej wojnie wygrywa ten, kto potrafi lepiej strzelać, kto ma więcej dział i jest lepiej zorganizowany. Nawiasem mówiąc, Czang Kaj-szek też był zwolennikiem władzy autorytarnej.

Komuniści wygrali przede wszystkim z jednego powodu: mieli poparcie obcego, potężnego mocarstwa…

… które to mocarstwo przekazało im mnóstwo sprzętu wojskowego po Japończykach.

Tak. Ale przecież wojna komunistów z rządem była tylko jedną z wielu wojen w Chinach. Lata 20. i 30. to czas warlordów, buntów jednostek wojskowych przeciw rządowi Kuomintangu, a także walka z Japończykami. Komuniści byli tu tylko jednym z elementów tej układanki.

Japończycy potężnymi uderzeniami niszczą armię Czang Kaj-szeka i wygładzają państwo chińskie. A potem Sowieci wkraczają na pobojowisko jak robotnicy ostatniej godziny, parę dni przed kapitulacją Japonii. Zajmują Mandżurię, która stanowi 10 proc. powierzchni Chin, ale dysponuje połową ich potencjału przemysłowego. Następnie wzywają wynędzniałą armię Mao, aby podążała do Mandżurii. Tam Sowieci uzbroili ją sprzętem z arsenałów Japonii, dodali do tego zdobyczną broń niemiecką. Całą tę machinę zniszczenia rzucili następnie przeciwko Czang Kaj-szekowi, który w tym czasie zdążył już zdemobilizować część swojej armii. Wynikało to po części z jego przekonania, że zaczęła się era pokoju, a po części z braku pieniędzy. Przywódca Kuomintangu liczył na amerykańskie pożyczki, uruchomienie przemysłu mandżurskiego, a także na odszkodowania wojenne od pokonanych Japończyków, ale się przeliczył.

Chyba mało kto obstawiałby w latach 20. i 30. XX w., że to komuniści przejmą władzę w Chinach?

Absurdem wydawała się myśl, że komuniści mogą pokonać rząd. Uważano raczej, że mogą co najwyżej uciekać ku granicy z Mongolią, by ratować się przed unicestwieniem. Dlaczego właśnie tam? Ponieważ Mongolia była okupowana przez Związek Sowiecki.

Dopiero inwazja japońska wywindowała chińskich komunistów. Przed wybuchem wojny z Japonią na jednego żołnierza komunistycznego przypadało 60 żołnierzy armii rządowej. Gdy Japończycy składali broń, ten stosunek zmienił się na 1:3.

Gdyby nie japońskie plany podboju Chin, Mao zostałby zmieciony z szachownicy?

Najprawdopodobniej tak. W 1972 r. ChRL odwiedził japoński premier Kakuei Tanaka i zwyczajowo zaczął przepraszać za inwazję. Mao poklepał go po plecach i powiedział, że w zasadzie powinien mu podziękować, bo gdyby nie inwazja japońska, to chińscy komuniści dalej chowaliby się po jaskiniach…

Jak dziś przedstawiana jest przez chińskie władze okupacja japońska? Wciąż widać tu duże emocje?

Japończycy są nacją najbardziej nielubianą w Chinach. Zresztą właściwie w całej Azji Wschodniej raczej nie ma narodu, który żywiłby ciepłe uczucia wobec Japończyków. Pekin traktuje to instrumentalnie. Kiedy trzeba zaakcentować dobre stosunki, zapomina się o wojnie, ale w razie czego zawsze można otworzyć szafę pełną szkieletów.

Czang Kaj-szek zawiódł się na USA?

Amerykanie mieli wtedy inne priorytety. George Marshall, ówczesny sekretarz stanu USA, był wyznawcą zasady „Europe first" również na początku zimnej wojny. Jeszcze w 1949 r., gdy pobite resztki armii Czang Kaj-szeka ewakuowały się na Tajwan, Marshall nieugięcie utrzymywał, że warunkiem udzielenia pomocy Republice Chińskiej jest utworzenie rządu koalicyjnego złożonego z chińskich nacjonalistów i… komunistów. Marshall nałożył nawet embargo na dostawy amerykańskiej broni dla obydwu stron, co przypominało sprawiedliwy zakaz spania na ulicy,

eprasa.pl 93b77a6ac4

obowiązujący zarówno biednych, jak i bogatych. Było jasne, że USA opuszczają Republikę Chińską, natomiast ZSRS nie opuści chińskich komunistów.

Czyli Amerykanie na własne życzenie stracili sojusznika chińskiego.

Tak, zresztą powszechnie uważa się, że był to największy błąd w całej amerykańskiej polityce zagranicznej w XX w. Trzeba tu poczynić jedno zastrzeżenie: ani Marshall, ani prezydent Truman nie podejrzewali, że rezultatem będzie opanowanie całych Chin przez komunistów. Obaj politycy sądzili, że Chiny powrócą po prostu do stanu chaosu, znanego z okresu walk warlordów.

Arthur Waldron, jeden z najwybitniejszych znawców XX-wiecznych Chin, twierdzi, że gdyby USA udzieliły Czang Kaj-szekowi większej pomocy, to Mao przegrałby wojnę. I zapewne w całych Chinach pod względem gospodarczym doszłoby do tego, co wydarzyło się na Tajwanie.

Stało się jednak dokładnie odwrotnie. Nikt nie potrafił tak totalnie zniszczyć chińskiej gospodarki, jak uczynił to Mao Zedong. Skutki były gorsze niż wojna z Japonią.

Jak wyjaśnić to, że chińskie elity władzy dopuściły do realizacji obłędnego wielkiego skoku?

Tak wyglądają skutki autokracji. Niższe szczeble władzy przekazywały wyżej wiadomości o nieprawdopodobnych sukcesach wielkiego skoku i Mao był przekonany o panującym w Chinach dostatku. Pamiętajmy, że ten człowiek był święcie przekonany, że wola mas jest wszechpotężna i żadne reguły ekonomii nie mogą jej przezwyciężyć. Jako totalny despota mógł w dzień realizować to, co mu się przyśniło w nocy. Przykładem był pomysł, że gdyby każda chińska rodzina wytopiła trochę stali, to ChRL mogłaby się na tym polu ścigać z USA. Jak wymyślił, tak zrobił, a skutki były opłakane. Gdy w pisanej na początku XX w. książce podałem, że w czasie skoku nawet dwadzieścia kilka milionów ludzi zmarło z głodu, to niektórzy recenzenci stwierdzili: nonsens – kompletnie zawyżone szacunki! Po latach okazało się, że faktycznie się pomyliłem – ofiar było w rzeczywistości ok. 40 mln.



Sun Jat-sen

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LI TIEFU

Mao po wszystkim nie miał wyrzutów sumienia. Jedynie był zakłopotany, że cały świat będzie się z niego śmiać. I dlatego Pekin z furią odrzucił propozycję darmowych dostaw ziarna z Tajwanu, a nawet wysyłał za granicę „nadwyżkę" chińskich zbiorów. Faktem jest, że po wielkim skoku Mao stracił autorytet w partii i zaczęto go usuwać na bok, choć do czasu – dzięki rewolucji kulturalnej odzyskał władzę. Oprócz śmierci milionów ludzi trzeba też pamiętać o kosztach społecznych – zniszczono fundament chińskiej wsi, czyli gospodarstwa indywidualne. Wsie zamieniano w obozy pracy, gdzie mężczyźni i kobiety spali w dormitoriach po dwóch stronach wioski. Małżeństwom pozwalano na spotkania jedynie dwa razy w miesiącu. Straty wielkiego skoku musiało odrabiać całe pokolenie.

Co było gorsze dla chińskiego państwa: wielki skok czy rewolucja kulturalna?

Pod względem kosztów ludzkich nie ma tu porównania. Natomiast rewolucja kulturalna odbywała się głównie w miastach i nie rozlew krwi jako taki – choć przelano jej mnóstwo wśród intelektualistów – był cechą charakterystyczną tego fenomenu, lecz generalne ześwinienie i poniewieranie godności ludzkiej. Każdy, kto cokolwiek wie o kulturze chińskiej, czyli o konfucjanizmie, rozumie, że jej główną cechą jest ogromny szacunek dla hierarchii, wiedzy i starszych. Tymczasem w trakcie rewolucji kulturalnej dochodziło do linczowania nauczycieli przez uczniów i denuncjowania rodziców przez dzieci. Mao chciał w ten sposób uderzyć w same podstawy społeczeństwa chińskiego. I trzeba przyznać, że doskonale mu to wyszło.

Dla pamięci narodowej, dla chińskich sfer intelektualnych i państwa jako takiego rewolucja kulturalna była dużo groźniejsza niż wielki skok.

Wciąż widać te rany?

Tak, choć są one specyficzne. Pamiętajmy, że sam Xi Jinping ma niezbyt przyjemne doświadczenia z czasów rewolucji – zesłano go wraz z rodziną na dalekie kresy i musiał spać w jaskini. To jest doświadczenie jego pokolenia. Wydawałoby się, że podobne wydarzenia powinny wyleczyć człowieka z miłości do komunizmu. A jednak nie. Dla tych ludzi był to okres swego rodzaju katharsis, po którym kraj wynurzył się z chaosu, i od tego czasu wszystko już idzie we właściwym kierunku.

Wymierzony w Moskwę układ Chin i Ameryki był zaskoczeniem w rodzaju paktu Ribbentrop-Mołotow?

W pewnym sensie tak. Był to szok – arcykomunista Mao zawarł go z Richardem Nixonem, uważanym za arcyantykomunistę, który do tego był zwolennikiem Tajwanu i osobistym przyjacielem Czang Kaj-szeka. Przy czym obaj przywódcy akcentowali, że absolutnie nie wyrzekli się swoich poglądów.

Jak Mao „sprzedał" ten ruch partii?

Nikt w partii nie mógł się szczególnie dziwić. Decyzje Mao były niepodważalne. Po prostu Amerykanie jeszcze wczoraj byli najgorszymi ludźmi, a dziś już są dobrzy i należy ich witać oklaskami. Wyjaśnienie było jedno: Amerykanie pomogą nam teraz w rywalizacji z naszym głównym wrogiem, czyli ze Związkiem Sowieckim. Od tej pory chińska prasa wyrzucała USA już tylko jedno: Waszyngton jest niewystarczająco antysowiecki!

Ile tak naprawdę zależało od osobistych cech Deng Xiaopinga, jeżeli chodzi o nadanie państwu nowego kierunku?

Myślę, że wiele. Była to postać o życiorysie rewolucyjnym, który zapewniał mu sporą popularność w partii. Deng nazywany był w partii „Feniksem" – Mao go przepędzał, zsyłał na prowincję, by rąbał drewno, kazał wyrzucić jego syna przez okno z pierwszego piętra, co skutkowało dożywotnim kalectwem, potem sobie przypominał o Dengu i przywracał go do łask, a następnie znów go zsyłał.

Deng uważany był za faworyta premiera Zhou Enlaia, a ten ostatni z kolei cieszył się legendą potężnego kanclerza, który osłania społeczeństwo przed złymi

eprasa.pl 93b77a6ac4

ministrami dobrego cesarza. To fałszywa legenda, ale jednak była ona bardzo użyteczna dla Xiaopinga.

Nowy rozdział w historii ChRL musiał być szokiem dla elit, skoro nagle okazało się – według słów samego Denga – że „nieważne, jakiego koloru jest kot, ważne, by łapał myszy". Czyli wyszło na to, że można „pożenić" komunizm z elementami kapitalizmu.

Deng był bardzo pragmatyczny. Partia się starzała, a ludzie starzy chcą mieć na ogół stabilne życie. W ostatnich latach rządów Mao to życie w każdej chwili można było stracić. Tymczasem Deng gwarantował, że komuniści nie będą prześladowani i że KPCh wróci do „starych dobrych czasów" sprzed skoku. Ponadto starzy działacze partyjni, jak choćby ojciec obecnego przywódcy Chin, patrzyli z obrzydzeniem na nowy narybek rewolucji – hunwejbinów, którzy zamierzali pozajmować stanowiska starych działaczy partyjnych. Bezskutecznie.

Społeczeństwo zmęczone permanentną rewolucją chciało wreszcie spokoju i Deng ten spokój gwarantował. Mówił Chińczykom, by nie zajmowali się polityką, tylko skupili się na pracy i na swoich rodzinach.

Co ważne, wciąż większość społeczeństwa pracowała na roli i Deng pozwolił rolnikom odzyskać ukradzioną im przez Mao ziemię (oczywiście w dzierżawę, bez formalnego prawa własności, by nie gwałcić komunistycznych dogmatów). Dlaczego było to tak ważne? Ziemię ukradziono chińskim chłopom dopiero w połowie lat 50., a oddawano w połowie lat 70., czyli często tym samym ludziom. Nie zdołano zniszczyć etosu pracy rolników, który został całkowicie zniszczony w ZSRS. I to był fundament chińskich reform – droga do potęgi gospodarczej zaczęła się od uzdrowienia rolnictwa.

Deng nadał Chinom zupełnie nowy kierunek, potem widzimy kilku przeciętniaków na czele państwa, aż nagle wyrasta Xi Jinping. Czy obecnie mamy do czynienia z kolejnym jedynowładcą?

Następcy Denga byli typowymi przedstawicielami kategorii BMW – bierni, mierni, ale wierni. Nie było wątpliwości, że oddadzą władzę. W gruncie rzeczy byli to figuranci. Teraz okazało się, że znów jest ktoś, kto krzepko pochwycił ster. Xi Jinping niewątpliwie ma charakter i zamierza bardzo mocno odcisnąć swój ślad na dziejach Chin.

Wraz z Xi skończyło się w ChRL „kolektywne kierownictwo"?

Nie wiemy wszystkiego, ale wygląda na to, że Xi ma tu pozycję dominującą. Wiadomo, że wymienił on znaczą część kierownictwa Biura Politycznego na „swoich" ludzi. Co z tego wszystkiego wyniknie? Za dwa lata obchodzona będzie 100. rocznica powołania Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Niektórzy obawiają się, że może to być uczczone jakimś „fajerwerkiem" wojskowym wokół Tajwanu…

Za Deng Xiaopinga Chiny, zgodnie z jego słowami, miały ukrywać swoje zamiary, by nie zwracać uwagi świata na swój wzrost, ale Xi Jinping odszedł chyba od tej strategii?

Teraz Xi mówi, że Chiny mają trzymać głowę wysoko podniesioną do góry. Pytanie, czy jest to słuszna strategia i czy nie za wcześnie podniesiono głowę. Niektórzy widzowie tego „spektaklu" mogli się wystraszyć tym wszystkim. Wiadomo, że komunistyczny Wietnam – od dłuższego czasu nieformalny sojusznik USA – reaguje coraz bardziej nerwowo, obawiając się ekspansji Chin. Ale coraz śmielsze poczynania Pekinu wpychają też w ramiona Amerykanów Japonię czy Koreę Południową. Chiny robią teraz wiele, by zantagonizować swoich sąsiadów.

Szczególnie wyraźnie widać to na Morzu Południowochińskim, gdzie siły ChRL zatykają sztandar na kolejnych spornych wysepkach…

I jeszcze Pekin sięga tu po dość żenujące tłumaczenie, że skoro morze nazywa się Południowochińskim, to w całości powinno należeć do Chin. Mam wątpliwości, czy jest to sensowna metoda prowadzenia polityki zagranicznej. Ktoś mógłby przecież przypomnieć przewodniczącemu Xi, że w jego sąsiedztwie znajduje się też Morze Japońskie… Wydawałoby się, że Xi Jinping powinien rozumieć prostą rzecz: Morze Południowochińskie oblewa wiele krajów i chińska ekspansja na tym akwenie może je wszystkie wystraszyć i zjednoczyć przeciw kandydatowi na hegemona…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Mao Zedong i Richad Nixon, 1972 r. FOT. RICHARD NIXON FOUNDATION



Profesor Jakub Polit jest historykiem z Uniwersytetu Jagiellońskiego, znawcą dziejów Dalekiego Wschodu, w szczególności Chin. Wśród najważniejszych książek prof. Polita wymienić można m.in. „Pod wiatr. Czang Kaj-szek 1887–1975" oraz „Smutny kontynent. Epizody i sylwetki z dziejów Azji Wschodniej w XX wieku".

eprasa.pl 93b77a6ac4



Pałac Cesarski w Zakazanym Mieście FOT. FRANCISCO ANZOLA/WIKIPEDIA/ CC BY 2.0

Lata 1906–1967 / Puyi w Zakazanym Mieście

Ostatni Syn Niebios



Łukasz Czarnecki

Rewolucja narodowa, która wybuchła w 1911 r. i szybko rozlała się na całe Państwo Środka, ku zaskoczeniu całego świata zakończyła dzieje sięgającego korzeniami III w. p.n.e. Cesarstwa Chińskiego. Ostatni cesarz wyrósł na iście groteskową postać

Rewolucjoniści mogliby pogratulować sobie zrzucenia z Tronu Smoka okrutnego tyrana ze znienawidzonego mandżurskiego (a zatem niechińskiego) rodu panującego, gdyby nie kłopotliwe okoliczności tego sukcesu. Pozbawiony władzy despota liczył sobie bowiem… pięć lat, a do zredagowania edyktu abdykacyjnego pełniącą regencję cesarzową wdowę Longyu zmusiły nie zwycięstwa powstańców, na których drodze do Pekinu stały nowocześnie uzbrojona i karna Armia Północna, lecz zdrada dowodzącego tą ostatnią gen. Yuan Shikaia.

Wezwany z emerytury przez spanikowany dwór stary lis wykorzystał zamieszanie i zamiast bronić dynastii, której przysięgał służyć, wdał się w pertraktacje z rebeliantami i zdradził malutkiego cesarza, sprzedając go w zamian za tytuł Prezydenta Republiki Chińskiej.

Szczęśliwie dla Puyi i pozostałych mandżurskich arystokratów demokraci nie mieli zamiaru ich mordować, lecz nagrodzili kapitulację nieprzyjaciela wydaniem „Artykułów o dobrym traktowaniu", które gwarantowały upadłemu imperatorowi m.in. zachowanie honorowego tytułu cesarza, prawo do pozostania w Zakazanym Mieście i roczną pensję w wysokości 4 mln taeli srebra. Mimo utraty władzy Puyi rezydować miał wraz ze swym dworem w murach cesarskiej rezydencji przez następne 12 lat, wiodąc życie tak przedziwne, że aż trudne do opisania…

Brzdąc Niebios

Ostatni z Synów Niebios zasiadających na Tronie Smoka mógł się pochwalić imponującą liczbą trzech ojców i aż sześciu matek. Oprócz posiadania biologicznego ojca w osobie Zaifenga, noszącego arystokratyczny tytuł Księcia Chun, wedle oficjalnych dokumentów Puyi był także (równocześnie!) synem władającego przed nim cesarza Guangxu oraz poprzedzającego tegoż cesarza Tonghzi. Jeżeli chodzi o matki, to poza mandżurską arystokratką Youlan, która wydała go na świat, chłopiec „matkami" musiał też nazywać wdowę po Guangxu, wspomnianą już Longyu, oraz pozostawione przez poprzednich cesarzy konkubiny. Śmierć biologicznej matki (w 1921 r.) niezbyt przejęła Puyi, bo od czasu, gdy w wieku dwóch lat został zabrany z rozkazu Cixi do Zakazanego Miasta, następny raz zobaczył ją siedem lat później, a dalsze kontakty pozostawały chłodne i sporadyczne – nieszczęsna kobieta podczas rzadkich wizyt nie mogła nawet przytulić syna, ponieważ w ten sposób dopuściłaby się zbrodni przeciw majestatowi Syna Niebios.

Puyi władcą najludniejszego państwa świata został niespodziewanie. W listopadzie 1908 r. niegodziwa cesarzowa wdowa Cixi zachorowała na dyzenterię. Stan okrutnej matrony był na tyle poważny, że dwór zaczął szykować się na okoliczność śmierci despotki. Szczególnie szczęśliwy był z tego powodu więziony przez nią w areszcie domowym, terroryzowany i poniżany prawowity cesarz Guangxu (stryj Puyi), który już zacierał ręce na myśl o zemście na klice pomagierów ciotki. Jednak próżne były te nadzieje. Cixi niczym żmija, która nawet konając, wciąż jeszcze kąsa, nie mogła pogodzić się z myślą, że Guangxu odzyska wolność, więc nakazała go otruć. Trzydziestosiedmioletni mężczyzna 14 listopada niespodziewanie ciężko zachorował i jeszcze tego samego dnia zmarł. Badania przeprowadzone w roku 2008 na szczątkach monarchy wykazały, że podano mu śmiertelną dawkę arszeniku.

Złowrogiej Cixi nie dane było zbyt długo cieszyć się z tej zbrodni, jak się okazało – ostatniej w długim rejestrze łajdactw zwyrodniałej despotki. Zaledwie dzień po śmierci Guangxu, cesarzo-

eprasa.pl 93b77a6ac4

wa wdowa wydała ostatnie tchnienie. Jako że w Chinach dyzenterię uważano za chorobę nędzarzy, można zaryzykować stwierdzenie, że Niebiosa ukarały niegodziwą cesarzową wdowę, zsyłając na nią tak upokarzający zgon.

Dwa dni przed śmiercią Cixi postanowiła zadbać o kwestię następstwa tronu. Guangxu, bezpłodny z powodu deformacji jąder, nie miał dziedzica. Z kolei jego brat Zaifeng doczekał się całej gromadki dzieci, wśród nich dwóch malutkich synów. Stojąca nad grobem tyranka zdecydowała się uczynić nowym Synem Niebios starszego z brzdąców – dwuletniego Puyi. Zapomniała tylko zawczasu poinformować o tym fakcie rodziców malucha i gdy na progu rezydencji księcia Chun 13 listopada znienacka pojawił się orszak dworskich eunuchów mających odebrać chłopca rodzinie i zanieść go do Zakazanego Miasta, w domu zapanował totalny chaos. Zaifeng, który był głupcem i człowiekiem bez kręgosłupa, trząsł się i jąkał z przerażenia, jego małżonka zalewała się łzami, zszokowana nagłym i ostatecznym rozstaniem z dzieckiem, a najgłośniej histeryzował sam nowy następca tronu, tarzając się po podłodze i kopiąc próbujących wsadzić go do palankinu eunuchów.

Spotkanie chłopczyka z Cixi miało iście katastrofalny przebieg. Gdy maluch zobaczył pomarszczoną twarz cesarzowej wdowy, wybuchnął płaczem tak głośnym, że zirytowana despotka kazała natychmiast zabrać go sprzed swoich oczu. Na szczęście była to jedyna interakcja tych dwojga, bo dwa dni później złowroga władczyni już nie żyła.

Uroczystość intronizacji nowego Syna Niebios miała miejsce 2 grudnia 1908 r. Po latach niektórzy co bardziej przesądni z biorących w niej udział dostojników twierdzili, że przebieg koronacji stanowił zapowiedź katastrofy, która wkrótce miała dotknąć dynastię Qing. Posadzony na Tronie Smoka Puyi zamiast dystyngowanie przyjmować hołdy, wiercił się na wszystkie strony i wołał: „Ja chcę do domu, ja chcę do domu!".

Dwóch cesarzy

Choć w lutym 1912 r. Chiny oficjalnie stały się demokracją, to na mocy „Artykułów dobrego traktowania" ostatni cesarz pozostał w murach Zakazanego Miasta. Otaczający Puyi dygnitarze byli zresztą przekonani, że Republika Chińska długo nie przetrwa, i wyczekiwali restauracji monarchii.



Cesarzowa Cixi

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CW JOHN YU SHUINLING



Puiy, 1908 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS



Yuan Shikai

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RIO V. DE SIEUX

O tym, jak bardzo Mandżurowie i ich klika byli oderwani od rzeczywistości, świadczy fakt, że początkowo uważali, iż tym, kto przywróci dynastii Qing jej miejsce na Tronie Smoka, będzie… Yuan Shikai czyli człowiek, który w trakcie rewolucji wbił rodowi panującemu nóż w plecy! Prezydent Republiki Chińskiej z czasem głośno zaczął popierać ideę przywrócenia monarchii, kiedy jednak na jaw wyszły jego prawdziwe plany, w Zakazanym Mieście zapanowała panika. 12 grudnia 1915 r. Yuan rzeczywiście przywrócił w Chinach ustrój monarchiczny, tyle że ze sobą w charakterze cesarza!

Ośmioletni Puyi był już na tyle duży, by wiedzieć, że obejmujący tron uzurpatorzy zwykle zaczynają rządy od zamordowania poprzednika... Na szczęście dla Puyi dynastia proklamowana przez niedawnego prezydenta nie przetrwała nawet 100 dni. Rozsierdzeni gubernatorzy prowincji podnieśli bunt i Yuan Shikai czym prędzej abdykował. Dyplomaci zachodnich mocarstw oferowali uzurpatorowi ucieczkę za granicę, ale nie zdążył on skorzystać z ich propozycji. 6 czerwca 1916 r. zmarł powalony połączeniem uremii i depresji wywołanej klęską ambitnych planów. Jedynym, co pozostało po cesarskiej dynastii, której miał być założycielem, były wykonane na okoliczność koronacji pamiątkowe medale i porcelana. Puyi na wieść o śmierci Yuana wpadł w euforię.

Chłopak nie należał do najlotniejszych uczniów. Zamiast czytać książki i słuchać wykładów nauczycieli, ziewał, wygłupiał się i kręcił na wszystkie strony. Nieszczęśni belfrzy nie mieli żadnego sposobu na zdyscyplinowanie niesfornego chłopca – w normalnej chińskiej szkole za takie zachowanie łobuz oberwałby rózgą, ale w realiach Zakazanego Miasta nauczyciel nie miał prawa nawet podnieść głosu na swego podopiecznego. W końcu, by zmotywować Syna Niebios do nauki, wychowawcy dokooptowali mu towarzyszy, wśród których znalazł się jego rodzony młodszy brat. W efekcie

eprasa.pl 93b77a6ac4

w klasie zapanowała iście groteskowa atmosfera, bo choć pozostali chłopcy w przeciwieństwie do Puyi uczyli się pilnie, to właśnie oni byli karani za wszelkie wybryki małego cesarza.

Jego nauczycielami byli twardogłowi mandaryni, starcy obrażeni na współczesny świat i szczerze go nienawidzący, którzy swoje uprzedzenia, manie i fobie wbijali do głowy podopiecznego, a program nauczania składał się wyłącznie z chińskich klasyków. Puyi od swoich preceptorów nie nauczył się niczego o świecie z początków XX stulecia; przez pierwsze lata edukacji wychowawcy nie raczyli poinformować go nie tylko o powstaniu Republiki Chińskiej, lecz także o tym, w której części Państwa Środka położony jest Pekin!

Jedyne, co udało się osiągnąć owej grupie belfrów, to wmówienie uczniowi, że jest boską istotą, a przeznaczeniem ludzkości jest służenie mu. Co Puyi szybko wprowadził w czyn, znęcając się sadystycznie nad otoczeniem. Przykładowo uwielbiał skazywać eunuchów na chłostę pod byle jakim pretekstem, strzelał do nich z wiatrówki, a pewnego dnia nakazał staremu kastratowi paść na czworaka i zjeść leżące na podłodze śmieci, co ten niezwłocznie uczynił.

Wąsy jak drut

Reginald Johnston, Szkot, który uczył Puyi angielskiego, był pierwszym cudzoziemcem, jakiego nasz bohater kiedykolwiek zobaczył. Co nie znaczy, że nie dysponował on żadną wiedzą na temat przybyszów z Zachodu – widywał ich zdjęcia w gazetach, a od dworskich eunuchów dowiedział się, że Europejczycy mają wąsy sztywniejsze od drutu, natomiast ich nogi nie zginają się w kolanach, dlatego przewrócony na plecy obcokrajowiec nie może już wstać o własnych siłach. Właśnie z tego powodu przybysze z Zachodu mieli nosić laseczki, przydające im się również do tego, by w trakcie spacerów pekińskimi ulicami



Reginald Johnston
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

okładać nimi Chińczyków po plecach. Ku zaskoczeniu Puyi nowy tutor w ogóle nie przypominał tego wyimaginowanego obrazu, a znajomość z nim szybko uświadomiła Synowi Niebios, że otaczający go dworacy są bandą ciemniaków.

Johnston fascynował naszego bohatera do tego stopnia, że chłopak wkrótce zapragnął go naśladować. Jako nastolatek wysłał kastratów do sklepu z zachodnimi ubraniami, by kupili mu garnitur. Gdy Szkot przyszedł na kolejną lekcję, zobaczył swojego ucznia ubranego w kiepskiej jakości szmaty z drugiej ręki, zupełnie niedopasowane pod względem kroju i rozmiaru. Nauczyciel poważnie się zdenerwował, udzielił reprymendy młodzieńcowi, mówiąc mu, że lepiej, by nosił tradycyjne dworskie stroje, niż robił z siebie błazna, udając Europejczyka. Wkrótce jednak zamówił podopiecznemu luksusowy, szyty na miarę garnitur, nauczył chłopaka, jak go nosić, i zaczął mu wpajać brytyjskie maniery.

W oczach Puyi Johnston urastał niemal do rangi bóstwa, a podziw dlań zaszczepił w Synu Niebios przekonanie, że Europejczycy są pod każdym względem lepsi od Chińczyków. W wieku nastoletnim Syn Niebios zaczął żądać od otoczenia, by zwracać się do niego per Henry, a swoją pierwszą żonę, Wanrong, nazwał Elizabeth (w 1922 r. Puyi wziął ślub z dwiema mandżurskimi arystokratkami – w dniu zaślubin spotkał je po raz pierwszy w życiu, a noc poślubną obie panny młode spędziły, śpiąc samotnie w cesarskim łożu, bo Syn Niebios miast skonsumować podwójne małżeństwo, po prostu uciekł).

Fora ze dwora!

Życie, jakie wiódł Puyi za murami Zakazanego Miasta, było zaiste absurdalne, a on sam wyrósł na personę groteskową, ograniczoną i dość żałosną. Wciąż jednak rzesze ludzi były wpatrzone w niego jak w obrazek, utwierdzając młodzieńca w przekonaniu o jego boskiej roli Syna Niebios i rychłym objęciu władzy nad odrodzonym Cesarstwem Chińskim.



Puiy i Wanrong, jego żona
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Latem 1917 r. wydawało się, że oto spełnia się jego sen. Pekin został opanowany przez wojska monarchisty gen. Zhang Xuna. Prezydent Republiki musiał uciekać do dzielnicy poselstw, a zwycięski watażka skontaktowawszy się z dworem mandżurskim, 1 lipca ogłosił restaurację monarchii i posadził Puyi na Tronie Smoka. W całej stolicy zaroiło się nagle od ludzi noszących ubiory z okresu władzy dynastii Qing, które starsi mieszkańcy miasta powyciągali ze strychów.

Ostatni Syn Niebios odzyskaną władzą cieszył się

eprasa.pl 93b77a6ac4

zaledwie 11 dni. Wojska lojalne wobec republikańskiego rządu odbiły stolicę, a nieustraszony obrońca dawnego porządku Zhang Xun dał nogę.

Wielka restauracja dynastii Qing okazała się być operetką, ale Republika przyjęła na wiarę zapewnienia dworu, że Zhang Xun siłą zmusił Syna Niebios do współpracy. Puyi mógł się więc cieszyć życiem w obrębie murów Zakazanego Miasta jeszcze siedem lat. Kres idylli położyło opanowanie Pekinu 23 października 1924 r. przez wojska kolejnego watażki – Fenga Yuxianga zwanego Chrześcijańskim Generałem (miano to zawdzięczał temu, że masowo chrzcił swoich żołnierzy, polewając ich wodą ze strażackiej sikawki). 5 listopada przedstawiciele nowego pana stolicy weszli na teren cesarskiego pałacu i pod groźbą użycia siły nakazali jego mieszkańcom wynieść się w ciągu trzech godzin.

Puyi opuścił wraz z rodziną i dworzanami Zakazane Miasto. Ostatni Syn Niebios najpierw udał się do domu księcia Chun, gdzie jego ojciec w typowy dla siebie sposób wpadł w histerię,



Puiy FOT. COMMONS WIKIMEDIA

a następnie – obawiając się śmierci z rąk żołnierzy Fenga – schronił się w japońskim poselstwie. Stamtąd w roku 1925 wyjechał do Tianjinu, gdzie zamieszkał na terenie japońskiej koncesji. Armia i rząd Kraju Kwitnącej Wiśni roztoczyły nad nim dyskretną „opiekę", ostatecznie czyniąc z Puyi swój pionek w grze o panowanie nad Azją Wschodnią.

Gdy w 1931 r. Armia Kwantuńska opanowała Mandżurię, a zamiast niej powołano uzależnione od Japonii państwo Mandżukuo, Japończycy uczynili Puyi najpierw prezydentem, a później cesarzem tego przedziwnego tworu. Całkowicie ubezwłasnowolniony, pozostawał ich marionetką aż do roku 1945, gdy trafił do sowieckiej niewoli. Pięć lat później został przekazany władzom Chińskiej Republiki Ludowej i spędził prawie całą następną dekadę w komunistycznym więzieniu poddawany ostremu praniu mózgu. Każdy, kto czytał autobiografię Puyi „Byłem ostatnim cesarzem Chin", mógł się przekonać, że wskutek indoktrynacji Syn Niebios, zawsze będący imbecylem, stał się jeszcze bardziej „odklejony" od rzeczywistości. Ostatnie lata życia ogłupiony Puyi spędził, pracując jako ogrodnik i archiwista. Zmarł 17 października 1967 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 93b77a6ac4



Wieżowce Szanghaju

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, XIQUINOSILVA

1978–2025 / Od nędzy do potęgi

Co się stało po Mao



Piotr Włoczyk

Żaden inny kraj w historii nie zanotował tak spektakularnego sukcesu gospodarczego. Świat przez lata lekceważył Chińczyków, aż nagle okazało się, że realizowana przez Pekin z żelazną konsekwencją strategia rozwoju zagraża największym graczom na Zachodzie

Srebrny guzik miał średnicę trzech metrów, stał na honorowym miejscu i był dumą lokalnej starszyzny, która go zamówiła. Ten „pomnik" jasno pokazywał, co jest fundamentem sukcesu 64-tysięcznego Qiaotou w prowincji Zhejiang. Tutejsze fabryki wytwarzały aż 70 proc. wszystkich guzików używanych w Chinach do produkcji ubrań.

„Aby uczcić ten status, starszyzna zdecydowała o wzniesieniu pomnika w centrum miejscowości, dokładnie naprzeciwko budynku nazywanego Guzikowym City – pisał amerykański reporter Peter Hessler w swojej książce »Przez drogi i bezdroża. Podróż po nowych Chinach«. – Guzikowe City miało cztery piętra, a parter był całkowicie poświęcony flagowemu produktowi miasteczka. Producenci ubrań przyjeżdżali tu robić hurtowe zakupy. Sprzedawcy układali swoje wyroby według rozmiaru i rodzaju. Niegdysiejsi rolnicy pakowali guziki do toreb po ziarnie".

Hessler dwie dekady temu jeździł po Chinach, obserwując, jak niesamowicie szybko przekształcał się ten ogromny kraj. Efektem jest wspomniana książka – doskonały reportaż, który dokumentuje najbardziej spektakularną przemianę gospodarczą w dziejach ludzkości.

Szczególnie ciekawa jest trzecia część książki Hesslera, opowiadająca o strefach ekonomicznych istniejących na całkiem nieźle rozwiniętym już wtedy wybrzeżu, a także nowo powstających w niemal zupełnie „dziewiczym" pod tym względem interiorze ChRL.

Słomki i skarpety

Cudzoziemcy z Zachodu podróżujący autem na początku XXI w. po prowincji Zhejiang musieli się co rusz mocno dziwić. Nie chodzi tylko o to, że ta prowincja była w zasadzie jednym wielkim placem budowy, gdzie wysadzano góry, by położyć nowe kilometry autostrad czy zbudować na ich miejscu specjalne strefy ekonomiczne. W mijanych miejscowościach widać było zatrzęsienie monotematycznych reklam. W jednej mieścinie na billboardach lokalni producenci zachwalali przykładowo tylko krany, w których się wyspecjalizowali, a w kolejnym mieście reklamowały się np. jedynie firmy produkujące plastikowe słomki.

I tak wzdłuż drogi biegnącej przez miasto Xiaxie widać było niekończące się rzędy huśtawek i zjeżdżalni, ponieważ była to światowa „stolica" firm produkujących wyposażenie placów zabaw, w Wuyi powstawała połowa kart do gry produkowanych w Chinach, z Yiwu pochodziła co druga używana na świecie plastikowa słomka, a w Songxi powstawało 350 mln parasoli rocznie. Z kolei miasto Fenshui stało się światowym gigantem ołówkowym, natomiast z Datang pochodziła co trzecia para skarpetek noszona przez ludzkość.

eprasa.pl 93b77a6ac4

Gdy Hessler jeździł po prowincji Zhejiang, dopiero budowana była autostrada Jinliwen, łącząca nadmorską metropolię Wenzhou z miastami w górzystym interiorze. Była to inwestycja priorytetowa, co oznaczało, że prace nad nią trwały 24 godziny na dobę. W 2003 r. Pekin rozpoczął gigantyczny program budowy dróg na wsi, a w 2005 r. ogłoszono, że w kolejnych latach powstanie 48 tys. km autostrad, tak aby każde miasto liczące ponad 200 tys. mieszkańców miało dostęp do takiej trasy.

Jednym z miast, mających wówczas zyskać połączenie z Wenzhou, było Lishui, gdzie lokalne władze tworzyły właśnie, wysadzając w powietrze wzgórza, specjalną strefę ekonomiczną. Wszystko robione było szybko i bez zbędnych formalności – nikt nie przejmował się za bardzo BHP. Dziennikarz z USA mógł swobodnie chodzić po terenie, który za moment miał zostać wysadzony w powietrze, rozmawiać z pracownikami noszącymi laski dynamitu i nikogo to nie dziwiło.

„Do niedawna region ten był całkowicie rolniczy, panowała tu równie ponadczasowa atmosfera jak w każdym rolniczym miejscu w Chinach – pisał Hessler. – Była to spokojna miejscowość, gdzie chłopi podążali za regularnymi cyklami następujących po sobie pór roku i miesięcy, sadząc i zbierając plony. Teraz pola zaczęto zastępować ciągnącym się bez końca parkiem ekonomicznym, a władze miały nadzieję przyciągnąć inwestorów z wybrzeża".

Gao i Wang

W zbudowanej już części strefy ekonomicznej, gdzie powstawały pierwsze fabryki, Hessler spotkał dwóch mężczyzn, którzy przyjechali z Wenzhou. Trzydziestotrzyletni Gao Xiaomeng (znany jako Szef Gao) i jego wuj Wang Aiguo (Szef Wang) zamierzali produkować tu metalowe kółeczka, będące niezbędnym elementem niemal każdego stanika. Mężczyźni dorobili się większych pieniędzy w rodzinnym Wenzhou, produkując podszewki do spodni. Gdy jednak przedsiębiorczy sąsiedzi postanowili powtórzyć ich sukces, konkurencja poważnie zmniejszyła ich zyski. Postanowili więc zainwestować zarobione w „tłustych" latach pieniądze i otworzyć w interiorze fabrykę produkującą coś, co będzie dużo trudniejsze do skopiowania przez okoliczną konkurencję. Gao i Wang postawili na kółeczka łączące ramiączka z resztą biustonosza. Za 65 tys. dol. kupili maszynę, która była kopią sprawdzonej europejskiej linii produkcyjnej. Skomplikowane urządzenie miało jednak mnóstwo niedoróbek i mężczyźni stracili kilka tygodni na usprawnianiu – fabrycznie nowej – kopii europejskiej maszyny.

Żadnego problemu nie stanowiło znalezienie pracowników. Powstanie nowej strefy ekonomicznej ściągało na miejsce tysiące mieszkańców wsi, którzy za niewielkie wynagrodzenie (i tak wyższe niż to, co można było zarobić, uprawiając rolę) byli w stanie długimi godzinami wykonywać nawet najbardziej monotonne czynności. Szef Wang zupełnie otwarcie mówił, że zależy mu na młodych i niedoświadczonych pracownicach (kobietom można było płacić ok. 30 proc. mniej niż mężczyznom). „Jeżeli już gdzieś pracowała, to będę musiał jej więcej płacić – mówił Szef Wang i wyjaśniał przy okazji, na jakie odpowiedzi liczył najbardziej podczas rozmowy rekrutacyjnej. – Odpowiadałaby mi dziewczyna, której przyjemność sprawia spędzanie czasu z rodziną albo opieka nad matką, coś w tym typie. Takie zajęcia powinna lubić prosta kobieta ze wsi. Chcę ludzi, którzy potrafią znosić trudy".



Deng Xiaoping i Jimmy Carter, 1979 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION, KARL H. SCHUMACHER

Dla wielu Chińczyków, którzy chcieli osiągnąć sukces w biznesie, przedsiębiorcy z Wenzhou, tacy jak właśnie Gao i Wang, stanowili wręcz wzór (oni sami podkreślali z dumą swoje pochodzenie). Stąd nie powinno dziwić, że na rynku księgarskim w ChRL pojawiły się przeróżne poradniki biznesowe z Wenzhou w roli głównej, jak choćby „Żydzi Wschodu. Handlowe historie pięćdziesięciu przedsiębiorców z Wenzhou".

„Mieszkańcy Wenzhou są znani w całych Chinach ze swoich przedsiębiorczych zdolności. W kraju, gdzie miliony osób przenoszą się ze wsi do miast, przechodzą z uprawy roli do biznesu, mieszkańcy południowej części prowincji Zhejiang są pierwowzorem chłopów przedsiębiorców – tłumaczy Hessler w swojej książce. – W latach osiemdziesiątych XX wieku, kiedy w chińskiej gospodarce zapoczątkowano prywatną inicjatywę, ludzie z tego miasta zareagowali tak szybko, że władze zaczęły wychwalać rozwój terenów wiejskich według »modelu Wenzhou«. Trudno sobie wyobrazić prostszą strategię biznesową: niskie koszty produkcyjne, produkty niskiej jakości, niski margines zysku [...]. Z czasem przedsiębiorcy z Wenzhou opanowali całe południe [...]. Biznesmeni z Wenzhou często przyjeżdżali do wsi, zakładali kilka fabryk, a później miejscowi podchwytywali pomysł. Wiele miasteczek produkujących jeden typ towaru powstało właśnie w taki sposób, co przyczyniło się do ogólnego sukcesu gospodarczego prowincji Zhejiang".

Władze Lishui starały się nie dopuścić do przemysłowej monokultury, więc zapraszały do swojej strefy ekonomicznej przedsiębiorstwa z różnych branż. Niestety, w końcu pojawiły się również firmy produkującej skaj, czyli sztuczną skórę. Szefostwo strefy ekonomicznej nie mogło jednak na tym etapie wybrzydzać, więc pozwoliło producentom skaju na rozpoczęcie działalności. Mieszkańcy Wenzhou mieli już dość zanieczyszczeń, które powoduje produkcja tego materiału, dlatego coraz więcej firm z tego miasta przenosiło się do interioru, m.in. do Lishui. Ceną za rozwój prowincji była więc zgoda na trucie powietrza, gleby i wody. I tak przez wiele dekad roz-

eprasa.pl 93b77a6ac4

wijały się Chiny – kosztem spektakularnego wzrostu PKB były problemy zdrowotne milionów ludzi pracujących w takich zakładach lub mieszkających w ich pobliżu.



Elektryczny samochód BYD

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FRANK SCHWICHTENBEG

Pekin czuwa

„Nieważne, jakiego koloru jest kot, ważne, by łapał myszy" – to słynne zdanie Deng Xiaopinga pokazuje pragmatyzm chińskich komunistów, którzy przejęli władzę po śmierci Mao. Partia musiała pozostać jedynowładcą, ale w kwestiach gospodarczych należało odejść od komunistycznej doktryny. Zapoczątkowane w 1978 r. przemiany otworzyły kraj na kapitał zagraniczny i pozwoliły też samym Chińczykom zakładać prywatne przedsiębiorstwa. Władze miały odtąd przestać realizować utopijne wizje i skupić się na tworzeniu warunków do szybkiego rozwoju.

W 1980 r. Deng stworzył w Shenzen pierwszą w ChRL Specjalną Strefę Ekonomiczną, gdzie przedsiębiorcy mogli prowadzić biznes na bardzo preferencyjnych warunkach (w tym przypadku kluczowa była też bliskość Hongkongu). W kolejnych latach takie strefy zaczęły wyrastać w całych Chinach. Konkurenci oskarżali jednak Pekin, że preferencje nie ograniczają się tylko do ulg podatkowych. Działające w strefach firmy mogły bowiem korzystać z różnych mniej lub bardziej ukrytych dotacji (jak choćby dużo tańszy prąd), przez co zaburzana była naturalna rynkowa gra. Mówiąc wprost: komunistyczne Chiny oskarżane są od lat o subsydiowanie własnych firm, co sprawia, że ich produkty są sztucznie tanie i wykańczają przez to zagraniczną konkurencję.

Doktor Krzysztof Iwanek, indolog i historyk, wskazuje na istotną przewagę Chin nad Indiami w kwestii napędzania rozwoju gospodarczego. „W Chinach rozwój jest centralnie planowany i nad wszystkim czuwa Pekin. Spójrzmy choćby na kwestię własności ziemi – tłumaczył w rozmowie ze mną dr Iwanek. – Chińczykom łatwo było tworzyć wielkie strefy gospodarcze i doprowadzać do nich niezbędną infrastrukturę w sytuacji, gdy ziemia należy tam do państwa. Chińskim władzom nietrudno było przesiedlać ludzi, by robić miejsce dla ogromnych projektów. W Indiach jest inaczej. Za każdym razem państwo musi w takich przypadkach postępować wedle określonych procedur, chłopi mogą walczyć o swoje przed sądami, w związku z czym już na tym poziomie pojawiają się problemy".

Mimo że Indie również modernizują swoją gospodarkę, nic w historii świata – pod względem skali – nie może się równać z rozwojem Chin w ciągu ostatnich czterech dekad. Dość powiedzieć, że od 1989 r. średni wzrost chińskiego PKB wynosi niemal 9 proc. rocznie. Gdy Deng Xiaoping przejmował władzę w państwie, PKB ChRL wynosiło niecałe 150 mld dol. W 2012 r. wskaźnik ten urósł do poziomu 8,2 bln (!) dol., a w zeszłym roku sięgnął 19 bln dol. Jeszcze ćwierć wieku temu Chiny były szóstą największą gospodarką świata, dziś są na drugim miejscu (PKB USA wyniósł w 2024 r. ok. 29 bln dol.).

Liczby te mają też przełożenie na poziom życia. Od 1990 do 2015 r. odsetek Chińczyków żyjących w skrajnym ubóstwie (za mniej niż 2 dol. dziennie) zmniejszył się z 67 (!) proc. do mniej niż 1 proc. Nie można też jednak zapominać, że wzrost gospodarczy Chin napędzany był – i wciąż jest – również przez niewolniczą pracę ludzi zamkniętych w obozach (dziś to głównie Ujgurzy).

Dopalacz WTO

Jednym z kluczowych momentów na drodze rozwoju gospodarczego ChRL było wpuszczenie tego państwa w 2001 r. do Światowej Organizacji Handlu (WTO). Bill Clinton, który był zwolennikiem tego kroku, przekonywał, że Chiny zdemokratyzują się dzięki budowaniu więzów gospodarczych ze światem, a także amerykański biznes na tym zyska. Dziś zdecydowana większość amerykańskich polityków uważa, że zgoda USA na wejście Chin do WTO była ogromnym błędem. Dzięki przynależności do tej organizacji zmniejszone zostały cła na chińskie towary, co jeszcze bardziej przyspieszyło rozwój ChRL, a Pekin ani myśli demokratyzować państwo. Amerykańscy konsumenci mogli się oczywiście cieszyć z jeszcze tańszych dóbr konsumpcyjnych, ale ceną za to było przenoszenie całych gałęzi ich przemysłu właśnie do Chin.

Zachodnie firmy od wielu lat oskarżają ChRL o kradzież patentów, a mimo to nie wycofują produkcji z tego kraju. Chińczycy przejmowali też zachodnie technologie zupełnie otwarcie, wymagając, by zagraniczne firmy zamierzające działać na chińskim rynku wchodziły w kooperację z miejscowymi przedsiębiorstwami. W ten sposób siłą rzeczy musiało dochodzić do „dyfuzji" technologii.

Efekty konsekwentnej realizacji wieloletniej strategii Pekinu najlepiej widać w branży aut elektrycznych. Największe światowe koncerny motoryzacyjne rozumieją już, jak trudno będzie konkurować na tym polu z Chinami.

„Europa widzi, że koszty produkcji aut elektrycznych w Chinach są zupełnie nieporównywalne. Wynika to po części z tego, że w ChRL producenci otrzymują wysokie subsydia. Na preferencyjnych warunkach dostają m.in. ziemię pod inwestycje czy energię elektryczną. Oferowane przez nich ceny nie są więc rynkowe – tłumaczył w rozmowie ze mną dr Jakub Jakóbowski, znawca chińskiej gospodarki, wicedyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich. – Zarówno Musk, jak i inni producenci aut nie zakładali, że Chińczycy będą w stanie tak szybko rozwijać się pod względem technologicznym. Uważali, że skoro Chińczykom nie udało się zbudować własnych wielkich marek samochodowych, to podobnie będzie w przypadku aut elektrycznych. Analiza chińskich strategii gospodarczych pokazuje, że już na samym początku XXI w. elektromobilność była dla Pekinu priorytetem. Światowi giganci, w tym Musk, nie docenili Chińczyków. Co ciekawe, Niemcy tak bardzo zaspali, że dziś muszą sięgać do Chin jako do źródła technologii!".

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93b77a6ac4

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 93b77a6ac4



Panorama Hongkongu
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TAO HO

Wieki XIX–XXI / Hongkong bramą do Azji

Cud „Pachnącego Portu”



Piotr Semka

Mała wioska rybacka za sprawą Brytyjczyków przeżyła spektakularny cud gospodarczy. Czy komunistyczne Chiny, stopniowo odbierając Hongkongowi demokratyczne wolności, będą w stanie utrzymać jego wyjątkowy status i powodzenie?

Wszystkie europejskie mocarstwa, które – począwszy od XV w. – zaczęły eksplorować obce kontynenty, potrzebowały stałych baz na oddalonych obszarach globu. Były one konieczne, by zapewnić zapasy wody pitnej i żywności, a także by kontrolować najważniejsze szlaki morskie. Szansą dla rozwoju małej wioski rybackiej Hongkong („Heung Gong” oznacza po kantońsku „Pachnący Port”) było to, że znajdowała się ona w zacisznej zatoce, po drodze do Kantonu, najważniejszego portu i centrum handlowego południowych Chin.

Pierwszymi Europejczykami, których zobaczono w tych stronach, byli Portugalczycy, którzy zaczęli handlować w południowych Chinach. Wtedy jednak Cesarstwo Chińskie zareagowało na próby kontaktów bardzo brutalnie – synom Luzytanii zabroniono wpływać na szlak wiodący do Kantonu. Doszło do paru bitew morskich, które odstraszyły Portugalczyków. Co więcej, zakazano mieszkańcom okolic dzisiejszego Hongkongu wypływania w morze, a po pewnym czasie nawet wysiedlono ich w głąb lądu.

O ile Cesarstwo Chińskie w połowie XVI w. było na tyle silne, by odpędzić „zamorskie diabły” od swoich wybrzeży, o tyle już na przełomie wieków XVII i XVIII władza centralna na tyle osłabła, by u brzegów Hongkongu znów pojawiły się obce statki. Tym razem były to jednostki Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, które przepływały obok Hongkongu w drodze do Kantonu, gdzie w 1711 r. założono stałą brytyjską placówkę handlową. Ale oprócz oficjalnych interesów Anglicy prowadzili też nielegalne geszefty, do których należała bardzo zyskowna sprzedaż opium z brytyjskich Indii do Chin. Te „lewe” rejsy wymagały zacisznego portu, gdzie wyładowywano narkotyk i sprzedawano go lokalnym handlarzom.

Przez kolejne 150 lat Chiny będą się broniły przed zalewem taniego opium przywożonego przez Brytyjczyków. Takie było tło trzech wojen opiumowych z lat 1838–1860. Brytyjczycy po raz pierwszy wbili swoją flagę na terenie dzisiejszego Hongkongu 20 stycznia 1841 r. Był to wynik zwycięstwa Wielkiej Brytanii nad Państwem Środka w pierwszej wojnie opiumowej (1839–1842). Trzeba było kolejnej wojny, aby Chiny faktycznie, choć nie de iure, uznały brytyjskie władztwo nad wyspą.

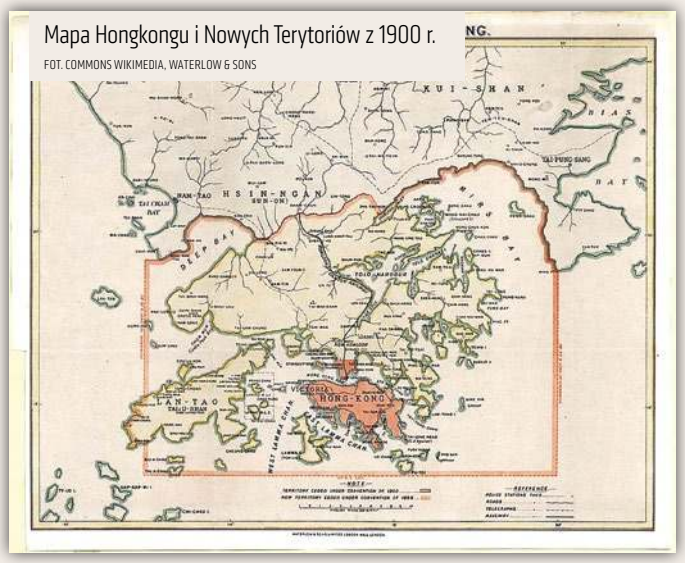
Trucizna z Esing

Miasto żyło z opium, choć jednocześnie było też ośrodkiem wolnego handlu na terenie Azji. 15 stycznia 1857 r. miało miejsce wydarzenie, które w sposób symboliczny zapowiadało przyszłe losy miasta. Oto w piekarni Esing, która uzyskała zamówienia na dostawy pieczywa do garnizonu brytyjskiego, pewien

eprasa.pl 93b77a6ac4



Hongkong w 1868 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JOHN THOMPSON



Mapa Hongkongu i Nowych Terytoriów z 1900 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WATERLOW & SONS

zwolennik ruchu niepodległościowego dodał do bochenków arszenik. Kilkaset osób się zatruło, ale było też kilka ofiar śmiertelnych. Był to znak, że dla chińskich patriotów Hongkong pod flagą Union Jacka będzie stanowić symbol zniewolenia ich kraju przez obcych. Co jednak charakterystyczne, pracownicy i właściciel piekarni zostali przez brytyjski sąd uniewinnieni z powodu braku dowodów na ich udział w tym w antybrytyjskim spisku. Właśnie takie werdykty uświadamiały Chińczykom istnienie nieznanego im fenomenu – niezależne sądy respektują prawa oskarżonych i nie muszą drżeć przed wolą przekupnych chińskich sędziów.

To przeciwstawienie – z jednej strony obca okupacja, a z drugiej sprawiedliwe prawo – będzie powodować różnice w postawach Chińczyków, którzy przeszli pod władzę brytyjskiej Korony. Dla części z nich rządy brytyjskie będą zawsze symbolem upokorzeń i podbijania kraju przez obcych. Dla innych jednak władza Londynu będzie uważana za błogosławieństwo i szansę na nauczenie się zasad współżycia zbiorowego, które odróżniały ówczesną Wielką Brytanię od większości azjatyckich państw.

W 1860 r. Wielka Brytania i Chiny podpisują Konwencję Pekińską, która reguluje zasady istnienia tego kolonialnego portu. Od teraz można się już spokojnie oddać handlowi. Fascynujące jest czytanie wspomnień Chińczyków żyjących w drugiej połowie XIX w., którzy przeżywali swoiste rozdwojenie sumienia. Z jednej strony wiedzieli, że Wielka Brytania bogaci się na zatruwaniu Chin narkotykiem, ale z drugiej strony to do Hongkongu zmierzali ci wszyscy Chińczycy, którzy chcieli się nauczyć, w jaki sposób czołowe wówczas mocarstwo światowe organizuje swe życie publiczne. Hongkong był szkołą nowych trendów politycznych dla kolejnych pokoleń synów Państwa Środka. Od raczkujących jeszcze niepodległościowców z połowy XIX w. przez późniejszych republikanów z obozu Sun Jat-sena, aż do pierwszych chińskich marksistów.

Kwestia dzierżawy

Chińczycy obserwują też, jak wraz z brytyjską władzą przybywają do Hongkongu nieznane wcześniej nowinki. W 1845 r. powstaje tam pierwsza brytyjska gazeta – „China Mail", w 1861 r. zostaje założony ogród botaniczny, a trzy lata później pojawiają się pierwsze gazowe latarnie. W 1871 r. Hongkong połączono kablem telegraficznym z Singapurem, a w 1873 r. wyszedł pierwszy dziennik po chińsku. Regularna komunikacja tramwajów (z czasem piętrowych!) ruszyła tam na samym początku XX w.

Wreszcie przyszedł czas na trwałe zalegalizowanie obecności imperium w tym rejonie świata. W 1898 r. Chiny i Wielka Brytania ostatecznie ustaliły status kolonii Hongkong, która w tym czasie rozrosła się poza samą wyspę i objęła wiele okolicznych wysp oraz tereny znajdujące się już w kontynentalnych Chinach. I znów chińscy patrioci wspominają tzw. wojnę sześciodniową w 1899 r., w trakcie której część klanów chińskich z tzw. Nowych Terytoriów (kontynentalnej części Hongkongu) próbowała zrzucić władzę królowej Wiktorii.

To, że stosunkowo szybko zostały one pokonane, wynikało z tego, że większość Chińczyków nie przyłączyła się do walki. Rozumieli oni, że pod władzą brytyjskiego aparatu kolonialnego mają więcej szans na robienie interesów. Ci ludzie cenili sobie istnienie nienaruszalnych, kolonialnych przepisów, co było nie do pomyślenia w ówczesnych Chinach.

Brytyjczycy byli wówczas u szczytu swojej potęgi i byli pewni, że horyzont 99 lat dzierżawy to bezpieczny okres, po którym na pewno znajdą jakiś nowy sposób, aby utrzymać ten skrawek Chin pod swoją władzą.

Złoty interes

Na początku XX w. Hongkong był jednym z największych portów handlowych na świecie. W 1904 r. obrócono tam 12 mln ton rozmaitych materiałów i surowców, co stawiało go wyżej od najważniejszych portów europejskich. Spowodowało to ogromny skok gospodarczy i wyłonienie się pierwszej generacji biznesmenów rdzennie chińskich. W Hongkongu działały stocznie, cukrownie, fabryki konserw, wielkie zakłady tekstylne, słowem: pieniądz rodził pieniądz.

W 1925 r. miasto liczyło już 625 tys. osób, z czego tylko 3 proc. stanowili biali. Według spisu z 1931 r. w mieście żyło 14,4 tys. Brytyjczyków, z czego połowę stanowili żołnierze miejscowego garnizonu. Kolejną grupę stanowili Portugalczycy (3,2 tys. osób), do których zaliczano też sporą część Metysów wywodzących się ze związków chińsko-portugalskich.

eprasa.pl 93b77a6ac4



Brytyjscy żołnierze na wzgórzach Hongkongu, 1941 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Właśnie w 1925 r. Brytyjczycy po raz pierwszy przekonali się, jak wielką siłą mogą być hasła niepodległościowe sączone przez agitatorów zarówno nacjonalistycznego Kuomitangu, jak i coraz silniejszego chińskiego ruchu komunistycznego. Wielotysięczny hongkoński proletariat walczył jednocześnie na rzecz poprawy swoich warunków życia i demonstrował niechęć do brytyjskiej okupacji. Wielki strajk, który obfitował w demonstracje i starcia z policją, trwał od czerwca do października 1925 r. A jednak Brytyjczykom udało się opanować sytuację. Nie byliby w stanie tego zrobić, gdyby nie fakt, że najbogatsze chińskie rodziny przemysłowców i kupców z niepokojem stwierdziły, iż po roku chaosu handel Hongkongu z resztą świata spadł o połowę. W związku z tym same zaczęły dbać o porządek w kolonii.

Naciski USA

W grudniu 1941 r. Japonia wystąpiła przeciwko USA i Wielkiej Brytanii. Ponieważ Japończycy kontrolowali południe Chin już od końca lat 30., zdobycie niewielkiego Hongkongu nie było dla cesarskiej armii specjalnym problemem. Już 25 grudnia dowódca sił brytyjskich na terenie miasta podpisał w tamtejszym hotelu The Pennisula akt kapitulacji. Z dnia na dzień ok. ośmiotysięczna społeczność białych Brytyjczyków spadła do rangi pariasów – wydzielane im racje żywnościowe spychały ich na skraj niedożywienia. W oczach japońskich okupantów każdy Brytyjczyk (i – szerzej – biały) był potencjalnym agentem. Wielki wstrząs wywołała w Londynie wiadomość o ścięciu w 1942 r. siedmiu Brytyjczyków za słuchanie zakazanego Radia BBC.

Japońska okupacja kończy się 15 sierpnia 1945 r., gdy miasto zdobywa flotylla Royal Navy. Przez pewien czas Anglicy stają wobec zaskakującego wyzwania. Oto USA wywierają nacisk na Londyn, aby dla wzmocnienia prestiżu wodza Kuomitangu Czang Kaj-szeka walczącego z komunistami Hongkong został zwrócony Chinom. Władze w Londynie bez wahania odrzucają te żądania.

Na początku 1946 r. Hongkong wygląda jak jedna wielka ruina. Japońscy okupanci pozostawili po sobie gruzy. Rok wcześniej w Hongkongu mieszkało tylko 600 tys. ludzi, czyli mniej niż połowa jego przedwojennej populacji. I wtedy Hongkongowi pomogła historia. W sąsiednich Chinach władzę zaczął przejmować komunista Mao Zedong, którego wojska w 1949 r. dotarły do granic brytyjskiej kolonii. Do miasta rządzonego przez Brytyjczyków uciekali więc chińscy przedsiębiorcy, bankierzy i kupcy. Przywieziony przez nich kapitał pozwolił nadać lokalnej gospodarce nowego rozpędu.



Flaga brytyjskiego Hongkongu
FOT. COMMONS WIKIMEIDA, COLLEGE OF ARMS

Gangi Hongkongu

Trzy powojenne dekady to okres hongkońskiego cudu gospodarczego. Tamtejsi przedsiębiorcy kopiują doświadczenia powojennej Japonii i Korei, szybko unowocześniając swój przemysł. Jest to o tyle łatwe, że biznes ma do dyspozycji mnóstwo tanich robotników w postaci uciekinierów z kontynentalnych Chin. Pamiętając o komunistycznej nienawiści do „wyzyskiwaczy", chińscy przedsiębiorcy szanują i błogosławią prawo brytyjskie – czytelne i wspierające inicjatywę gospodarczą.

Nie ma jednak poczucia pełnej stabilności, narasta bowiem lęk przed interwencją z kontynentu. Mao kieruje do Hongkongu dziesiątki tysięcy agitatorów, którzy podburzają proletariat hongkoński wizją dobrobytu budowanego rzekomo w komunistycznych Chinach. Właśnie z powodu lęku przed uzyskaniem przez komunistów wpływów władze brytyjskie porzucają projekt reform demokratycznych.

Komuniści bez skrupułów wykorzystują też inne tradycyjne źródło zysków na terenie Hongkongu. Brytyjska posiadłość staje się miejscem produkcji syntetycznych narkotyków, które zalewają okoliczne państwa. Dla ekipy Mao to uzasadniony moralnie środek, za którego pomocą skruszona ma być władza imperializmu w Azji. Dla Londynu staje się to wielkim problemem. Rzecz w tym, że wraz z uciekającymi z Chin biznesmenami do Hongkongu przybyli też liderzy gangów i triad chińskich. Nowe grupy przestępcze były bardzo trudne do zinfiltrowania przez brytyjską policję.

W niełatwej dekadzie lat 60. sytuacja niemal wymyka się spod kontroli, gdy do Hongkongu docierają fale rewolucji kulturalnej Mao. Powstaje wrażenie, że nad polityką zagraniczną Chin już nikt nie panuje, a młodzi radykałowie zachęceni przez Mao do „zakończenia brytyjskiej imperialistycznej okupacji" otrzymali wolną rękę, by wysadzić kolonię w powietrze. Jednak Brytyjczyków znów ratuje zdrowy rozsądek większości mieszkańców kolonii. Fala ataków

eprasa.pl 93b77a6ac4

bombowych, które opinia publiczna wiąże z działalnością agentów komunistycznych, wywołuje ostracyzm społeczności chińskiej wobec agresorów. Sytuacja w końcu się uspokaja i z lotniska wojskowego w Hongkongu znika trzymany w stałej gotowości na potrzeby gubernatora samolot brytyjski, który miał go ewakuować do Londynu.



Rewolucja parasolek, 2017 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PASU AU YERUNG

Niepewna ugoda

Lata 70. to okres stabilizowania sukcesu finansowego Hongkongu, szczególnie poprzez zwalczanie korupcji. I oto w połowie lat 70. pojawia się pewien fenomen. Energiczny gubernator Murray MacLehose twardą ręką eliminuje korupcję i odbudowuje prestiż policji. To z kolei pozwala złamać kręgosłup chińskim mafiom i uwalnia energię przedsiębiorców, którzy wcześniej dręczeni byli haraczami. Rozpoczyna się też epoka taniego budownictwa mieszkaniowego, cywilizowania najbardziej zakazanych dzielnic i wreszcie budowa pięknych parków. I właśnie wtedy, gdy Hongkong powoli staje się dla Azjatów symbolem udanego modelu życia publicznego, Brytyjczycy przypominają sobie, że w 1997 r. kończy się ich 99-letnia dzierżawa. Londyn dawno już porzucił mocarstwowe ambicje i rozumie, że przy jednoznacznym stanowisku Chin komunistycznych żądających zwrotu kolonii nie ma szans na zachowanie swojej władzy nad tymi ziemiami.

Problem hongkoński jak byka za rogi chwyta nowo upieczona premier Margaret Thatcher. Wykorzystuje przy tym fakt, że Chiny od końca lat 70. rozpoczęły eksperymenty z gospodarką wolnorynkową. W 1984 r. „żelazna lady" przybywa do Pekinu, aby podpisać wspólną deklarację chińsko-brytyjską w sprawie przyszłości kolonii. Brytyjska dyplomacja uspokaja jej chińskich mieszkańców, że w trakcie negocjacji udało się uzgodnić zachowanie reguł wolnorynkowych i swobód demokratycznych, które zapewniali Brytyjczycy. W myśl umowy 1 lipca 1997 r. kolonia stanie się Specjalnym Regionem Administracyjnym Chińskiej Republiki Ludowej. Komunistyczni negocjatorzy zachowywali się dosyć umiarkowanie, gdyż chiński przywódca Deng Xiaoping wbił im do głowy, że bezkonfliktowe wcielenie Hongkongu do ChRL może skłonić Tajwan do przyłączenia się do wspólnego państwa na podobnych zasadach. Nie wszyscy jednak wierzą obietnicom składanym przez Pekin. Najtwardsi antykomuniści wybierają emigrację. Pozostała część ludności może wziąć udział w pierwszych wyborach do Rady Legislacyjnej. Staje się ona pierwszym w historii Hongkongu quasi-demokratycznym organem wybieralnym.



Herb Hongkongu
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TAO HO

Nadzieje na zmiany w ChRL burzy stłumienie demonstracji chińskich studentów 4 czerwca 1989 r. na pekińskim placu Tian'anmen. Na uroczystości żałobnej za ofiary komunistycznej zbrodni zbiera się w centrum miasta ponad milion ludzi, co jest największą tego typu uroczystością w dziejach Hongkongu.

W połowie lipca 1997 r. usunięte zostają wszystkie brytyjskie symbole oraz znikają czerwone skrzynki pocztowe Royal Mail. Gdy lew Albionu wraz z chińskim smokiem zniknęły z urzędów w Hongkongu, nowym symbolem miasta stał się kwiat bauhinii – egzotycznej rośliny, którą jako gatunek typowy dla Hongkongu odkrył w 1880 r. brytyjski botanik Henry Blake.

Utrzymane jednak zostają lewostronny ruch i możliwość używania języka angielskiego w urzędach. Stare pomniki królowej Wiktorii czy króla Jerzego V również pozostają na swoim miejscu. Obywatele Specjalnego Regionu Administracyjnego dostali prawo do otrzymania brytyjskich paszportów [osobnej kategorii, tzw. British National (Overseas) passport], co ułatwiało im emigrację.

Z czasem politycy partii demokratycznych zaczynają bić na alarm. Wskazują, że prawa mieszkańców Hongkongu są stopniowo ograniczane. Cezurą jest marzec 2021 r., gdy chiński parlament wprowadza zmiany w systemie wyborczym. Pozornie są one nieznaczne, ale ci, którzy dobrze znają metody działania Pekinu, wskazują, że demokracja w tej specjalnej strefie została właściwie wykastrowana.

13 marca 2021 r. szef dyplomacji brytyjskiej Dominic Raab ogłosił, że Chiny komunistyczne złamały wspólną deklarację. Od tego czasu sygnałów o budowaniu tam demokracji sterowanej jest coraz więcej. Znacznie ograniczona została też wolność słowa, choć oczywiście standardy hongkońskie są wciąż nieporównywalnie wyższe niż w Chinach kontynentalnych. Coraz częściej pojawiają się obawy, że kolejnym krokiem władz w Pekinie będzie likwidacja niezależnego sądownictwa, ostatniego elementu wyraźnie odróżniającego Hongkong od reszty kraju.

Chińscy komuniści zaostrzają politykę wobec byłej brytyjskiej kolonii także pod wpływem własnego rozczarowania – przejęcie Hongkongu od Wielkiej Brytanii w żadnym razie nie skłoniło Tajwanu do przyłączenia się do ChRL...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93b77a6ac4



Mieszko II i Rycheza. Z „Pocztu królów i książąt polskich" Jana Matejki

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

XI w. / Powrót Mieszka II z czeskiej niewoli

Król bez korony



Leszek Lubicki

Przez całe wieki przylegał do Mieszka II przydomek Gnuśny, choć władca ten nie zasłużył sobie na tak krzywdzące miano. Przyszło mu żyć w trudnych i skomplikowanych czasach, obejmując tron po dwóch niezwykle silnych przodkach

Gall Anonim w iście literacki sposób opisał moment śmierci Bolesława Chrobrego. Król wiedząc, że odchodzi z tego świata, miał powiedzieć zgromadzonym przy jego łożu: „Biada, biada! Już jakby w niejasnym odbiciu widzę potomstwo królewskie błąkające się na wygnaniu i błagające o miłosierdzie wrogów, których ja nogami podeptałem!".

Faktem jest, że już za czasów jego syna i następcy – Mieszka II – działo się w Polsce bardzo źle. To czasy najtragiczniejsze dla samego drugiego polskiego króla, a także na pewno jedne z najbardziej dramatycznych dla Polski piastowskiej. Rok 1031 i kolejne lata mogły doprowadzić do całkowitego rozpadu Królestwa Polskiego. Zajęcie miejsca przynależnemu z woli ojca królowi Mieszkowi II przez Bezpryma, jego przyrodniego brata, nie byłoby możliwe bez pomocy Jarosława Mądrego, a wcześniej cesarza Konrada II, z którym Mieszko musiał zawrzeć niekorzystny pokój, tracąc zdobycze swojego ojca – Łużyce i Milsko. Mieszko zakładał, że dzięki zakończeniu konfliktu zbrojnego z Niemcami powstrzyma najazd Rusinów inspirowany przez Bezpryma. Nie udało się. Stanisław Rosik: „Osłabiony dopiero co zakończoną wojną na Łużycach Mieszko nie był w stanie skutecznie przeciwstawić się najazdowi ze wschodu. Zmuszony został do ucieczki z kraju do Czech".

Nasi sąsiedzi przy tej okazji mogli się wreszcie odegrać za ekspansywną politykę Chrobrego. Jarosław nie zabawił na polskiej ziemi długo. Zajął Grody Czerwieńskie, a po zdobyciu licznych łupów i wzięciu do niewoli wielkiej liczby brańców powrócił do swojego kraju. Bezprym, nie mając już przeciwnika, objął tron, zapewne także przy pomocy opozycji wewnętrznej, która liczyła, że będzie on bezwolnym narzędziem w ich rękach. Stało się jednak odwrotnie. Bezprym zaczął bezwzględnie rozprawiać się z wcześniejszymi współpracownikami wygnanego króla. To, „że mogli

eprasa.pl 93b77a6ac4

wśród nich być biskupi i wyższe duchowieństwo, jest bardzo prawdopodobne" (Labuda, 2002).

Rycheza i Bezprym

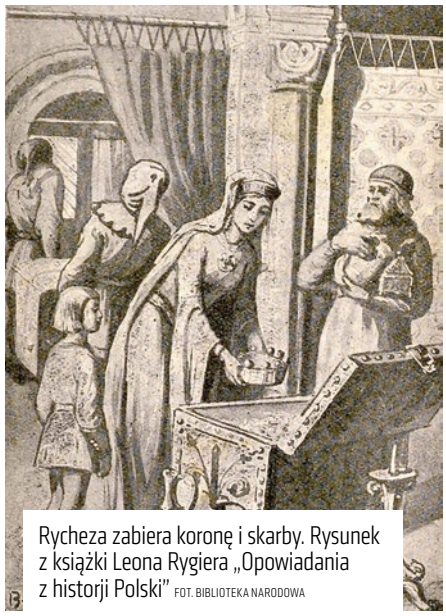
W Polsce natomiast pozostały żona Mieszka II, Rycheza, pierwsza w naszych dziejach królowa, oraz ich dzieci. Nie wiemy dokładnie, jaki był stosunek Bezpryma do królowej. Na pewno miał świadomość, z kim ma do czynienia. To przecież wnuczka cesarza rzymskiego Ottona II i jego żony Teofano – była zatem także potomkinią cesarzy bizantyjskich. A dodatkowo siostrzenicą Ottona III, czyli tego, który założył na głowę Chrobremu swój cesarski diadem podczas zjazdu gnieźnieńskiego w roku 1000. Jej ojcem był Ezzon, palatyn Lotaryngii, bardzo ważna persona w Rzeszy niemieckiej. Zatem ślub Mieszka II z Rychezą zawarty prawdopodobnie w 1013 r. był, jakkolwiek by patrzeć, wielką nobilitacją dla Piastów. Był także jasnym sygnałem, kogo Bolesław przeznaczył na swojego następcę. To od Rychezy wywodzą się wszyscy zasiadający na królewskim czy też wielkoksiążęcym tronie Piastowie, do ostatniego piastowskiego króla, Kazimierza Wielkiego, włącznie. Wielu historyków uważa, że Rycheza to jedna z najwybitniejszych żon władców piastowskich. „Potomkini jednego z wybitniejszych rodów frankońskich, należała nie tylko do ścisłego grona najwyższej arystokracji ówczesnej Europy, lecz również do – bodaj czy nie bardziej jeszcze ekskluzywnego – środowiska europejskiej elity umysłowej" (Urbański, 2006).

Bezprym był pierworodnym synem Chrobrego, nie może więc dziwić, że stanął w obronie przynależnych mu praw (których pozbawił go ojciec). Niemniej dochodził ich w sposób nikczemny – w wyniku zdrady stanu. Tak, Bezprym był pierwszym zdrajcą Polski. Wcześniej taka sytuacja nigdy nie miała miejsca. Państwo Mieszka I i Chrobrego było pod tym względem spójne.



Księżna Matylda wręcza księgę liturgiczną Mieszkowi II FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Po objęciu tronu Bezprym przeznaczył jedną z dzielnic, prawdopodobnie zasobny Śląsk, swojemu bratu przyrodniemu, a rodzonemu Mieszka II, czyli Ottonowi. To ten ostatni namawiał cesarza do starcia z Polską i tym samym pomógł w przewrocie. Otton mógł się więc czuć usatysfakcjonowany. A co z Rychezą? Hipotez na temat wyjazdu Rychezy z Polski od wieków było kilka – czy był to jeden raz czy też powrót po ponownym zajęciu tronu przez Mieszka II i ponowny wyjazd, a także w jaki sposób wywiozła



Rycheza zabiera koronę i skarby. Rysunek z książki Leona Rygiera „Opowiadania z historji Polski" FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

insygnia królewskie. Jednak – jak zauważa badaczka życia królowej – „materiał źródłowy, który od wielu dekad służy badaczom jako podstawa rekonstrukcji, jest niezmienny i ubogi. W zawiązku z tym wiarygodną wydaje się teza mówiąca, że zasób racjonalnych wariantów zdarzeń uległ wyczerpaniu i świat nauki jest skazany na ciągłe powtarzanie istniejących już hipotez" (Delimata-Proch, 2019).

Klasztor

Można przyjąć, że Bezprym w żadnym przypadku nie chciał konfliktu z cesarzem i w jakiś sposób „dogadał" się z królową. Zdawał sobie sprawę, że „przynajmniej w początkowym okresie po wywalczeniu władzy w Polsce jego panowanie nie jest możliwe bez życzliwości ze wschodu Jarosława Mądrego, a z zachodu cesarza Konrada II, szwagierka Rycheza, pochodząca z pierwszych rodzin Rzeszy, pozostawała osobą, z która należało się obchodzić z wszelkimi atencjami. Zwłaszcza że jej prywatny konflikt z mężem rzeczywiście nie czynił z niej jakiejś zagorzałej obrończyni Mieszka II" (Śliwiński, 2014).

Bezprym daje jasno do zrozumienia Konradowi II, że nie interesuje go koronacja. Testem na lojalność w stosunku do cesarza było odesłanie mu polskich insygniów koronacyjnych. Przede wszystkim oddaje dwie korony – Mieszka II, czyli tę samą, którą koronował się Chrobry, oraz królowej Rychezy. Jak pisze Marek D. Kowalski: „Bezprym odesłał cesarzowi koronę, rezygnując w ten sposób z królewskiej godności. Koronę wywiozła do Niemiec Rycheza. Wyjeżdżając z Polski, zabrała ze sobą syna Kazimierza [oraz dwie córki, jedną nieznaną z imienia oraz Gertrudę, późniejszą żonę księcia kijowskiego Izasława, syna Jarosława Mądrego – przyp. red.], obawiając się o jego los. Wyjazd Rychezy i Mieszkowego syna był na rękę Bezprymowi, bo pozbywał się w ten sposób rywala i ewentualnych przywódców buntu. Źródła niemieckie jako dodatkowy powód opuszczenia

eprasa.pl 93b77a6ac4



„Rycheza". Obraz Wojciecha Gersona

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM MAZOWIECKIE W PŁOCKU

kraju przez królową podają rozdźwięki w małżeństwie. Mieszko miał trzymać nałożnicę, co było nie do zniesienia dla dumnej Rychezy" (Leksykon, 1999).

Królowa po opuszczeniu Polski pod koniec 1031 r. nigdy już tu nie wróciła. Jerzy Strzelczyk: „Wstąpiła do klasztoru i żyła aż 70 lat […]. Cesarz Konrad II pozwolił jej nosić tytuł królewski aż do śmierci. Została pochowana w Kolonii" („Władcy", 2018). Odrzucamy zatem hipotezę, że Rycheza po śmierci męża wróciła do Polski i sprawowała regencję w imieniu syna, ponieważ Kazimierz Odnowiciel miał wówczas 18 lat i był już sprawny do pełni rządów. Później jednak przysłużyła się Polsce. Pomogła synowi w powrocie do kraju przodków z drugiej już emigracji i w przywróceniu Piastom miejsca przynależnego „naturalnym panom królestwa".

Już na początku kolejnego roku (1032), po bardzo krótkich, acz krwawych rządach, Bezprym zostaje zamordowany. Niemiecki annalista zapisał: „W tym roku Bezprym został zabity przez swoich, nie bez przyczyny swoich braci, z powodu najstraszniejszej srogości swojego tyrańskiwa".

Powrót do domu

Po ucieczce do Czech Mieszko II został uwięziony przez tamtejszego władcę Udalryka (Oldrzycha). To ojciec niesławnego w Polsce Brzetysława I, który spustoszył nasz kraj w 1038 r. Przyczyny takiego postępowania czeskiego władcy następująco opisał Zdzisław S. Pietras: „Książę Udalryk powitał swojego przypadkowego gościa ze złośliwym uśmiechem. Oto przybywał do niego wieloletni wróg, straszny wódz potężnych hufców rycerskich, które niegdyś, w czasach Bolesława Chrobrego, siały postrach w Czechach. Udalryk musiał doznać uczucia nie lada satysfakcji, jaką daje nagłe odwrócenie losów. Mieszko nie miał już nic ze swojej dawnej siły, ze swojego majestatu, jaki otaczał go jeszcze przed rokiem, ba, nawet przed miesiącem. Nie liczył się, był po prostu prywatną osobą, człowiekiem powalonym, całkowicie zdanym na łaskę i niełaskę innych".

Jak uważa większość historyków, Mieszko został w Pradze okrutnie okaleczony, a mówiąc wprost – wykastrowany. Jednak mimo to nadziei (i woli) na powrót do ojczyzny nie stracił. Zwróćmy uwagę na zacytowany powyżej zapis z rocznikarza z Hildesheim o tym, że Bezpryma zamordowano „nie bez przyczyny braci". A zatem jeszcze będąc w czeskiej niewoli, Mieszko jakimś sposobem musiał porozumieć się z bratem Ottonem. Być może umożliwił mu to nawet Udalryk. Nie tylko nie pozbawił on Mieszka życia, lecz także uwolnił go i pozwolił mu wrócić do Polski. Nie znamy powodów, dla których tak postąpił. Zapewne wolał nie mieć w Polakach wrogów. Widział dobrze, że w Niemczech u boku matki żyje królewicz Kazimierz i gdy podrośnie, mógłby szukać zemsty. Stare rodowe prawo wręcz zobowiązywało go do tego. Tym bardziej że Kazimierz – jakkolwiek by patrzeć – był po kądzieli księciem Rzeszy. Nieprzypadkowo dano mu na drugie imię Karol, na cześć wielkiego cesarza.



Postać królowej Rychezy na pieczęci

FOT. MUZEUM POCZĄTKÓW PAŃSTWA POLSKIEGO W GNIEŹNIE

Groźba najazdu

Rocznikarz z Hildesheim zapisał: „Natychmiast więc Mieszko wrócił do ojczyzny. A ten rozeznawszy, że wszystko, co wycierpiał, słusznie go spotkało z powodu nieumiarkowanej swej zuchwałości, którą wyczyniał w latach poprzednich, skierował zaraz posłów swoich do cesarza i prosił o wyznaczenie czasu dla osobistego stawienia się i dania godnego zadośćuczynienia. I gdy potem za zgodą cesarza przybył do Merseburga i gdy się pokornie oddał pod władzę cesarza, zapomniawszy o koronie i wszystkich ozdobach królewskich, łaskawiej, niż sam mógł przypuszczać, przyjął go cesarz i królestwo, które przedtem sam posiadał, podzielił między niego i jego stryjecznego brata Thiedryka [Dytryka – przyp. red.], które jednak tenże potem znowu sobie przywłaszczył".

W ten sposób, przedstawiając niemiecki punkt widzenia, saski annalista ukazał kontakt Mieszka z cesarzem. Sam władca Polski z własnej woli spotkania z cesarzem raczej by nie szukał. Bo dlaczego miałby tak robić? Będąc wolnym już w swoim kraju, czując

eprasa.pl 93b77a6ac4

się nadal królem, postawił sobie jeden cel – zjednoczenie państwa pod swoją niepodzielną władzą. Udał się jednak do cesarza, ponieważ „Konrad przebywał zbrojnie w Słowiańszczyźnie. Inne roczniki mówią wręcz o wyprawie cesarza na Polskę. Nie ulega tedy wątpliwości, że Mieszko przybył do Merseburga wcale nie dobrowolnie, lecz pod groźbą ponownego najazdu niemieckiego" (Labuda, 2002).

Cesarzowi i jego przybocznym zależało, aby Polska nie była już królestwem, czyli państwem suwerennym politycznie, a wręcz żeby została podzielona. A nóż śladem swojego ojca zbierze Mieszko liczne siły, bo przecież rycerstwo żyło z wojen i łupów, których zabrakło już pod koniec panowania Chrobrego, i ponownie ruszy na zachód, a potem to już... uchowaj, Boże. Latem 1032 r. udaje się więc Mieszko do cesarza Konrada II, gdzie zostaje zmuszony do rezygnacji z korony królewskiej. Przyparty do muru godzi się na podział Polski na trzy części. Śląsk miał dalej spoczywać w rękach młodszego brata Ottona. Inną część państwa musiał wydzielić dla nagle pojawiającego się na arenie dziejów Dytryka, swego stryjecznego brata, potomka któregoś z synów Mieszka I, i jego ostatniej żony Ody. W miejsce jednolitej, potężnej monarchii Królestwa Polskiego powstaje twór złożony z trzech księstw zależnych od niemieckiego cesarza.

Przedwczesna śmierć

Nie trwa to jednak długo. Już na początku kolejnego roku życie traci Otton. Podejrzewa się niekiedy, że zszedł z tego świata za sprawą „działań zjednoczeniowych" Mieszka. Co do Dytryka też nie ma pewności. Albo został wygnany z powodu braku zwolenników, albo podzielił los Ottona. I tak oto szybko Mieszko II został jednowładcą – jedność państwa została odzyskana. Dwa lata po powrocie miał już pod swoimi rządami Wielkopolskę, Małopolskę, Śląsk, Mazowsze i Kujawy.

Przez całe wieki przylegał do niego przydomek Gnuśny – nie zasłużył sobie jednak na tak krzywdzące miano. Przyszło mu żyć w trudnych i skomplikowanych czasach, obejmując tron po dwóch niezwykle silnych przodkach. Walczył, nie poddawał się pomimo wcześniejszych upokorzeń. Niestety, umarł w maju 1034 r., mając zaledwie 44 lata. Podejrzewano nawet objawy szaleństwa spowodowane traumatycznymi przeżyciami, których doznał w Pradze, a nawet skrytobójstwo. Inne źródło mówi tylko o „przedwczesnej śmierci".



Grobowiec Rychezy w katedrze w Kolonii
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TADAM

Wieki później Jan Długosz ubarwił literacko jego śmierć, uważając, że choć był „w pełni sił i krzepkości, to jednak czy to z powodu wrodzonej skłonności, czy też dopustu Bożego, czy wreszcie z powodu choroby, która łatwo mogła powstać z rozwiązłości i rozpusty, popadł w obłąkanie, które często go napadało i męczyło jego ciało". Niczego nie można wykluczyć, ponieważ owe czasy to jeden wielki deficyt źródeł historycznych, wręcz „źródłowa czarna dziura".

W miejsce jednolitej, potężnej monarchii Królestwa Polskiego powstaje twór złożony z trzech księstw zależnych od niemieckiego cesarza

Wraz z Mieszkiem II zakończyła swój żywot pierwsza monarchia wczesnopiastowska. Jak do tej pory nie posiadamy wiedzy wskazującej dokładne miejsce jego pochówku. W „Kronice Polaków" Miechowity czytamy, że „został pochowany w ojcowskim grobie w Poznaniu". Zapewne mógłby jeszcze Mieszko II Lambert wiele dokonać, żyjąc dłużej, dzięki czemu jego jedyny syn Kazimierz zdołałby objąć po nim tron bez wstrząsów.

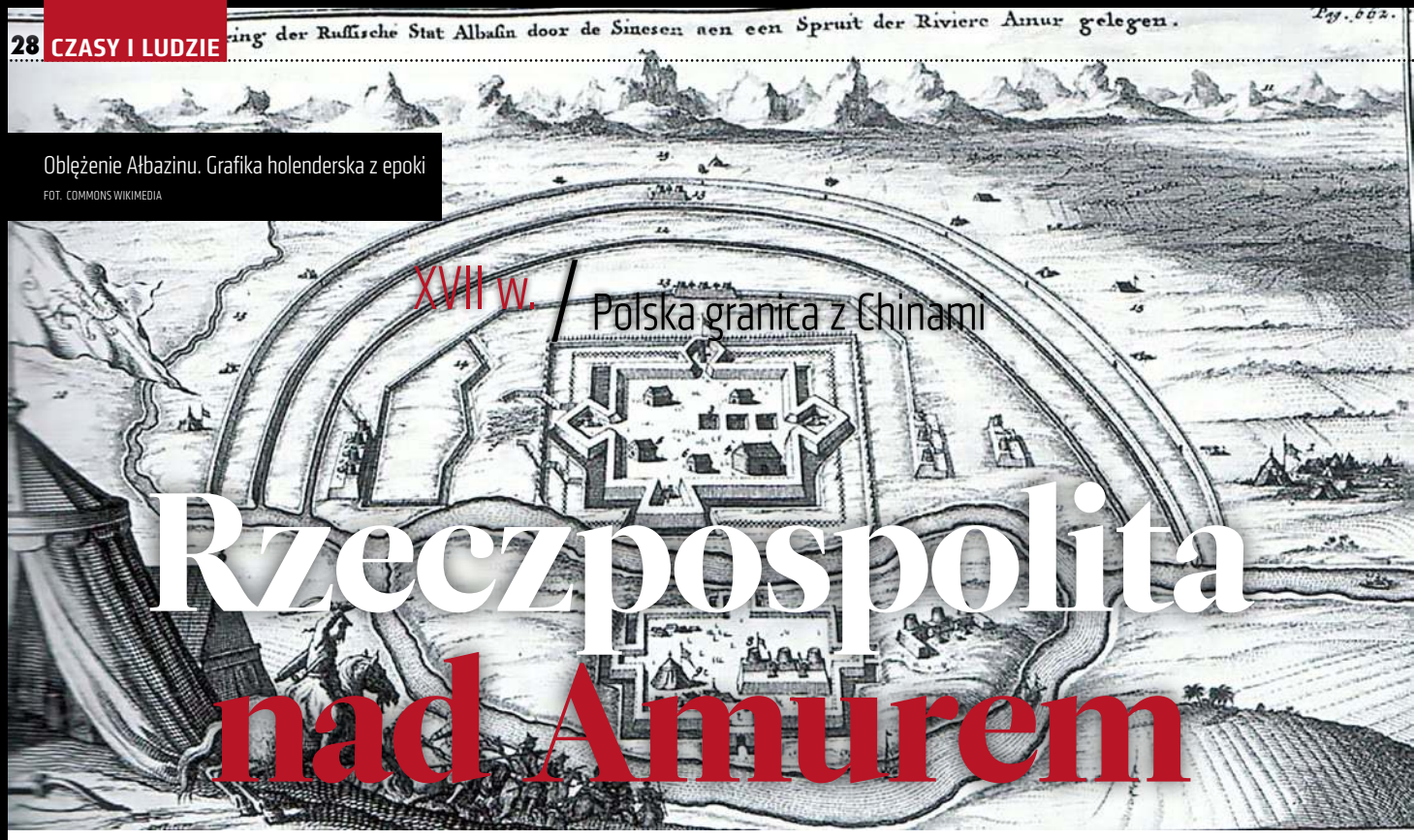
Niedługo jednak nadejdą nad Polskę kolejne czarne chmury. „Kronikarz z Hildesheim, stale tak nieprzyjazny Mieszkowi II, oddał mu w końcu sprawiedliwość, choć pomniejszając jego tytuł: »Mieszko, książę Polski, zszedł przedwczesną śmiercią, a wiara chrześcijańska tam przez jego poprzedników zaczęta i przez niego lepiej umocniona upadła niestety, w sposób godny płaczu«" (Labuda, 2012).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Delimata-Proch M., ***„Rycheza. Królowa Polski",*** *Kraków 2019; Labuda G.,* ***„Mieszko II",*** *Poznań 2002; Labuda G.,* ***„Pierwsze wieki monarchii piastowskiej",*** *Poznań 2012; Maciorowski M., Maciejewska M. (red.),* ***„Władcy Polski",*** *Warszawa 2018; Pr. zb.,* ***„Piastowie. Leksykon biograficzny",*** *Kraków 1999; Pietras Z.S.,* ***„Mieszko II",*** *Warszawa 1972; Rosik S.,* ***„Mieszko II Lambert i jego czasy",*** *Wrocław 2001; Śliwiński B.,* ***„Bezprym. Pierworodny syn pierwszego króla Polski",*** *Kraków 2014; Urbański M.,* ***„Poczet królowych i żon władców polskich",*** *Warszawa 2006.*

eprasa.pl 93b77a6ac4



Oblężenie Ałbazinu. Grafika holenderska z epoki
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

XVII w. / Polska granica z Chinami

Rzeczpospolita nad Amurem



Sławomir Koper

Polski szlachcic założył na Dalekim Wschodzie własne państwo. Długo opierał się zarówno Rosjanom, jak i Chińczykom

Z dzisiejszej perspektywy może się to wydawać wręcz nieprawdopodobne, ale bywało, że w drugiej połowie XVII w. kancelaria cesarska w Pekinie prowadziła korespondencję w języku polskim. Wprawdzie Rzeczpospolita uchodziła wówczas za europejskie mocarstwo, jednak odbiorcą pism z Pekinu nie był dwór w Warszawie czy w Wilnie, ale polskie państwo nad Amurem, bezpośredni sąsiad cesarstwa. Korespondencja była dwujęzyczna – po chińsku i polsku, nie używano natomiast języka rosyjskiego.

Polski organizm państwowy nazywano Jaxą od herbu jego założyciela Nicefora Czernichowskiego. Chociaż państwo było efemerydą i istniało zaledwie ok. 20 lat, to jego sława zdążyła dotrzeć nawet na zachód Europy. Wspominał o nim niderlandzki uczony Nicolaes Witsen, a jego granice znalazły się na mapie opracowanej we Francji.

Nie wiadomo, gdzie i kiedy urodził się Nicefor Czernichowski. Biorąc pod uwagę nazwisko, w rachubę wchodzą dwie możliwości: Czerniachów na Wołyniu i Czernichów nad Desną na Zadnieprzu. Badacze są podzieleni, jednak nie ulega wątpliwości, że Nicefor był polskim szlachcicem, o którego losach zadecydowała zbrojna rywalizacja Rzeczypospolitej z Moskwą.

Rodzina Czernichowskich dostała się do rosyjskiej niewoli podczas wojny smoleńskiej, która wybuchła po śmierci Zygmunta III Wazy. Trudno powiedzieć, czy stało się to podczas potyczki pod Nowogródkiem Siewierskim, jak twierdzą niektórzy badacze, czy też zostali uprowadzeni przez rosyjski zagon ze swojego majątku. Biorąc pod uwagę, że w ręce Rosjan wraz z Niceforem dostali się jego ojciec, Roman, oraz siostra, bardziej prawdopodobna wydaje się druga wersja.

Carski żołd

Gdy zawarto pokój w Polanowie (1634), Czernichowscy zrezygnowali z powrotu do domu. Wiedzieli, że ich majątek został splądrowany, a poza tym przejście na służbę cara oznaczało profity finansowe. Moskiewski władca zaproponował im bowiem żołd w wysokości 3,5 rubla na głowę. Ta kwota bywa przez niektórych wyśmiewana jako niezwykle niska, ale wynika to wyłącznie z nieznajomości ówczesnej sytuacji ekonomicznej. Rubel był wówczas jednostką obrachunkową równą nowogrodzkiej grzywnie srebra (204 gramy). Dopiero w 1654 r. rozpoczęła się emisja złotych rubli o wartości równej jednemu dukatowi. Warto też przy okazji zauważyć, że w bogatej i bardzo drogiej Florencji roczny koszt utrzymania rodziny wynosił ok. 14 dukatów (florenów), więc na znacznie uboższych Kresach Rzeczypospolitej i Rosji carski żołd stanowił poważną kwotę.

eprasa.pl 93b77a6ac4



Cerkiew klasztoru Trójcy Świętej w Kireńsku FOT. DOMENA PUBLICZNA

Rodzina pozostała w Rosji i Nicefor przyjął nawet chrzest w prawosławnym obrządku (otrzymał za to kolejne 3,5 rubla). Ożenił się też z dziewczyną o imieniu Onisica będącą prawdopodobnie pasierbicą polskiego szlachcica, którego rodzina przed laty osiadła w Moskwie. Ojciec i syn służbę wojskową odbywali w Tule, ale po odebraniu kolejnego żołdu postanowili zrezygnować z carskiego chleba i powrócić na teren Rzeczypospolitej. Wraz z nimi planowało zbiec jeszcze kilku innych Polaków, którzy również zaciągnęli się do carskiej armii. Być może przyczyną takiej decyzji była niechęć do carskiego samodzierżawia.

Próba ucieczki miała miejsce w lipcu 1636 r. i zakończyła się niepowodzeniem. Polacy zostali wyekspediowani na Syberię, co było normalną praktyką w takich przypadkach. Już bowiem Iwan Groźny wydał polecenie, by jeńców z terenu Polski, Litwy i Inflant zsyłać za Ural. Moskwa rozpaczliwie potrzebowała osadników na Syberii, ponieważ z własnej woli przenosili się tam niemal wyłącznie ludzie mający problemy z prawem i wszelkiej maści awanturnicy.

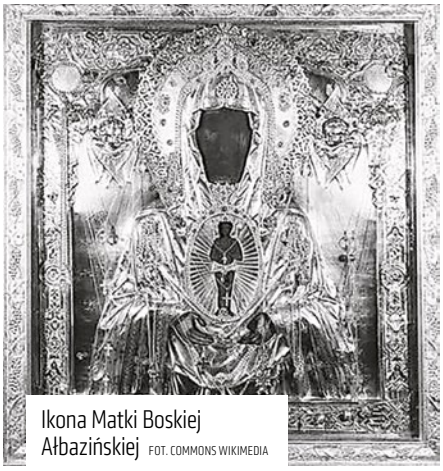
Zesłanie za Ural nie oznaczało katorgi, gdyż skazańcy byli wcielani w szeregi miejscowych Kozaków. Właśnie na czele takiego oddziału w 1616 r. pewien Polak, Jan, syn Piotra (nazwisko nieznane), dotarł do Buchary w dzisiejszym Uzbekistanie, a potem aż do Oceanu Spokojnego. Zachowała się też intrygująca informacja, że w połowie XVII w. Tobolska bronił przed okolicznymi plemionami oddział złożony głównie z Polaków. Zapewne byli to jeńcy wzięci do niewoli podczas wojny smoleńskiej lub podczas konfliktu polsko-rosyjskiego związanego z powstaniem Chmielnickiego.

Czernichowscy pojawili się za Uralem prawdopodobnie w 1636 r. O ojcu nic nie wiadomo, zapewne odszedł już ze świata żywych, można zatem podejrzewać, że Niceforowi towarzyszyły tylko żona i siostra. Początkowo trafili do Ostroga nad Jenisejem w dzisiejszym Kraju Krasnojarskim na środkowej Syberii, ale niebawem zostali wysłani tysiąc kilometrów na wschód, do Ostrogu Ilińskiego w Kraju Zabajkalskim. Osada leżała w odległości 800 km od miejscowej metropolii, Irkucka, więc stosunkowo blisko jak na syberyjskie warunki.

Przez kolejne lata Nicefor powoli wspinał się po szczeblach kariery. Został setnikiem miejscowego oddziału Kozaków, ale jednocześnie wykazywał się przedsiębiorczością i zmysłem organizacyjnym. Na Syberii były to bardzo pożądane umiejętności i z tego powodu został zarządcą działu wodnego pomiędzy Leną i Dolną Tunguzką (dopływem Jeniseju). Nadzorował przeciąganie przez ląd łodzi i statków kupieckich pomiędzy obiema rzekami i od jego postawy był uzależniony handel na tym terenie.

Niebawem został zarządcą warzelni soli w Ust´-Kut pobliżu Kireńska nad Leną, a posada ta oznaczała znaczny awans. Sól była bowiem towarem strategicznym, więc nowe stanowisko dawało możliwość zyskania dodatkowych dochodów.

Nicefor doczekał się trzech synów – Fiodora, Onisima i Wasyla – oraz córki Pelagii. Właśnie z tą dziewczyną miał być związany kolejny dramatyczny zwrot w jego życiu, który zapewnił mu jednak miejsce w historii.



Ikona Matki Boskiej Ałbazińskiej FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Jarmark w Kireńsku

Czernichowski spędził na Syberii już trzy dekady i zapewne pogodził się z myślą, że za Uralem dokona żywota. Wszystko zmieniły jednak wydarzenia, do których doszło w 1665 r. (możliwa jest też data roczna o pięć lat wcześniejsza). Wtedy, praktycznie z dnia na dzień, Nicefor z szanowanego zarządcy stał się poszukiwanym przez prawo bandytą.

W czerwcu odbywał się coroczny jarmark w Kireńsku, na który przybyły tłumy okolicznych mieszkańców. Zaszczycił go też swoją obecnością wojewoda iliński, Ławrientij Obuchow. Był to osobnik wyjątkowo brutalny, nieliczący się z prawem czy też ze zwykłą ludzką przyzwoitością. Zarzucano mu bezwzględny ucisk finansowy ludności, łapówkarstwo, gwałty i zabójstwa.

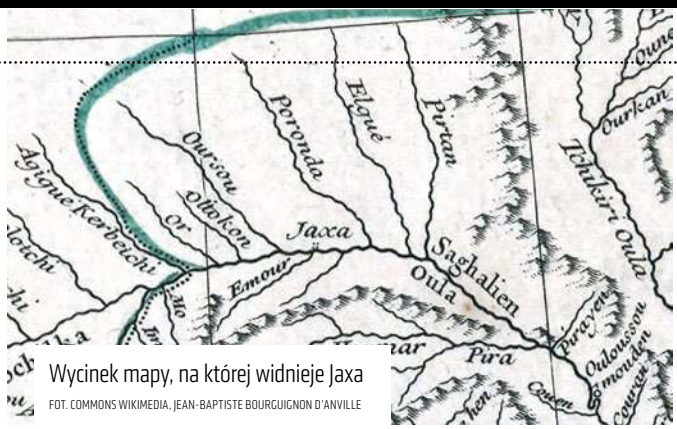
Na jarmarku pojawił się również Czernichowski. Wojewoda zwrócił uwagę na jedną z kobiet z jego otoczenia... W źródłach pojawiają się informacje, że była to żona lub siostra Nicefora, ale prawdopodobnie chodziło o jego córkę, żonę popa, Fomy Kryłowa.

Dostojnik nie przejmował się takimi drobiazgami jak małżeństwo czy brak zgody zainteresowanej. Polecił porwać dziewczynę, zgwałcił ją, a następnie zabrał ze sobą, wracając do Ilińska. Nie podejrzewał, że w ten sposób wydał na siebie wyrok.

Obuchow był bowiem powszechnie znienawidzony, a Czernichowski cieszył się popularnością wśród miejscowych. Na jego wezwanie stawiło się ponad 80 ludzi, Polaków i Rosjan, i na ich czele ruszył w górę Leny za łodziami wojewody.

Orszak dostojnika dopędzono w nocy z 25 na 26 czerwca. Ludzie Czernichowskiego zaatakowali bez uprzedzenia i wojewoda oraz jego podwładni zostali zamordowani. Nic nie wiadomo o dalszych losach dziewczyny, dziejopisowie najwyraźniej wyszli z założenia, że odegrała już swoją rolę w historii i jej późniejsze perypetie nikogo nie interesowały.

eprasa.pl 93b77a6ac4



Wycinek mapy, na której widnieje Jaxa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JEAN-BAPTISTE BOURGUIGNON D'ANVILLE

Buntownicy obrabowali zabitych, zdobywając cenne łupy, ale zabójstwo carskiego wojewody oznaczało automatyczny wyrok śmierci. W tej sytuacji Nicefor zaproponował ucieczkę nad Amur, gdzie mogliby rozpocząć nowe życie z dala od wyzysku carskich urzędników.

Podwładni Nicefora zgodzili się ze swoim przywódcą i cała grupa bez zwłoki wyruszyła na wschód. Wiadomo, że Polakowi nie towarzyszyły żona i dzieci, które pozostały na miejscu. Podczas śledztwa prowadzonego przez władze nie udowodniono im współudziału w zamachu na wojewodę, jednak synów przesiedlono do innych grodów Syberii.

Oddział śmiałków liczył 84 osoby, ale niebawem został wzmocniony przez grupę Kozaków z Wiercholeńska, którzy również porzucili carską służbę. Przy okazji Czernichowski zabrał ze sobą (zapewne porwał) mnicha Hermogenesa, założyciela klasztoru w Kireńsku. Uznał bowiem, że jego ekipie potrzebny jest duchowny, a ponadto człowiek umiejący pisać i czytać.

Jaxa

Wędrówka na wschód nie była łatwym wyzwaniem. Banici płynęli rzekami w nieznane, ale często musieli przeciągać łodzie lądem, by ominąć progi wodne lub groźne wiry. Byli jednak zdeterminowani, by uciec jak najdalej od carskiej władzy, a miejscowa ludność opisywała obszary nad Amurem jako krainę mlekiem i miodem płynącą.

Czernichowski unikał starć z tubylcami, wiedząc, że jego siłą będą dobre stosunki z krajowcami. Nie zwracał uwagi w mijanych wsiach i małych gródkach na „bardziej cenne nieruchomości niż u dotychczas poskromionych tubylców".

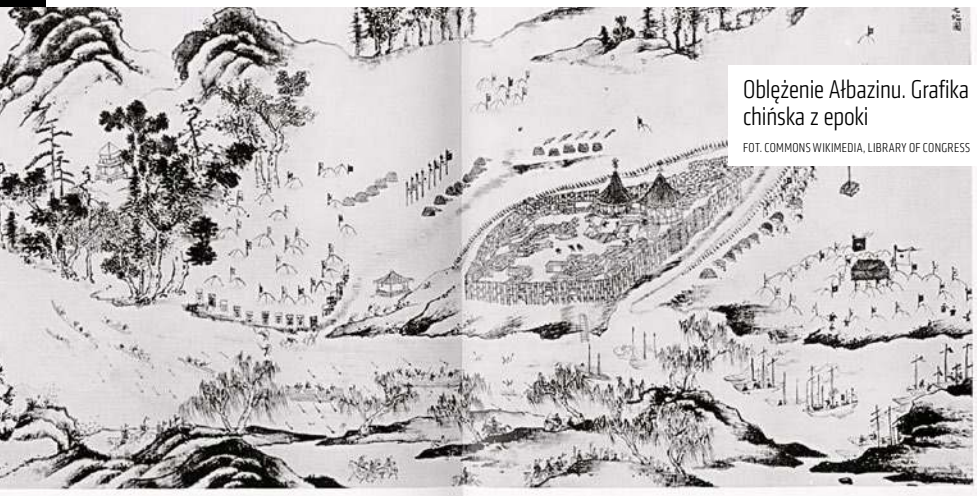
Wyprawa dotarła wreszcie do Amuru i płynąc z jego prądem, zatrzymała się w miejscu zniszczonego przez Chińczyków gródka Abłazino. Okolica zachęcała do osiedlenia, ziemia wyglądała na bardzo żyzną, więc przystąpiono do odbudowy umocnień. Gródek ten nazwano Jaxą na cześć rodowego herbu przywódcy.

Zachowały się informacje o wyglądzie osady Czernichowskiego. Główny budynek powstał na planie prostokąta o wymiarach 36 na 26 metrów. Od strony rzeki wybudowano dwie wieżyczki, a nad bramą izbę sądową. Magazyny zlokalizowano poniżej poziomu gruntu, natomiast ostrokół miał mieć wysokość blisko 40 metrów, co wydaje się mocno przesadzone. Całość otaczała fosa.

Jaxa miała być stolicą niezależnego organizmu państwowego, więc przygotowano własny sztandar, a mnich Hermogenes opracował zbiór prawa obowiązujący mieszkańców. W twierdzy zlokalizowano skarbiec, powstała też cerkiew, gdzie Hermogenes umieścił przywiezioną ze sobą ikonę. Niebawem zaczęto ją nazywać Matką Boską Ałbazińską.

Nie wiadomo, jaki tytuł przybrał Czernichowski, ale w latach późniejszych Chińczycy nazywali go „mądrym chanem". Dla swoich ludzi był jednak atamanem, gdyż tak Kozacy tytułowali swoich dowódców. Nicefor był zresztą zbyt inteligentnym człowiekiem, by zwracać uwagę na takie szczegóły bez znaczenia. Ważniejsze dla niego były bezpieczeństwo gródka i stosunki z miejscową ludnością.

Do Jaxy ściągali uciekinierzy spod władzy cara. Dla wszelkiego rodzaju banitów czy ludzi skonfliktowanych z syberyjskimi notablami był to wymarzony azyl. Czernichowski przyjmował ich z otwartymi ramionami, ale pod warunkiem poszanowania miejscowego prawa. Niebawem stała załoga Jaxy liczyła 500 ludzi, co miało ogromne znaczenie, gdyż Chińczycy i Rosjanie nie zamierzali pozwolić na istnienie niezależnego państwa na tym strategicznie ważnym obszarze.



Oblężenie Ałbazinu. Grafika chińska z epoki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

Futrzany hołd

Początkowo jednak Chińczycy nie zdecydowali się na interwencję, uznając, że skoro Czernichowski nie akceptował władzy cara, to nie stanowi bezpośredniego zagrożenia. Zdecydowanie większy problem był z Rosjanami. Wprawdzie Moskwa oficjalnie nie zajęła stanowiska, a Nicefor wystosował pojednawcze pisma do wschodniosyberyjskich wojewodów, jednak notable nie zamierzali tolerować samowoli zdrajcy i mordercy. W niedługim czasie na Amurze pojawiła się flotylla rosyjskich łodzi wysłanych w celu zdobycia Jaxy. Przeciwko najeźdźcom wypłynęły łodzie Czernichowskiego. Ataman poniósł w tym starciu klęskę, ale gród ocalał, gdyż Rosjanie się wycofali.

Czernichowski wiedział jednak, że kwestią czasu pozostawała kolejna

eprasa.pl 93b77a6ac4

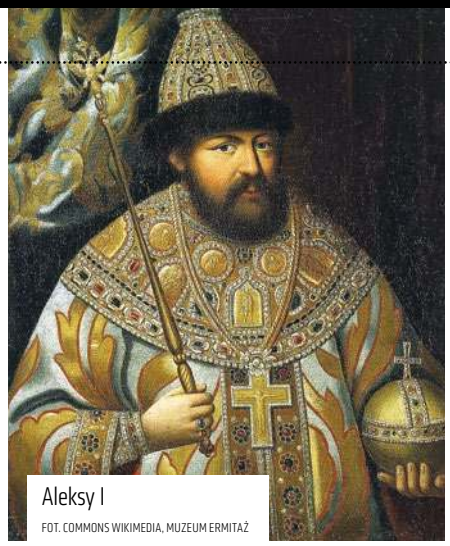
interwencja, więc postanowił temu przeciwdziałać. Od 1669 r. zaczął wysyłać carowi bogaty jasak (podatek w cennych futrach), prosząc pośredników z Nerczyńska o oddzielenie jego wkładu od daniny z Zabajkala. Pomysł okazał się znakomity i rosyjskie najazdy ustały.

Już wcześniej nawiązał kontakt z dworem w Pekinie, gdzie rządziła dynastia mandżurska. Początkowo wzajemne stosunki układały się neutralnie, a Chińczycy pisali do Czernichowskiego dwujęzyczne pisma: po chińsku i po polsku. Zapewne udział w tym mieli polscy misjonarze z zakonu jezuitów przebywający w Pekinie. Wydawać się mogło, że sytuacja została opanowana, więc ataman pomyślał o wzmocnieniu swojej pozycji na podległym mu obszarze. Wybudował kilka obronnych osad, które miały zabezpieczać okoliczną ludność przed bandytami.

Mimo że Chińczycy korespondowali z Jaxą i doceniali, iż przeciwstawiał się Rosjanom, to jednak nie zamierzali tracić jasaku z ziem nad Amurem. Skórki sobolowe były bowiem niemal na wagę złota, a tajga w tamtych okolicach obfitowała w te zwierzęta. Poza tym okoliczne plemiona dysponowały pokaźnymi zapasami kruszców i gdy Czernichowski pomógł w ucieczce na lewy brzeg Amuru wodzowi jednego z plemion, którego Chińczycy przetrzymywali w Mandżurii, władze w Pekinie zdecydowały się na interwencję.

W 1670 r. nastąpiła inwazja na Jaxę, jednak Czernichowski i jego ludzie odparli atak, wprawiając w zdumienie nie tylko pekińską elitę, lecz także władze rosyjskie. W tej sytuacji ataman uznał, że nadeszła właściwa pora, by uregulować stosunki z Moskwą. Był realistą i doszedł do wniosku, że lepsze było nominalne zwierzchnictwo Kremla niż walka na dwa fronty. Dlatego też wraz ze swoimi podwładnymi uznał władzę cara, prosząc o wybaczenie swoich win.

Aleksy I Michajłowicz zachował się zgodnie z rosyjskimi obyczajami. W 1672 r. skazał zaocznie Nicefora i kilku jego współpracowników na karę śmierci, a pozostałych uczestników napadu na Obuchowa na chłostę. Dwa dni później jednak ich ułaskawił, a Czernichowski został mianowany wicewojewodą. W ten sposób Jaxa oficjalnie weszła w skład państwa rosyjskiego.



Aleksy I

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM ERMITAŻ

Rosja połyka Jaxę

Wydaje się, że pan wojewoda uporządkował też swoje życie prywatne. Wprawdzie miał już zapewne ponad 60 lat, ale – jak wiadomo – mężczyźni z wiekiem stają się romantyczni. W dokumentach z Jakucka datowanych na 1686 r. występuje niejaka Ogrofienka (Agrypina) Iwanowna, wdowa Czernichowska. Biorąc pod uwagę, że synowie Nicefora żyli w innych rejonach Syberii, można podejrzewać, że była to mniej lub bardziej formalna partnerka życiowa atamana.

Uregulowanie stosunków z Kremlem wpłynęło na szybki rozwój Jaxy. Trzy lata później Czernichowski poczuł się na tyle silny, że zaatakował chińską Mandżurię. Zapewne w ten sposób uprzedzał uderzenie chińskie, ale nie było mu dane doprowadzić wyprawy do końca. Zmarł w jej trakcie i prawdopodobnie został pochowany w Abłazinie.

Jaxa jednak przetrwała i niebawem stała się przyczyną pierwszej wojny rosyjsko-chińskiej. W 1683 r. Pekin zajął niemal wszystkie ziemie należące do księstwa, a dwa lata później Chińczycy stanęli pod bramami grodu. Wystosowali pismo do załogi (po chińsku i po polsku), żądając kapitulacji. Obrońcy odrzucili jednak ultimatum i niespełna 500-osobowa załoga przez 10 dni odpierała szturmy pięciotysięcznej armii. W końcu doszło do kapitulacji; pozostali przy życiu obrońcy zostali przesiedleni do Chin. Ich potomkowie żyli tam jeszcze przez pokolenia, tworząc niewielką społeczność wyznająca prawosławie. Zachowały się nawet zdjęcia ludności o azjatyckich rysach twarzy, ale z prawosławnymi krzyżami na piersiach.

Wojna, której bezpośrednią przyczyną było powstanie państwa Czernichowskiego, zakończyła się zwycięstwem Chin. Zburzono Abłazin, a na mocy traktatu zawartego w 1689 r. w Nerczyńsku Rosjanie musieli się wycofać z ziem nad Amurem. W Moskwie i w Petersburgu nie zapomniano jednak nigdy o tych obszarach i w 1860 r., korzystając z osłabienia Chin, opanowano środkowy i dolny bieg Amuru. W granicach Rosji terytorium to pozostaje do chwili obecnej, a rzeka stanowi granicę pomiędzy oboma mocarstwami.

Potomkowie Czernichowskiego po kądzieli żyli jeszcze długo na Syberii. W 1873 r. spotkał ich w okolicach Nerczyńska przebywający na zesłaniu sekretarz Romualda Traugutta, Marian Dubiecki. Na podstawie rozmów napisał biografię Nicefora, którą włączył do pierwszego tomu wydawnictwa zatytułowanego „Obrazy i studia historyczne".



Wieża bramna (rekonstrukcja) na wyspie w Abłazinie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KN9ZALBAZA

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Dubiecki M., ***„Obrazy i studia historyczne"****, t. 1, Warszawa 1901;*
Michałek M., ***„Polska miała kiedyś granicę z Chinami. Jaksa – sukces, który przerósł marzenia"****; Sulewski W.,* ***„Konterfekty dziwnych Polaków"****, Warszawa 1973;*
Zagórski S., ***„Polskie imperium na Dalekim Wschodzie"****.*

eprasa.pl 93b77a6ac4



Paul Rusesabagina ratujący dzieci. Kadr z filmu „Hotel Ruanda"

FOT. NG COLLECTION/INTERFOTO/FORUM

1994–2023 / Bohater za kratami

Wybawca z Mille Collines



Piotr Włoczyk

W czasie ludobójstwa na Tutsi Paul Rusesabagina uratował ponad tysiąc osób. Trzy dekady później władze Rwandy wtrąciły go do więzienia na – de facto – dożywocie

Ubrany w strój więzienny, z maseczką na twarzy, Paul Rusesabagina z pewnością nie mógł do końca uwierzyć w to, co się z nim dzieje. Rwandyjski bohater, Hutu, który w czasie ludobójstwa w 1994 r. ratował Tutsi i zyskał światową sławę dzięki hollywoodzkiemu hitowi opowiadającemu jego historię, teraz stał przed sądem w Kigali, stolicy Rwandy, oskarżony m.in. o pomoc w organizowaniu ataków terrorystycznych. Rok wcześniej, w 2020 r., gdy świat pochłonięty był walką z pandemią, prezydent Rwandy Paul Kagame zorganizował operację, której finałem było podstępne ściągnięcie z zagranicy Rusesabaginy. Ten najbardziej znany na świecie krytyk Kagamego, oskarżający go o łamanie demokratycznych zasad, wsiadł w Dubaju na pokład samolotu, który miał go zabrać do – jak był przekonany – Burundi. Zamiast tego maszyna wylądowała na lotnisku w sąsiedniej Rwandzie...

Szczególnie głośno protestowała w obronie Rusesabaginy administracja Joe Bidena (słynny Rwandyjczyk od 2009 r. mieszkał w USA), wprost wskazując, że sąd nie dawał oskarżonemu gwarancji bezstronności. Mimo stanowiska Białego Domu sąd w Kigali wydał werdykt, który musiał wstrząsnąć tym twardym Hutu – 25 lat pozbawienia wolności. Dla 67-letniego skazańca oznaczało to właściwie dożywocie. W jego sprawie już niedługo miał się pojawić mocny zwrot, ale mimo perspektywy spędzenia reszty życia za kratkami możemy śmiało założyć, że moment wydania wyroku nie był najtrudniejszym doświadczeniem w życiu tego mężczyzny.

Szał zabijania

Jak podkreślał w rozmowie ze mną Rusesabagina, najgorszym dniem w jego życiu był 9 kwietnia 1994 r. i raczej na pewno nie zmieni się to do końca jego dni. Kilka dni wcześniej zaczęło się w Rwandzie ludobójstwo na Tutsi. Do domu w Kigali, w którym mój rozmówca mieszkał z żoną i dziećmi, niespodziewanie wkroczyli żołnierze. Trafili tu nieprzypadkowo – dostali rozkaz, by przewieźć go do hotelu Diplomats, gdzie właśnie wprowadzał się nowy rząd Rwandy. Rusesabagina pracował tam jako menedżer, ale z powodu wybuchu rzezi zabarykadował się w domu i oczywiście nie miał zamiaru pojawiać się w pracy. Żołdacy zapakowali do wojskowych terenówek wszystkich, których znaleźli w domu, czyli Rusesabaginów wraz z 26 (!) ukrywającymi u nich sąsiadami, a następnie wyruszyli w kierunku hotelu Diplomats.

– Wszędzie leżały zwłoki. Niektóre bez głów. Część miała odrąbane ręce i nogi, inne leżały na ziemi z rozprutymi brzuchami. W tym dzikim szale zabijania

eprasa.pl 93b77a6ac4



Generał Augustin Bizimungu

FOT. VINCENT AMALVY/EPA/PAP

mordercom najwyraźniej przyjemność sprawiało stopniowe odrąbywanie rąk i nóg, tak żeby ofiary męczyły się jak najdłużej – opisywał w rozmowie ze mną to, co widział wtedy po drodze.

Menedżer okłamał żołnierzy, mówiąc im, że sąsiedzi to bliższa i dalsza rodzina. W rzeczywistości ludzi ci ukrywali się u niego, ponieważ sądzili, że sąsiad zajmujący ważne stanowisko w luksusowym hotelu (dzięki czemu znał rwandyjską elitę) będzie ich w stanie uratować przed rzezią.

– Około półtora kilometra od domu terenówka jadąca przed nami nagle zatrzymała się obok stosu zmasakrowanych ciał. Do mojego auta podszedł dowódca z pistoletem w ręku i powiedział:

„Zdrajco, dzisiaj cię nie zabijemy, bo potrzebujemy cię w hotelu. Weź ten pistolet i zastrzel wszystkie swoje karaluchy". W ten sposób nazywani byli wówczas Tutsi. Widząc kątem oka zmasakrowane ciała, wiedziałem, że ten żołnierz nie żartował.

Rusesabagina znalazł się w niemożliwej sytuacji. Żołnierz oczekiwał od niego, że zastrzeli nie tylko swoich sąsiadów Tutsi, lecz także swoją żonę Tatianę, która również wywodziła się z tej grupy etnicznej, oraz ich dzieci. Mężczyzna wiedział, że jeżeli odmówi, to egzekucję mogą wykonać żołnierze. Z duszą na ramieniu zaczął więc robić to, w czym będzie się musiał wyspecjalizować w ciągu kolejnych trzech miesięcy: podjął negocjacje. Prośby i łapówki zrobiły w końcu swoje. Dowódca zmienił zdanie i zawiózł całą grupę tam, gdzie mu rozkazano – do hotelu Diplomates.

– Miałem pomóc urządzić się tam tymczasowym władzom Rwandy, które przejęły cały kompleks – wspominał Rusesabagina. – Rząd jednak już po trzech dniach uciekł ze stolicy na prowincję. Wykorzystałem ten moment, żeby – pod ochroną konwoju – przedrzeć się do leżącego mniej niż kilometr dalej siostrzanego Mille Collines, który wciąż funkcjonował jako hotel. Przed ludobójstwem widywało się tam szefów zagranicznych korporacji, dyplomatów, miejscowych oficjeli bądź też generałów rwandyjskiej armii. Każdy, kto naprawdę liczył się w Rwandzie, pojawiał się co jakiś czas w Mille Collines, żeby ubić jakiś interes albo po prostu pokazać się w towarzystwie wyższych sfer. Pracowałem tam do 1992 r. przez wiele lat jako menedżer. Znałem wszystkich tych ludzi. Moim zadaniem było dogadzanie im, robienie wszystkiego, by czuli się ważni i doceniani. Czas pokazał, że była to z mojej strony bezcenna inwestycja. Mille Collines było miejscem, które przeciętni Rwandyjczycy uważali za otoczone aurą niedostępności i luksusu.

W szczytowym momencie w Mille Collines schronienie znalazło 1268 osób, które w innym przypadku najprawdopodobniej zostałyby zamordowane. Rusesabagina przez kolejne trzy miesiące dwoił się i troił, żeby zapewnić hotelowi ochronę i odpędzać żądne krwi bojówki, które z maczetami w rękach polowały na „karaluchy".

Śmierć prezydenta

Płomień, który zapoczątkował ten nieprawdopodobny wybuch nienawiści, zapłonął wieczorem 6 kwietnia 1994 r. Podczas podejścia do lądowania w Kigali zestrzelony został wówczas samolot prezydenta Rwandy Juvénala Habyarimany. Rządzący od 1973 r. Habyarimana zginął wraz z prezydentem sąsiedniego Burundi. Obaj politycy należeli do grupy etnicznej Hutu. Zestrzelenie VIP-owskiej maszyny było kulminacyjnym momentem ciągnącej się od 1990 r. wojny domowej w Rwandzie pomiędzy stanowiącymi zdecydowaną większość Hutu a rebeliantami Tutsi, wyprowadzającymi ataki z terenu Ugandy. Do dziś nie udało się ustalić ponad wszelką wątpliwość, kto odpowiada za zestrzelenie samolotu – czy byli to rebelianci Tutsi czy też ekstremiści Hutu. Śmierć prezydenta wywołała kaskadę zdarzeń, które doprowadziły do rzezi ludności Tutsi i tych Hutu, którzy przedstawiani byli jako zdrajcy. W ciągu 100 dni ludobójstwa zamordowano w Rwandzie ok. 800 tys. ludzi.

Paul Rusesabagina w tym czasie na wszelkie sposoby starał się sprawić, by hotel Mille Collines, należący do belgijskiej korporacji Sabena, stał się twierdzą, którą omijać będą watahy morderców. Sporym problemem było to, że po ucieczce do Europy belgijskich zarządców hotelu pracownicy uznali, iż mogą sobie pozwolić na wszystko.

– Jeden z recepcjonistów zakwaterował się ze swoją dziewczyną w pokoju przeznaczonym dla menedżera... Ci ludzie nie przyjmowali do wiadomości, że jestem ich szefem. W związku z tym musiałem uzyskać z centrali firmy w Brukseli potwierdzenie faksem, że mianowano mnie menedżerem Mille Collines – opowiadał Rusesabagina. – Z każdym dniem robiło się coraz ciaśniej. Wśród ludzi zagrożonych zagładą pojawiło się przeświadczenie, że Mille Collines to ostoja spokoju, więc dla wielu przekroczenie naszej bramy było największym marzeniem.

Bardzo szybko skończył się luksus, którym były woda i prąd. Na szczęście przy obiekcie zbudowano duży basen, więc problem z wodą pitną został rozwiązany.

Niestety, żołnierze ONZ, którzy mieli w Kigali pilnować spokoju, dosyć szybko zostali wycofani. Rusesabagina był więc zdany właściwie jedynie na swoje kontakty w elitach władzy i wojsku, które pielęgnował przez wiele lat.

– Częstowałem oficerów dobrym alkoholem, siadaliśmy i rozpoczynaliśmy rozmowy. W razie problemów wręczałem im butelki drogich trunków i próbowałem urabiać na wszelkie możliwe sposoby, tłumacząc, prosząc, apelując do ich sumienia bądź też powołując się na różne bliżej niesprecyzowane kontakty zagraniczne. Pomagała mi w tym wszystkim niewątpliwie ta niezwykła aura Mille Collines. Jakimś cudem udawało się izolować to miejsce od rzezi, która była wszędzie dookoła – wyjaśniał Rusesabagina. – Bojówki przeganiane były

eprasa.pl 93b77a6ac4



także za pośrednictwem centrali Sabeny w Brukseli. Dzięki jej kontaktom udawało się momentami wywrzeć presję na dowództwo armii rwandyjskiej, by ta odciągnęła od hotelu tłumy z maczetami. Jednak wszystkie te starania trzeba było w kółko powtarzać, bo po jakimś czasie bandy wracały pod Mille Collines.

Wśród najważniejszych oficerów, z którymi negocjował menedżer, był m.in. gen. Augustin Bizimungu, ówczesny naczelny dowódca armii rwandyjskiej. Sąd uznał go po latach za zbrodniarza, który kierował mordami i trenował bojówki Interhamwe, wymierzając mu karę 30 lat pozbawienia wolności. A jednak dzięki sile perswazji Rusesabaginy (i wręczanym łapówkom) ten zbrodniarz w mundurze generała powstrzymywał ataki bojówek na Mille Collines.

– Oferowałem mu drinki, dawałem w prezencie drogie alkohole z naszej piwniczki i starałem się przekonywać go, by przeganiał bojówki, gdy dochodziło do kryzysowych sytuacji. Sam nie pamiętam, ile razy dzwoniłem do niego w tym czasie – wspominał menedżer. – Najbardziej dramatycznym momentem w naszej przedziwnej relacji był 17 czerwca. Tego dnia mordercy z maczetami wdarli się przez bramę do hotelu i byli o krok od dokonania masakry. Byłem przekonany, że to koniec. Zebrani na zewnątrz uchodźcy mogli zostać w każdej chwili rozsiekani. A jednak jakimś cudem udało mi się przekonać gen. Bizimungu, żeby pojawił się w hotelu i przegonił tę bandę morderców. Nikomu nic się nie stało. To był cud. I tak zostało do końca tego piekła.

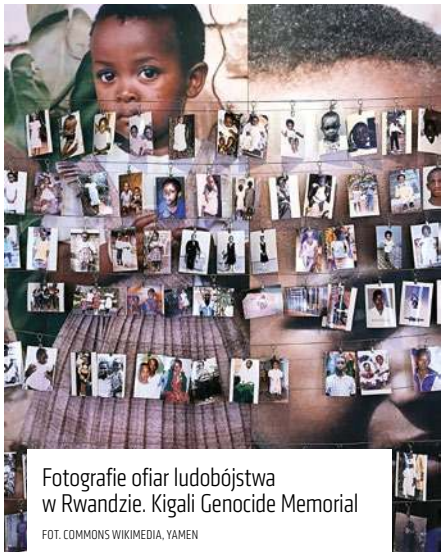
Medal od Busha

Rusesabagina wyjechał dwa lata później do Europy, pracował m.in. jako taksówkarz, wożąc klientów po ulicach Brukseli. Historia cudu w Mille Collines była opowiadana w kolejnych reportażach i książkach, aż sprawą zainteresowało się Hollywood. Tak powstał film „Hotel Ruanda" (z 2004 r.), gdzie w rolę głównego bohatera wcielił się Don Cheadle. Rusesabagina uważa ten film za bardzo udany.

– „Hotel Ruanda" opowiada prawdziwą historię, choć część wydarzeń została nieco inaczej przedstawiona. Niektóre sceny są mniej brutalne, niż było to w rzeczywistości, ale nie dziwię się, że scenarzysta nie pokazał całej prawdy. Jest ona po prostu zbyt przerażająca – komentował w rozmowie ze mną Rusesabagina.

Wiele osób musi być zaskoczonych, gdy dowiaduje się, że żona Hutu, bohatera z Mille Collines, jest Tutsi. Jednak zdziwienie to wynika po prostu z bazowania na stereotypach.

– Nie ma w tym niczego nadzwyczajnego. W dzielnicy Kigali, w której mieszkaliśmy, część moich sąsiadów była Tutsi, a część Hutu. W Rwandzie te dwie grupy ludności są ze sobą przemieszane. Ja i moja żona to najlepszy przykład, że Hutu i Tutsi nie są automatycznie śmiertelnymi wrogami. Również wcześniej było podobnie. Weźmy choćby moich rodziców, którzy wzięli ślub w 1938 r. Moja matka była Tutsi, a ojciec Hutu. Nawet dziś w Rwandzie bardzo wiele jest mieszanych małżeństw – opowiadał Rusesabagina, tłumacząc przy okazji, co jego zdaniem doprowadziło do tak bestialskiego ludobójstwa. – Wszystko przez polityków, którzy zatruli zwykłych ludzi. To oni zawsze dzielili Rwandyjczyków, tak by sami mogli rządzić niepodzielnie – władza zawsze należała u nas albo do Tutsi, albo do Hutu. Jeżeli dodać do tego jeszcze problemy z dostępem do edukacji, to otrzymujemy idealne warunki do ludobójstwa.



Fotografie ofiar ludobójstwa w Rwandzie. Kigali Genocide Memorial

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, YAMEN

Za swoją postawę w Mille Collines Paul Rusesabagina został odznaczony przez prezydenta George'a W. Busha Prezydenckim Medalem Wolności, najwyższym amerykańskim odznaczeniem, jakie może otrzymać cywil. Menedżer bohater wykorzystał swoją popularność i założył Hotel Rwanda Rusesabagina Foundation, której celami są zapobieganie zbrodniom na cywilach i pomoc w zabliźnianiu ran w samej Rwandzie. Z biegiem lat Rusesabagina stał się nieprzejednanym krytykiem prezydenta Paula Kagamego (rządzącego Rwandą już od ćwierćwiecza), coraz bardziej radykalizując swój antyrządowy przekaz. W 2018 r. bohater z Mille Collines wezwał do zmiany władzy, stwierdzając, że „nadszedł czas, abyśmy użyli wszelkich dostępnych metod, by zaprowadzić w Rwandzie zmiany".

Głośny krytyk udzielał z zagranicy wsparcia opozycyjnej grupie, którą rząd Rwandy oskarżał o dokonywanie zamachów terrorystycznych właśnie w celu zmiany władzy. Rusesabagina stanowczo odrzucał jednak zarzuty o wspieranie terroryzmu, twierdząc, że, owszem, udzielał poparcia, ale opozycyjnej wobec Kagamego organizacji politycznej, a nie jej zbrojnemu ramieniu.

Dwa lata po uwięzieniu słynnego Rwandyjczyka doszło w jego sprawie do przełomu. Amerykanie od dłuższego czasu prowadzili z rządem Rwandy negocjacje (za pośrednictwem Kataru) i w końcu Paul Kagame zdecydował się ułaskawić Rusesabaginę. Waszyngtonowi i Kigali zależało na poprawie relacji, czego efektem było wypuszczenie rwandyjskiego więźnia numer jeden. Ówczesny prezydent USA Joe Biden stwierdził, że to „szczęśliwe zakończenie sprawy".

Elementem porozumienia, na mocy którego Rusesabagina wyszedł z więzienia, była obietnica, że przestanie krytykować władze Rwandy i nie będzie wspierał opozycyjnych grup. Kilka miesięcy po wyjściu na wolność były menedżer Mille Collines znów zaczął nazywać Kagamego dyktatorem. W odpowiedzi Kagame stwierdził w wywiadzie z France 24, że Rusesabagina znów kusi los...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93b77a6ac4

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

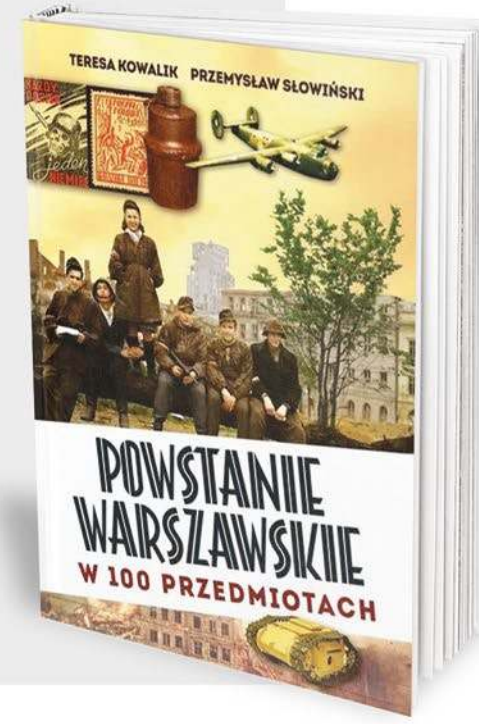
PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA TERESA KOWALIK, PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI: „POWSTANIE WARSZAWSKIE W 100 PRZEDMIOTACH"

„Powstanie Warszawskie w 100 przedmiotach" nie jest zwykłym albumem ze zdjęciami.

To nowy sposób opowiedzenia dziejów społecznych, politycznych, wojskowych, technicznych i kulturalnych Powstania. Każdy z pokazanych przedmiotów opowiada historię, którą trudno zrozumieć bez właściwego kontekstu. Przedmioty czasem zwyczajne awansowały na świadków wielkiej historii.

Powstanie Warszawskie do dziś wywołuje gorące emocje, często w poprzek tradycyjnych podziałów politycznych. Jedni twierdzą, że przyniosło tylko zniszczenie Warszawy i hekatombę cywilnych ofiar – inni utrzymują, że powstrzymało sowietyzację Polski. Nasza książka nie wnosi do tego sporu żadnego nowego komentarza politycznego czy historycznego. Przybliża za to czas próby i honoru poprzez przedmioty, rzeczy, którymi posługiwali się powstańcy, żołnierze ruszający na pomoc Warszawie i zwykli mieszkańcy.



166 zł

oszczędność 71 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 93b77a6ac4



Żołnierze II Brygady Legionów w Karpatach FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

XX w. / Nieznane historie rodzinne

W cieniu wielkich



Marek Gałęzowski

Jan Fieldorf, Teodor Chmielowski, Kazimierz Małkowski, Alfred Sachs walczyli o Polskę i za nią oddali swoje życie

Z trojga rodzeństwa Emila Fieldorfa z wyglądu najbardziej przypominał go Jan. Tak jak przyszły generał „Nil" Jan Fieldorf poszedł do Legionów Polskich, chociaż nie do I Brygady; został żołnierzem 1. pułku artylerii i przeszedł wszystkie jego boje. W niepodległej Polsce był podoficerem zawodowym lotnictwa. Jako mechanik pilot służył w 4. pułku lotniczym w Bydgoszczy. Aresztowany przez Niemców na początku okupacji i uwięziony w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, a następnie w Gross-Rosen, gdzie był jednym z pierwszych więźniów, zginął zimą 1942 r.

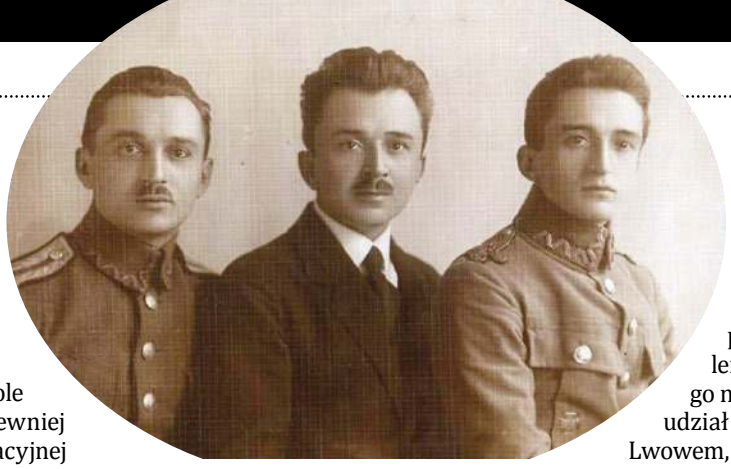
W następnym roku jego brat Emil objął dowództwo Kierownictwa Dywersji KG AK, skupiając w swoim ręku całą walkę bieżącą z Niemcami. A 10 lat później zginął z rąk nikczemnej władzy, narzuconej Polsce przez Związek Sowiecki. Inny był bilans życia obu tych braci, z których gen. Fieldorf, wybitny polski dowódca, stał się jedną z wyróżniających się postaci dziejów najnowszych. Za to losy Jana Fieldorfa prowadzą ku nieodkrytej opowieści o ich – bohaterach polskiej historii – zapomnianych bliskich. Te biografie, chociaż o mniej wyrazistych osiągnięciach niż w wypadku ich bardziej znanych krewnych, także wyróżniają się często odwagą, poświęceniem, dokonywaniem „takich czynów, które dużymi zgłoskami zapisały się w historii". Nierzadko okupionych ofiarą życia.

Bratanek św. Alberta

Adam Chmielowski miał zaledwie 18 lat, gdy wziął udział w powstaniu styczniowym, a ciężko raniony stracił nogę. W następnych latach zajmował się malarstwem, by w 1880 r. odkryć swoje prawdziwe powołanie – służbę najuboższym. Wkrótce, pod zakonnym imieniem Alberta, założył w Krakowie poświęcone wyłącznie temu celowi, istniejące do dziś Zgromadzenie Braci Albertynów. Wiele lat po śmierci Chmielowskiego jego poświęcenie okazane najsłabszym zwróciło uwagę przygotowującego się do kapłaństwa Karola Wojtyły, który poświęcił mu dramat teatralny „Brat naszego Boga", a kilkadziesiąt lat później jako Ojciec Święty Jan Paweł II kanonizował brata Alberta, który mawiał, że „powinno się być dobrym jak chleb".

Wśród najbliższych krewnych św. brata Alberta talentem malarskim odznaczała się jego siostrzenica Ewa, po zamążpójściu tworząca pod nazwiskiem Łunkiewicz-Rogoyska. Tradycję udziału

eprasa.pl 93b77a6ac4



Bracia Fieldorfowie: Jan, Józef i Emil

FOT. MUZEUM ARMII KRAJOWEJ

w walce o niepodległość przejął zaś jego bratanek, Teodor. Urodzony w 1892 r. w Kudryńcach w tej części Podola, która znajdowała się pod zaborem rosyjskim, uczył się w moskiewskiej szkole w Kamieńcu Podolskim. Najpewniej wobec panującej tam rusyfikacyjnej atmosfery rodzice przenieśli go do Zakładu Naukowo-Wychowawczego Ojców Jezuitów w Bąkowicach w zaborze austriackim, gdzie w 1911 r. zdał egzamin maturalny. Trzy lata później jako student prawa Uniwersytetu Lwowskiego wstąpił do oddziału konnego Polskich Drużyn Strzeleckich, w tym czasie pracując z Józefem Hallerem „wśród włościan, zakładając kółka rolnicze, szerząc światło wiedzy i kultury narodowej pod chłopską strzechą".

W Legionach był jednym z pierwszych, którzy służyli w formowanym przy II Brygadzie 2. pułku ułanów, biorąc udział w kampaniach karpackiej i bukowińskiej. Ślad swojego wyboru pozostawił w wierszu, który tak rozpoczynał: „Po latach tylu trudów i niedoli / Z orężem w ręku wyszliśmy na wroga, / już nam otwartą była zwycięstw droga, a teraz, teraz myśmy w gór niewoli... / – Duch, co by w słońcu leciał po równinie po naszych ziemiach, kędy Wisła płynie, / gdzie Częstochowskiej obraz naszej słynie, kostnieje z wolna w tej smutnej krainie...".

Po awansie na stopień chorążego, wiosną 1915 r., Chmielowski zaczął pełnić funkcje w sztabie, a latem następnego roku przeszedł do artylerii II Brygady, a później – Polskiego Korpusu Posiłkowego. Otrzymał pochwałę płk. Hallera za swoją służbę, ofiarną i pełnioną „z niezwykłą gorliwością, poświęceniem i umiłowaniem Sprawy [...]. Niech pełne zadowolenie z obowiązku zawsze sumiennie spełnionego dla dobra Polski i Wojska Polskiego będzie dla niego nagrodą za poniesione trudy" – życzył obiecującemu oficerowi przyszły dowódca Armii Błękitnej.

W czasie słynnego przejścia legionistów przez linię frontu pod Rarańczą Chmielowski przebywał na urlopie. Przez pewien czas ukrywał się we Lwowie, nie chciał jednak najwyraźniej przerywać służby wojskowej, dlatego udał się do Królestwa Polskiego i wstąpił do Polskiej Siły Zbrojnej. Była to dobra decyzja, ponieważ jako wykładowca nauki o broni w Szkole Podchorążych PSZ w Ostrowi Mazowieckiej, a następnie w Warszawie miał wpływ na szkolenie kadr przyszłej armii polskiej. A był bardzo dobrze oceniany jako „fachowo dużo umiejący [...] z zamiłowania artylerzysta".



List Jana Fieldorfa do żony wysłany z obozu Sachsenhausen FOT. MUZEUM GROSS-ROSEN W ROGOŹNICY

W listopadzie 1918 r. Polska Siła Zbrojna została wcielona do Wojska Polskiego, a Chmielowski poprosił o przydział do artylerii. Natychmiast skierowano go na front ukraiński. Wziął udział w pierwszych walkach pod Lwowem, ale potrzeby prac organizacyjnych spowodowały przeniesienie go do Sztabu Generalnego WP; mianowany kapitanem został wysłany do Błękitnej Armii gen. Hallera we Francji. Ścieżki obu tych ludzi splotły się jeszcze raz, a już w maju 1919 r. Chmielowski, wróciwszy z Hallerem i jego żołnierzami do kraju, wziął udział w zwycięskiej ofensywie przeciw wojskom ukraińskim. „Wybitny oficer. Zachowanie się i wykształcenie doskonałe, inteligencja żywa i gibka, surowy i sprawiedliwy, charakter szczery i zdyscyplinowany, dobrze pracuje. Jest to wzór dla żołnierzy, wśród których ma wielkie poważanie" – czytamy w opinii z lata 1919 r. Podobną ocenę wydano kilka miesięcy później: „Oficer I kl. bardzo dobry. Wykształcenie wojskowe b. dobre. Nadzwyczaj sumienny, energiczny i zdolny. Stały charakter, silna wola. Wielki takt służbowy i towarzyski".

W wojnie z bolszewikami Chmielowski, mianowany majorem, dowodził dywizjonem 11. Pułku Artylerii Polowej. 20 sierpnia 1920 r., w czasie kontrofensywy polskiej przeciw Armii Czerwonej podczas forsowania Bugu pod Grannem w powiecie siemiatyckim został ciężko ranny w brzuch. Zmarł następnego dnia w szpitalu w Jabłonnie. Kiedy chowano go na miejscowym cmentarzu, mowę żałobną wygłosił gen. Józef Haller, z którym wcześniej nieraz skrzyżowały się ścieżki bratanka św. Alberta, za okazane męstwo pośmiertnie odznaczonego Krzyżem Virtuti Militari.

Brat twórcy harcerstwa polskiego

„Samotnik wśród ludzi, o legendarnej wręcz odwadze, ograniczający rozkazy do monosylab i znaków umownych, żądający od swych podkomendnych

eprasa.pl 93b77a6ac4



Grób Teodora Chmielowskiego
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LUKASZ2

samodzielnego myślenia i działania" – pisał o Kazimierzu Małkowskim w swoich wspomnieniach kolega z Legionów, znany oficer i historyk września 1939 r., płk Marian Porwit. Podkreślił on równocześnie, że prezentację oficerów swojej kompanii legionowej zaczął od niego, „gdyż mu się to według niepisanych praw dobrych żołnierzy należy".

W polskiej historii to nazwisko zawsze będzie budzić skojarzenie z postacią Andrzeja Małkowskiego, twórcy skautingu na ziemiach polskich pod zaborami i tym samym ojca polskiego harcerstwa, tragicznie zmarłego w 1919 r. w wieku zaledwie 31 lat. Andrzej krótko służył w Legionach, a później w Armii Błękitnej. Z jego dwóch braci najmłodszy, Mariusz, także legionista, zmarł dwa lata wcześniej. Pozostał średni, urodzony w 1892 r. Kazimierz, który miał jednak przeżyć Andrzeja zaledwie o rok.

Umysł ścisły, po ukończeniu szkoły realnej we Lwowie, Kazimierz Małkowski rozpoczął studia na Wydziale Budowy Maszyn w lwowskiej Szkole Politechnicznej. Działał w Polowych Drużynach Sokoła, a w Legionach od jesieni 1914 r. w 3. pp. „Pełni funkcję komendanta plutonu bardzo skrupulatnie i dzielnie. Osobiście nadzwyczaj dzielny" – pisano w opinii służbowej. W czasie ciężkich bojów w Karpatach, „w Jaremczu osaczony przez Kozaków rozbija nieprzyjaciela i wydostaje cały patrol z pułapki. Jako d[owód]ca patrolu w rejonie m. Pniów–Zielona przedostaje się na tyły nieprzyjacielskie, pozostaje tam przez dwa dni i przynosi cenne wiadomości o dyslokacji sił nieprzyjacielskich, które umożliwiają natarcie własne uwieńczone sukcesem".

2 lutego 1915 r. omal nie poległ pod Maksymcem – „przestrzelenie kulą karabinową bioder i krzyża" początkowo wzięto za ranę śmiertelną. Ale już miesiąc później widzimy tego dzielnego oficera ponownie w boju z Rosjanami: „We wsi Czerniawka zostaje otoczony przez nieprzyjacielską kawalerię, która tymczasem zajęła tę wieś. Chorąży Małkowski w starciu wręcz rozbija nieprzyjaciela i doprowadza swój oddział bez strat na nowe pozycje". Nie może dziwić opinia płk. Hallera, który uznał go „za jednego z odważniejszych oficerów".

Po przejściu Legionów na Wołyń Małkowski został mianowany podporucznikiem i objął dowództwo kompanii, w której dotychczas służył. Wyróżnił się w bitwie pod Kostiuchnówką na początku lipca 1916 r.: „Gdy nieprzyjaciel przeciwnatarciem wydarł własnemu baonowi szczyt Polskiej Góry, podporucznik M[ałkowski] wykonywa przeciwuderzenie, mając przy sobie 1 oficera i 18 szeregowych. Odzyskuje w uderzeniu wręcz część utraconych pozycji, odbija nieprzyjacielowi kilkunastu własnych żołnierzy wziętych do niewoli, z garstką swoją utrzymuje się na stanowisku, pomimo iż wobec zerwania się łączności skierowują ogień artylerie obydwu stron na ten odcinek […]. Dzięki temu czynowi ppor. M[ałkowskiego] pozycje pułku zostały utrzymane aż do nakazanego w nocy odwrotu".


Andrzej Małkowski
FOT. IPN

Taką odwagę okazał i później, jako oficer WP i dowódca kompanii 8. pp na froncie ukraińskim, gdzie uczestniczył we wszystkich walkach, m.in. pod Lwowem, podczas których został ranny w nogę. Wrócił do pułku i podczas ofensywy na Podole został ponownie ranny, tym razem w rękę, zdążył jednak jeszcze uczestniczyć w wyparciu wojsk ukraińskich za Zbrucz. W drugiej połowie 1919 r., nadal w szeregach 8. pp, walczył z bolszewikami na froncie litewsko-białoruskim, nad Dźwiną. Mianowany kapitanem, wiosną 1920 r. objął dowództwo batalionu. W ocenie z tego okresu czytamy: „Bardzo dobry oficer frontowy, posiada wiedzę i szerokie wiadomości z zakresu wojskowości, inteligentny, dobry instruktor".

W maju 1920 r. bił się ze swoim pułkiem nad Berezyną. „Kiedy pod wsią Bolszyja Czernica III batalion pod naporem przeważających sił bolszewickich zmuszony był cofać się, major Małkowski rzucił się z I/8 pp Leg[ionów] do kontrataków i zadając ciężką klęskę nieprzyjacielowi, zmusił go do panicznej ucieczki. Bolszewicy jednak, wzmocnieni silną rezerwą, rzucili się znów na I batalion. Rozpoczęła się straszna walka na bagnety, podczas której major Małkowski dowodził osobiście całym batalionem i zawsze był tam, gdzie bolszewicy stawiali największy opór, i zachęcał żołnierzy do ataków. W chwili, kiedy bolszewicy, nie mogąc wytrzymać brawurowego natarcia batalionu, zaczęli cofać się, mjr Małkowski padł rażony śmiertelnie kulą nieprzyjacielską".

Pośmiertnie mianowano go majorem i odznaczono Krzyżem Srebrnym Orderu

eprasa.pl 93b77a6ac4

Virtuti Militari, chociaż zdaniem wszystkich przełożonych, w tym gen. Józefa Hallera, jako „nadzwyczaj energiczny, dzielny oficer" zasługiwał na Krzyż Złoty, co uzasadniano: „Świetny oficer frontowy, zdolny wojskowo i doświadczony w prowadzeniu większych oddziałów […], dzięki bezgranicznemu zaufaniu, którem się cieszył pośród żołnierzy, jak również karności i gotowości bojowej, którą w nich zaszczepił, mógł z garstką żołnierzy dokonywać takich czynów, które dużymi zgłoskami zapisały się w historii".

To dlatego płk Marian Porwit jeszcze wiele lat później wspominał tego znakomitego oficera, dedykując towarzyszom z 8. kompanii 3. Pułku Piechoty Legionów i „cieniom bohaterskiego dowódcy kompanii śp. Kazimierza Małkowskiego" swoją pierwszą pracę – opublikowaną w 1935 r. książkę „Duch żołnierski (Organizacja wychowania żołnierza)".

Siostrzeniec bp. Burschego

Był to już ostatni dzień obrony Warszawy. Rankiem 27 września 1939 r. żołnierze 29. pp Strzelców Kaniowskich, którzy po bitwie nad Bzurą w ciężkim boju przebili się do stolicy, świetnie poprowadzonym wypadem odzyskali z rąk niemieckich rejon Dworca Zachodniego. Tam jednak zostali zatrzymani silnym ogniem nieprzyjacielskim, a wśród poległych uczestników natarcia był ppor. rez. Alfred Sachs. Syn Zofii z domu Bursche, przyrodniej siostry Juliusza Burschego, biskupa Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce, chyba najwybitniejszego przedstawiciela tej zasłużonej rodziny, który w 1942 r. został zamęczony przez Niemców za danie świadectwa, że uważa się za Polaka.

Jego bratanek był absolwentem gimnazjum humanistycznego w Turku, gdzie w 1927 r. zdał egzamin maturalny i rozpoczął studia na wydziale rolnym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Służbę wojskową odbył na kursie podchorążych 82. pp w Brześciu nad Bugiem, uzyskując opinię dobrą: „Ambitny i dokładny w pracy. Obowiązkowy. Do służby ustosunkowany ideowo. Zdyscyplinowany. Dowódca dobry. Rozkazodawstwo jasne i logiczne […]. Niewpływowy. Przyzwyczajony do rygoru. Wymagający od podwładnych […]. Dokładny i sumienny w pracy". Mianowany w 1935 r. podporucznikiem został przydzielony do 29. pp Strzelców Kaniowskich. Był tam uważany za bardzo dobrego oficera rezerwy.



Kazimierz Małkowski

FOT. JAGIELLOŃSKA BIBLIOTEKA CYFROWA



Książka Mariana Porwita dedykowana pamięci Kazimierza Małkowskiego

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Alfred Sachs

FOT. BOHATEROWIE1939.PL

We wrześniu 1939 r. Sachs dowodził plutonem, a następnie kompanią w macierzystym pułku. Po przebiciu się znad Bzury 23 września spotkał go na Żoliborzu służący w tej samej jednostce pchor. Tadeusz Pietrzak: „Jego matka była moją nauczycielką i wychowawczynią, siostra zaś koleżanką. Mimo tego, że znaliśmy się raczej z widzenia, poznał mnie i mile się uśmiechnął. – Kto z nas wróci, ten powie rodzinie o drugim – krzyknąłem do niego. – O to samo chciałem prosić. Odjechałem kawałek i obejrzałem się raz jeszcze. W oddali zobaczyłem, jak porucznik Sachs szedł odważnie wyprostowany wśród wybuchających pocisków".

Tak szedł odważnie i cztery dni później… Spoczywa wśród innych obrońców Warszawy na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Teraz – jako kapitan, gdyż 80 lat później minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak awansował Alfreda Sachsa na ten wyższy stopień oficerski.

Wiele podobnych historii biograficznych o tych, którzy w cieniu swych bardziej znanych bliskich spełnili rzetelnie i odważnie swój obowiązek, pozostaje wciąż do odkrycia. Jak chociażby pchor. WP Tadeusza Pietrzaka, którego relację o spotkaniu z siostrzeńcem bp. Burschego w oblężonej Warszawie zacytowaliśmy. Był on młodszym bratem Włodzimierza, pisarza i krytyka, w życiu literackim Polski podziemnej związanego ze środowiskiem „Sztuki i Narodu", który po wojnie został patronem katolickiej Nagrody Młodych, przyznawanej do dziś za wybitne osiągnięcia kulturalne. Włodzimierz Pietrzak ps. Balk, żołnierz batalionu „Czata 49", poległ w czasie powstania warszawskiego. Jego zapomniany brat Tadeusz już wówczas nie żył – aresztowany jako żołnierz Armii Krajowej zaginął, najpewniej zamordowany w którejś z niemieckich katowni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl 93b77a6ac4



I krajowy zjazd NSZZ „Solidarność" FOT. IPN

XX w. / Solidarność a sowiecki ruch dysydencki

Polska iskra



Mikołaj Iwanow

Robotnicy walczący z władzami PRL o swoją podmiotowość stali się inspiracją dla sowieckich dysydentów, którzy w ZSRS chcieli powtórzyć sukces KOR i Solidarności

Imperium sowieckie liczyło wiele narodów (według oficjalnych źródeł ponad 150). Prawie każdy z nich miał swój własny rachunek do wystawienia władzom komunistycznym. Ukraiński ruch niepodległościowy, białoruskie grupy dysydenckie broniące języka ojczystego, litewski ruch narodowo-religijny, łotewskie grupy walczące o tożsamość narodową, estońscy niepodległościowcy, ormiańskie i gruzińskie grupy opozycyjne, ruch Tatarów krymskich podnoszących prawo powrotu do ziemi ojczystej, syjoniści i inni nacjonaliści żydowscy, niemiecki ruch na rzecz prawa do emigracji do RFN czy najbardziej masowy wśród dysydentów ruch baptystów-ewangelistów – to dalece niepełna lista jawnych kontestatorów centralnie sterowanego życia politycznego w ZSRS. Każdy z tych ruchów na swój sposób walczył z ustrojem.

Do ich powstania potrzebne były odpowiednie warunki. Ruch dysydencki w Związku Sowieckim narodził się w dobie chruszczowowskiej odwilży, kiedy za wyrażanie niezależnych, czasem antykomunistycznych poglądów nie groziły już niechybna śmierć albo łagier. Partia komunistyczna przeszła do stosowania łagodniejszych represji, co umożliwiło powstanie prawdziwej nielegalnej opozycji. Obok ruchów niepodległościowych pojawiły się też grupy domagające się wolności na innych polach.

Idea założenia niezależnego od władz związku zawodowego prawie zawsze była dyskutowana w środowisku dysydentów sowieckich. Historia zna kilka prób urzeczywistnienia jej. Pierwsza z nich (jak również druga) miała wyraźny polski ślad. Znamienna jest również data założenia Wolnego Międzyresortowego Zjednoczenia Pracowników (ros. Свободное межпрофессиональное объединение трудящихся, w skrócie SMOT) – 28 grudnia 1978 r. Doszło do tego dwa lata po stworzeniu polskiego Komitetu Obrony Robotników (KOR) i niemal dwa lata przed powstaniem Solidarności. Robotnicze protesty w Polsce (Radom 1976) i działalność KOR przekonały sowieckich dysydentów, że podobne działania mogą być skuteczne.

Tylko w podziemiu

W odróżnieniu od Polski niezależny ruch związkowy w ZSRS mógł działać jedynie w warunkach całkowicie nielegalnych. SMOT był zaplanowany jako stowarzyszenie łączące w sobie cechy organizacji związkowej i instytucji broniącej praw człowieka. Głównym celem SMOT miało być udzielanie pomocy swym członkom w dziedzinie prawa, stosunków z kierownictwem zakładu pracy, organizacjami partyjnymi i miejscowymi władzami.

Struktura SMOT była zbudowana według klasycznych zasad konspiracyjnych. W poszczególnych zakładach pracy planowano tworzyć tzw. piątki członków SMOT, które powinny być ściśle podporządkowane kierownictwu organizacji. Każda „piątka" wybierała kierownika, który jako jedyny kontaktował się z centralą. Ujawnić się przed władzami mogło jedynie ścisłe kierownictwo organizacji. Doszło do tego 28 grudnia 1982 r. Do publicznej wiadomości podano nazwiska ośmiu kierowników SMOT. Byli to inżynierowie Ludmiła Agapowa i Aleksandr Iwanczenko, elektryk Władimir Borisow, robotnik Lew Wołochonski, geograf Eugeniusz Nikołajew, bibliotekarka Waleria Nowodworskaja, geolog Władimir Świrski i studentka Albina Jakorewa. W kwestii liczebności niższych struktur do dziś brak jest wiarygodnych informacji. Zapewne prawda na ten temat nadal ukryta jest w archiwach KGB-FSB.

Na represje władz wobec osób odważnie ujawniających swe nazwiska nie trzeba było długo czekać. Większość członków kierownictwa SMOT wkrótce została aresztowana, część zmuszono do emigracji, a innych wysłano na przymusowe leczenie w tzw. psychuszkach. W ówczesnych realiach ZSRS niezależny ruch związkowy nie mógł nabrać charakteru masowego.

Lata 1979–1982 były okresem wzmożonego prześladowania przez KGB wszystkich form działalności opozycyjnej. Władze uznawały dysydentów za realne zagrożenie i wyraźnie usztywniły kurs wobec wszystkich grup dysydenckich. Wyroki za działalność polityczną robią się coraz bardziej surowe, szeroko wykorzystywana jest praktyka powtórnego aresztowania po zakończeniu odbywania kary. KGB pod wodzą Jurija Andropowa nabiera doświadczenia w walce z nielegalną opozycją. To wszystko, a przede wszystkim skuteczna taktyka władz polegająca na wypędzeniu przeciwników reżimu za granicę, dopro-

eprasa.pl 93b77a6ac4

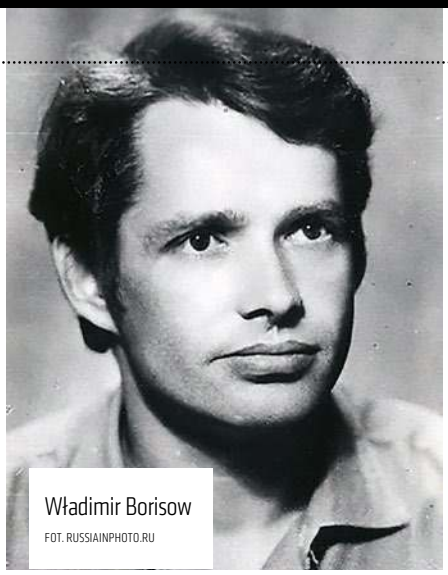
wadziło do osłabienia ruchu dysydenckiego.

Pierwsze lata działalności Solidarności w Polsce były dla Związku Sowieckiego okresem szczególnym. Osłabiony porażkami w wojnie afgańskiej, kolejnymi niepowodzeniami dyplomatycznymi na arenie międzynarodowej, rozluźnieniem „bratnich systemów socjalistycznych" w Europie Wschodniej, ogromnymi trudnościami ekonomicznymi i wreszcie wewnętrznymi napięciami narodowościowymi ZSRS w ostatnich latach rządów Breżniewa poszukiwał sposobów wyjścia z impasu nie na drodze reformowania ustroju, tylko usztywnienia systemu. Na Kremlu nerwowo dyskutowano o możliwości zbrojnej interwencji w Polsce w celu zdławienia pierwszego w „obozie socjalistycznym" masowego opozycyjnego ruchu związkowego – Solidarności. Uznano jednak, że interwencja w Polsce byłaby ponad siły reżimu. Zdecydowano więc powierzyć stabilizowanie największego kraju wspólnoty socjalistycznej (zaraz po ZSRS) towarzyszom polskim. Spodziewano się, że nie zawiodą, jak udowodnili to m.in. w latach 1956 i 1970, podczas kolejnych kryzysów ustroju komunistycznego. Tym razem jednak towarzysze znad Wisły zawiedli.

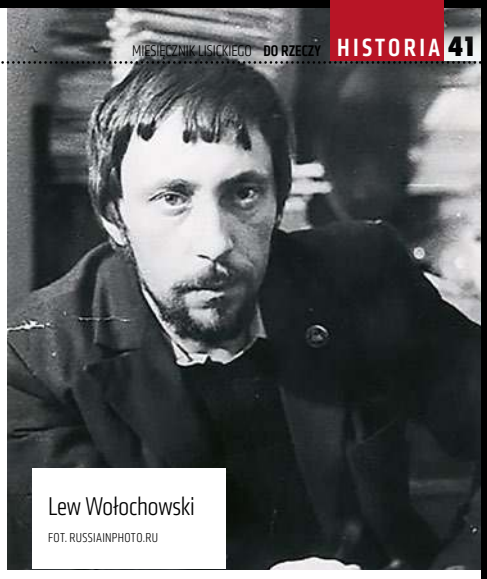
Wielkie plany

O ile pierwsza grupa sowieckich dysydentów dążyła do zakładania niezależnych związków zawodowych, czerpiąc jedynie duchową inspirację z Polski, o tyle druga grupa dążyła do nawiązania bezpośrednich kontaktów z KOR i Solidarnością. Dlatego zdecydowano się napisać list otwarty do I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność". Idea ta narodziła się w środowisku dysydentów znanych jako „młodzi socjaliści" z Moskwy. Większość członków tej grupy została aresztowana wiosną i latem 1982 r.

Ich nieformalnym liderem był Andriej Fadin, a głównym ideologiem i autorem większości dokumentów programowych – Paweł Kudiukin. Wśród aktywnych członków grupy byli też m.in.: Borys Kagarlickij, Michaił Riwkin, Władimir Czerneckij, Grigorij Zajczenko, Oleg Buchowetz, Siergiej Karpiuk, a także ja sam. Większość z nich poznała się jako studenci Wydziału Historycznego Uniwersytetu Moskiewskiego.



Władimir Borisow
FOT. RUSSIAINPHOTO.RU



Lew Wołochowski
FOT. RUSSIAINPHOTO.RU

Wszyscy uczestnicy grupy w tym czasie utożsamiali się z marksizmem i podzielali pogląd głoszący, że możliwe jest naprawienie socjalizmu typu sowieckiego. Nie przeszkodziło to jednak śledczym KGB podczas przesłuchań wysunąć wobec członków grupy zarzutu próby siłowego obalenia ustroju sowieckiego. Chodziło tu przede wszystkim o planowane przez Pawła Kudiukina stworzenie „Związku Komunardów", wzorowanego na Komunie Paryskiej.

Do powołania tej „wywrotowej organizacji" (w opinii władz) nigdy nie doszło. Jednak idea stworzenia jej była dyskutowana na łamach wydawanych przez grupę nielegalnych czasopism „Вианты" („Warianty"), „Левый поворот" („Lewoskręt") oraz „Социализм и будущее" („Socjalizm i Przyszłość"). W czasie śledztwa KGB ustalono, że członkowie grupy rozpowszechnili ok. 100 egzemplarzy tych czasopism.



Samizdat o Wolnym Międzyresortowym Zjednoczeniu Pracowników
FOT. VTORAYA-LITERATURA.COM

Główną formą działalności „młodych socjalistów" była próba utworzenia w warunkach ówczesnego Związku Sowieckiego mocnej, stosunkowo licznej i efektywnej organizacji podziemnej, zdolnej poruszyć klasę robotniczą i poderwać ją do otwartych protestów. Wzorem dla „młodych socjalistów" był polski Komitet Obrony Robotników.

Dyskutowano o założeniu podziemnych wydawnictw, zdolnych drukować tysiące ulotek dla robotników. Sam Andriej Fadin przed aresztowaniem planował zwolnić się ze swej prestiżowej pracy i zatrudnić jako zwykły robotnik w jednym z moskiewskich zakładów przemysłowych w celu podjęcia działalności propagandowej wśród klasy robotniczej.

Idea założenia w ZSRS wolnych związków zawodowych była dyskutowana w środowisku moskiewskich socjalistów jeszcze przed pojawieniem się Solidarności. Były to jednak dyskusje kompletnie teoretyczne, natomiast po polskim Sierpniu i powstaniu niezależnego polskiego związku zawodowego dyskusje te nabrały dynamiki i konkretnych kształtów.

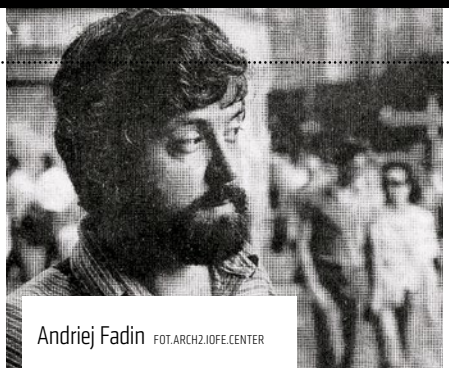
W latach 1981–1982, jak już dziś wiadomo, KGB deptało socjalistom po piętach i ich aresztowanie było tylko kwestią czasu.

Szlakiem Solidarności

List wysłany do uczestników I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność" był bardzo lakoniczny. Bliżej nieznani polskim związkowcom sowieccy dysydenci pisali w nim:

Wasza walka o sprawy zwykłych ludzi w Polsce jest też naszą walką. Wszystko to, czym przyczyniacie się do śmierci kłamstwa i dwulicowości, do realizacji podstawowych potrzeb pracowniczych, osłabia również i nasz reżym. Polska nie będzie wolna, dopóki wolna nie będzie Rosja... Tylko demokratyczne zmiany po

eprasa.pl 93b77a6ac4



Andriej Fadin FOT. ARCH2.IOFE.CENTER

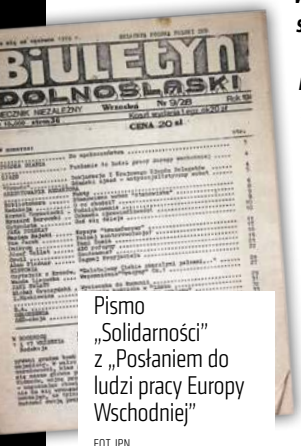
obu stronach Bugu pozwolą nam nie oglądać się na nikogo i budować wolny, kwitnący kraj.

Jak bardzo chcielibyśmy, żeby wśród gości zjazdu byli przedstawiciele wolnego rosyjskiego ruchu robotniczego. Jak bardzo chcielibyśmy okazać wam nasze bezwarunkowe wsparcie, nie takie, jakie dają Wam nasze władze. Na razie to tylko marzenie, ale nastanie dzień (mocno w to wierzymy), kiedy rosyjscy i polscy robotnicy pójdą ramię w ramię na spotkanie demokracji i postępu. Dziś Solidarność jest nam drogowskazem. Za cenę krwi, prześladowań i cierpień polscy robotnicy zerwali pęta reżymowych związków zawodowych. Przed obliczem zjazdu my, radzieccy robotnicy i inteligenci (choć jest nas dziś niewielu), uroczyście przysięgamy uczynić w swej ojczyźnie wszystko, co możliwe, aby Wam pomóc i rozpowszechniać prawdę o Was, aby zdemaskować kłamstwa i – jeśli trzeba będzie – bronić Was wszystkimi dostępnymi sposobami.

Niech Żyje przyjaźń narodu polskiego z narodami ZSRS!

Niech żyje międzynarodowa solidarność ludzi pracy!

Niech was Bóg wspomaga w waszym historycznym dziele!



Pismo „Solidarności" z „Posłaniem do ludzi pracy Europy Wschodniej" FOT. IPN

Pismo było podpisane: „Komitet Założycielski Wolnych Związków Zawodowych w ZSRS".

List zatytułowany jako „Posłanie" trafił na zjazd dzięki nawiązaniu kontaktów ze środowiskiem przyszłej (powstałej w 1982 r.) Solidarności Walczącej Kornela Morawieckiego, który będąc jednym z delegatów na zjazd, osobiście wydrukował kilkaset egzemplarzy „Posłania" i rozpowszechnił je wśród delegatów.

W odezwie rosyjskich dysydentów była również mowa o tym, że w ZSRS czynione są pierwsze kroki w sprawie założenia własnego niezależnego ruchu związkowego, czyli powołania własnej Solidarności. W rzeczywistości plany te na zawsze pozostały jedynie planami.

Kto stał za pomysłem wysłania listu-odezwy na zjazd Solidarności? Andriej Fadin oraz piszący te słowa. Uważaliśmy, że Polacy powinni wiedzieć, iż walka Solidarności o prawa robotników nie pozostaje bez echa w największym państwie bloku socjalistycznego, że są w ZSRS ludzie, którzy chcą kroczyć szlakiem ustanowionym przez polską Solidarność.

Psychoza polonofobii

Pierwsze reakcje „młodych socjalistów" na wiadomość o tym, że plan dostarczenia ich posłania do Solidarności się powiódł, były triumfalne. Jednak wkrótce, pod presją bardzo nerwowej reakcji władz, ten euforyczny nastrój zmienił się w przygnębienie. Czuć było strach przed represjami, ponieważ dysydenci uświadomili sobie, jaka wściekłość zapanowała wśród działaczy partyjnych. Jednak dzięki tej inicjatywie o zjeździe Solidarności, starannie przemilczanym przez sowieckie środki masowego przekazu, niespodziewanie dowiedział się prawie cały kraj. Wyraźnie przekroczyło to wszelkie oczekiwania „młodych socjalistów".

Władze komunistyczne pilnie przyglądały się wszystkiemu, co się dzieje za zachodnią granicą sowieckiego imperium. KGB i inne służby specjalne robiły, co mogły, aby zagłuszyć wołanie wolnych polskich robotników, które w mniemaniu Kremla były również w stanie zdestabilizować sowiecki system. Dlatego ich reakcja na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność" i na jego „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej" była bardzo gwałtowna. Kraj ogarnęła prawdziwa psychoza polonofobii, w całym ZSRS niemal nie było zakładu pracy, instytucji bądź uczelni, gdzie z inspiracji władz partyjnych nie urządzono by protestu przeciwko ingerencji „nieodpowiedzialnych" Polaków w wewnętrzne sprawy sowieckiej klasy robotniczej. Setki tysięcy ludzi musiały głośno protestować, oskarżając Solidarność o zdradę interesów ludzi pracy, o mieszanie się w wewnętrzne sprawy Kraju Rad.

Zakrojona na tak szeroką skalę kampania protestów w opinii wielu obserwatorów osiągnęła cel przeciwny do zamierzonego. Gromkie oburzenie na działania Solidarności, okazywane na tych zebraniach przez specjalnie dobranych funkcjonariuszy partyjnych, prawie zawsze miało zupełnie pozorny charakter. Najciekawsze w tym wszystkim było to, że prawie nikt z tej ogromnej armii protestujących nie czytał wspomnianej odezwy Solidarności. Ich protest opierał się wyłącznie na wskazówkach partyjnych. A ci nieliczni, którzy za pomocą nieustannie zagłuszanych zachodnich rozgłośni co nieco wiedzieli o tym, co się działo na zjeździe Solidarności, woleli się nie wypowiadać.

Przywódców „młodych socjalistów" aresztowano wiosną 1982 r. Wśród materiałów dowodowych ze śledztwa figurują dziesiątki skonfiskowanych kopii ulotek rosyjskojęzycznej wersji solidarnościowego „Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej". „Młodzi socjaliści" próbowali w miarę swych ograniczonych możliwości rozpowszechniać prawdę o walce polskich robotników, prawdę o tym, co się dzieje w PRL. Niestety, wobec machiny totalitarnego państwa sowieckiego byli oni właściwie bezsilni.



Waleria Nowodworska FOT. BESSMERTNYBARAK.RU

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93b77a6ac4

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Inwestuj w wolność!
Kup akcje Do Rzeczy S.A.

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Kapitał wygrał wolność słowa w USA. W Polsce zrobimy to samo.”



Łukasz Warzecha
PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE NA **New/Connect (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl 93b77a6ac4



Hagia Sophia
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BENH LIEU SONG FRANCE

Wieki V–XXI / Hagia Sophia

Utracona perła chrześcijan



Anna Szczepańska

Kościół Mądrości Bożej w Konstantynopolu ma historię niemal tak starą i tak burzliwą, jak samo Cesarstwo Bizantyńskie. Chrześcijanie utracili to miejsce ponad 500 lat temu, a mimo to do dzisiaj patrzą na nie z wielkim sentymentem

Gdy w 537 r. Justynian Wielki zobaczył ukończoną Hagię Sophię, miał powiedzieć: „Salomonie, przewyższyłem cię!". Słowa te odnosiły się jednak nie tylko do słynnej świątyni z Jerozolimy, lecz także do – pretendującego do bycia jeszcze wspanialszą budowlą – kościoła św. Polieukta, który wybudowała Juliana Anicja.

Przez kilka lat Konstantynopol był bowiem świadkiem niezwykłej rywalizacji. Juliana Anicja, mieszkająca w Konstantynopolu córka zachodniorzymskiego cesarza Olibriusza, słynęła po równo z ogromnej pobożności, majątku i niechęci do Justyniana, którego uważała za parweniusza niegodnego cesarskiej purpury (poprzednik Justyniana, jego wuj Justyn, był trackim chłopem, który zdobył władzę, pnąc się po szczeblach kariery wojskowej, więc i sam Justynian nie mógł pochwalić się zbyt prestiżowym pochodzeniem).

Anicja nie poważała wschodniorzymskich cesarzy, lecz na upiększanie Konstantynopola pieniądze wydawała hojną ręką, przeznaczając je głównie na budowę nowych świątyń, chcąc przewyższyć cesarzy. Jedną z najsłynniejszych był kościół św. Polieukta, który ukończono w 527 r. Inskrypcja wyryta wewnątrz wiele mówiła o fundatorce: „Oto samotnie przezwyciężyła czas i przewyższyła mądrością przesławnego Solomona, wznosząc świątynię, przybytek Boga, której blasku i misternego piękna nie dość przez wieki podziwiać". Do tego właśnie napisu nawiązywał Justynian.

Kościół św. Polieukta był okazałą i innowacyjną budowlą. Prawdopodobnie był to pierwszy kościół w Konstantynopolu, który został wybudowany jako bazylika z kopułą – na nim wzorowali się architekci pracujący przy kościele Hagia Sophia, a potem budowniczowie innych bizantyńskich świątyń. W kościele umieszczono, nietypowe wówczas, zdobienia nawiązujące do architektury sasanidzkiej: wzory geometryczne i roślinne. Wnętrze zdobiono marmurem, kością słoniową, szkłem i kamieniami szlachetnymi. Znajdowały się tam mozaiki ukazujące postaci Chrystusa i Matki Bożej, które przetrwały nawet okres ikonoklazmu (wieki VIII–IX) i częściowo dotrwały do naszych czasów. Legenda mówi, że gdy cesarz wezwał Anicję Julianę, aby przekazała część swojego majątku na potrzeby cesarstwa, księżniczka kazała przetopić swoje złoto na płyty, którymi pokryła dach swej potężnej świątyni.

Zrabowane w XIII w. fragmenty kościoła św. Polieukta można dziś oglądać np. w bazylice św. Marka w Wenecji (m.in. Pilastri Acritani). Sama świątynia to dziś jedynie „trwała ruina". W XX w. zidentyfikowano ją tylko dzięki wspomnianej wyżej inskrypcji.

Czy hojność Anicji dała impuls do budowy jeszcze wspanialszej świątyni, którą okazała się Hagia Sophia? Bez niej trudno byłoby wyobrazić sobie Konstantynopol. Obok Wielkiego Pałacu w Bukoleonie czy Pałacu Blacherny kościół Mądrości Bożej przez tysiąc lat był symbolem Cesarstwa Bizantyńskiego.

Magna Ecclesia

Pierwszym kościołem zbudowanym w miejscu, gdzie później stanęła Hagia Sophia, była Magna Ecclesia (Wielki Kościół). Powstał on w połowie IV w.

WWW.DOROZECZY.PL

eprasa.pl 93b77a6ac4



Budowa świątyni Hagia Sophia. Ilustracja z kroniki Manassesa (XII w.) FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PD- ART

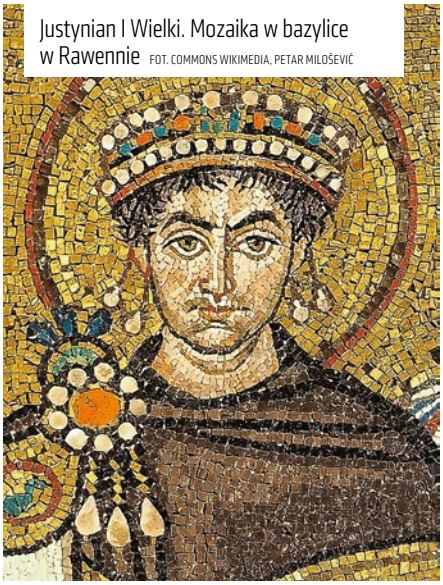
n.e., za panowania cesarza Konstantyna Wielkiego lub jego syna Konstancjusza II, a więc krótko po tym, jak niewielka miejscowość Byzantion nad Bosforem została przemianowana na Konstantynopol i ustanowiona nową stolicą Cesarstwa Rzymskiego. Był to wówczas największy kościół w mieści (nie było ich tam zresztą zbyt wiele). Źródła mówią na pewno o dwóch innych: Hagia Irene (Świętego Pokoju) oraz Kościele Świętych Apostołów.

Wielki Kościół (wybudowany głównie z drewna) uległ zniszczeniu podczas zamieszek w 404 r. Dekadę później, z woli cesarza Teodozjusza II, w jego miejscu rozpoczęto budowę kolejnej świątyni. Drugi kościół, zwany już niekiedy Hagia Sophia (lub wciąż Wielkim Kościołem), wybudowano jako wspólny kompleks z katedrą Hagia Irene. Obie świątynie otoczone były jednym murem i posługiwali w nich ci sami duchowni. Część murów kościoła Teodozjusza II, wraz z wejściem, fragmentami rzeźb i kolumnami, jest wciąż widoczna – natknięto się na nie podczas prac archeologicznych w latach 30. XX w. w okolicy zachodniego wejścia do justyniańskiej Hagii Sophii.

Drugi Wielki Kościół był znacznie bardziej monumentalny – główne drzwi świątyni były złote. W środku znajdowała się górna galeria. Podłoga została ozdobiona wyszukanymi wzorami mozaik z epoki teodozjańskiej, których fragmenty przetrwały do dzisiaj. Do kościoła wchodziło się przez zdobiony propylon, przed którym znajdowały się strome, szerokie schody opadające w stronę zatoki Złoty Róg, co oznacza, że widok sprzed świątyni był zachwycający.

Wielki Kościół Teodozjusza II także nie przetrwał w całości – został zniszczony w czasie powstania Nika, które wybuchło w styczniu 532 r., za panowania Justyniana Wielkiego. Prokopiusz z Cezarei, jeden z największych bizantyńskich historyków, tak opisywał tamte wydarzenia:

„I aby pokazać, że [buntownicy] chwycili za broń nie tylko przeciwko cesarzowi, ale nie mniej przeciwko samemu Bogu, gdyż byli bezbożnymi nędznikami, mieli czelność podpalić Kościół Chrześcijan, który mieszkańcy Bizancjum nazywają »Sophia«, epitet, który najwłaściwiej wymyślili dla Boga, którym



Justynian I Wielki. Mozaika w bazylice w Rawennie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PETAR MILOŠEVIĆ

nazywają Jego świątynię; a Bóg pozwolił im popełnić tę bezbożność, przewidując, w jaki obiekt piękna świątynia miała zostać przemieniona".

Prokopiusz, jak wielu Bizantyńczyków, był oburzony. W ostatnim zdaniu nie krył jednak satysfakcji, że na ruinach Wielkiego Kościoła wyrosło coś jeszcze wspanialszego. 23 lutego 532 r., zaledwie kilka tygodni po zburzeniu drugiego kościoła, cesarz Justynian Wielki zainaugurował budowę trzeciej, zupełnie nowej świątyni, większej i bardziej majestatycznej niż jej poprzedniczki. Projekt architektoniczny nowego kościoła przygotowywali Izydor z Miletu oraz Antemiusz z Tralles. Budowę rozpoczęto jeszcze w 532 r. Łącznie do prac związanych ze wzniesieniem kościoła Mądrości Bożej zatrudniono 10 tys. osób.

Hagia Sophia została połączona w jednym kompleksie z kościołem Hagia Irene oraz z pałacem cesarskim Bukoleon. Świątynię i pałac łączył otwarty plac (Augustaeum). Nieopodal znajdowała się monumentalna Cysterna Bazyliki.

Pierwotnie zewnętrzne mury kościoła pokryto marmurową okładziną, która sprawiała, że miał on lśniący wygląd i był dobrze widoczny z morza. Wnętrze wyłożono polichromowanymi marmurami, a także wielokolorowymi i złoconymi mozaikami. Nawet Prokopiusz z Cezarei, który – delikatnie mówiąc – nie przepadał za rodziną cesarską, był zachwycony nową świątynią. „Gdyby ktoś zapytał chrześcijan przed spaleniem [drugiego kościoła], czy byłoby ich życzeniem, aby kościół został zniszczony, a taki jak ten zajął jego miejsce […], wydaje mi się, że modliliby się, aby ich kościół został natychmiast zniszczony, aby budynek mógł zostać wybudowany w obecnym kształcie" – pisał Prokopiusz. Justynian Wielki także był dumny – miał świadomość, jakiego dzieła dokonał. Kościół Mądrości Bożej był największą świątynią na świecie przez niemal tysiąc lat, aż do czasu wybudowania katedry w Sewilli w 1507 r.

Hagia Sophia została konsekrowana 27 grudnia 537 r. Stała się siedzibą Patriarchatu Konstantynopola i centrum duchowego życia Bizantyńczyków.

Wzloty i upadki

Trzęsienia ziemi z lat 553, 557 i 558 wyrządziły kościołowi poważne szkody. Zawaliła się m.in. wschodnia półkopuła, która uszkodziła ołtarz i ambonę. Renowacją zajął się Izydor Młodszy, siostrzeniec Izydora z Miletu. Całe sklepienie rozebrano i zbudowano od nowa. Było ono wyższe o ponad 6 metrów od poprzedniego, co dało świątyni

eprasa.pl 93b77a6ac4



Chrystus Pantokrator. Mozaika w Hagia Sophia

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, THE YORCK PROJECT

wysokość ponad 55 m. Przebudowę ukończono w 562 r., a ponowne poświęcenie kościoła nastąpiło 23 grudnia tego samego roku.

Hagia Sophia była przez wieki świadkiem wielu doniosłych wydarzeń z dziejów Cesarstwa Bizantyńskiego. To tutaj odbywały się koronacje wszystkich cesarzy i tutaj też zmierzali oni po zwycięskich kampaniach wojennych, niosąc złoconą ikonę Matki Bożej.

Kościół Mądrości Bożej dawał schronienie uciekinierom, był azylem dla prześladowanych, a czasem nawet dla zwykłych przestępców. Na jego terenie rozgrywały się niekiedy rodzinne dramaty, kłótnie na łonie cesarskiej rodziny, a nawet doszło tam do… bitwy.

W 726 r. cesarz Leon III Izauryjczyk wydał wiele edyktów zakazujących kultu wizerunków, nakazując swojej armii zniszczenie wszelkich ikon. Zapoczątkowało to okres ikonoklazmu bizantyńskiego, a zarazem konfliktu wewnętrznego pomiędzy zwolennikami kultu wizerunków a obrazoburcami. Kult wizerunków powrócił na krótko za panowania cesarzowej Ireny. W 815 r. cesarz Leon V Armeńczyk ponownie zakazał czczenia ikon. Drugi ikonoklazm zakończył się w roku 843 wraz z panowaniem cesarzowej Teodory. Ikonoklazm wyrządził Bizancjum wiele szkód. Zniszczono wówczas liczne bezcenne ikony, wizerunki Jezusa, Maryi oraz świętych. Ucierpiała też sama Hagia Sophia. Kolejne nieszczęścia dotknęły kościół w latach 859 oraz w 869 i były one spowodowane pożarem oraz trzęsieniem ziemi.

W 957 r. w Hagii Sophii ochrzczono księżną Olgę Kijowską, wdowę po Igorze Rurykowiczu, panującą na Rusi Kijowskiej w imieniu ich syna Światosława. Chrzest Olgi, która przyjęła podczas sakramentu imię Helena, rozpoczął proces chrystianizacji całej Rusi.

Największych zniszczeń w świątyni (i w całym Konstantynopolu) dokonały jednak nie klęski żywiołowe, lecz wojska krzyżowców, które w 1204 r. zajęły miasto nad Bosforem. To jedna z największych plam na dziejach krucjat. Hagia Sophia została przetrząśnięta w poszukiwaniu kosztowności. Według relacji kronikarzy na terenie kościoła dochodziło do bezczeszczenia ołtarzy i wulgarnych zabaw. Wnętrze świątyni zostało niemal zupełnie zrujnowane. Do prac renowacyjnych przystąpiono dopiero po odzyskaniu Konstantynopola przez cesarza Michała VII Paleologa w 1261 r. Odbudowa, nadzorowana przez kolejnych cesarzy z dynastii Paleologów, trwała wiele lat.



Hagia Sophia, grafika z XIX w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRITISH MUSEUM

Ostatnie dni

„Jeśli można mówić o chwili, w której Bizancjum przestało istnieć, nadeszła ona wraz z ostatnim uderzeniem tureckiej siekiery o drzwi Hagia Sofia" – pisał wenecki kronikarz Nicolo Barbaro. 29 maja 1453 r. Turcy zdobyli Konstantynopol i tym samym upadło Cesarstwo Bizantyńskie.

Kilka dni przed zajęciem miasta nad Hagią Sophią miał się ukazać znak. Jak pisał Nestor Iskander: „Zebrało się wielu ludzi i zobaczyło na Kościele Mądrości wielki płomień ognia wychodzący. Otaczał on cały kościół przez długi czas. W końcu płomień zebrał się w jeden i pojawiło się nieopisane światło i natychmiast wzniosło się do nieba. Bramy nieba zostały otwarte, światło zostało przyjęte. I znowu bramy zostały zamknięte". „Znikającą" światłość zinterpretowano tak, że oto sam Duch Święty opuszcza miasto, a więc koniec musi być już bliski. To wywołało jeszcze większy popłoch.

Tuż przed upadkiem Konstantynopola we wnętrzu Hagii Sophii skupili się Bizantyńczycy. Kościół był ich ostatnią nadzieją, tu czekali na cud, tu trwały nieustające modlitwy. Dniami i nocami odbywały się w nim procesje, podczas których noszono najświętszą ikonę Hodegetrię. Historyk Dukas, wielki zwolennik unii Bizancjum z Rzymem, pisał o tym z niemałym przekąsem, nawiązując do faktu, że wcześniej wielu Bizantyńczyków „obrażało się" na Hagię Sophię jako świadka jednania się z Rzymem:

„Jaki był powód, który zmusił wszystkich do ucieczki do Wielkiego Kościoła? Przez wiele lat słuchali tych, którzy ogłosili, że miasto musi upaść pod naporem Turków, którzy wkroczą w dużej liczbie i wymordują Rzymian aż do Kolumny Konstantyna Wielkiego. Po tym zstąpi anioł trzymający miecz i odda królestwo jakiemuś nic nieznaczącemu, »biednemu i pokornemu człowiekowi«, który akurat stanie przy Kolumnie […]. Wtedy Turcy zostaną wymordowani przez ścigających ich Rzymian i wypędzeni z miasta i ze wszystkich miejsc na zachodzie i wscho-

eprasa.pl 93b77a6ac4

dzie, i zostaną wypędzeni aż do granic Persji, do miejsca zwanego Samotnym Drzewem […]. Niezliczony tłum był wszędzie: na górze, na dole, na dziedzińcach i w każdym możliwym miejscu. Zamknęli bramy i stali tam, mając nadzieję na zbawienie".

Kiedy Turcy zajęli miasto, nie okazali jednak żadnej litości wobec Hagii Sophii ani tym bardziej wobec tych, którzy skryli się w murach kościoła. Wiele osób zabito lub sprzedano do niewoli, a świątynię splądrowano. Wedle ówczesnych zwyczajów rabunek miasta miał trwać trzy dni i trzy noce. Jednak kiedy Mehmed Zdobywca zobaczył, jakich zniszczeń dokonali żołdacy, miał się zasmucić i rozkazać zaniechanie tych działań już po upływie jednego dnia.

Cztery minarety

Po długim oblężeniu Konstantynopol czekała odbudowa, ale kościół Mądrości Bożej miał odtąd służyć islamowi.

Ten rozdział historii najważniejszej bizantyńskiej świątyni rozpoczął się już 29 maja 1453 r., kiedy sułtan Mehmed II wkroczył do Konstantynopola. Swoje pierwsze kroki skierował do Hagii Sophii. Gdy tylko władca przekroczył próg świątyni, rozpoczęły się dziękczynne modły. Początkiem „konwersji" Hagii Sophii na muzułmański dom modlitwy było wypowiedzenie z ambony przez jednego z islamskich uczonych słów szahady (wyznania wiary).

Mehmed II Zdobywca tygodniami, bez cienia litości, bombardował mury Konstantynopola, chcąc zdobyć stolicę wroga, jednak Hagii Sophii zniszczyć nie pozwolił – zamierzał przekształcić Konstantynopol w jedno z najwspanialszych miast imperium osmańskiego. Za jego panowania tutejsi chrześcijanie cieszyli się względną swobodą, jednak Kościoła Mądrości Bożej nie dało się już odzyskać.

Pierwszy minaret przy Hagii Sophii został wybudowany w roku 1481. Kolejny wzniesiono niedługo później, z rozkazu sułtana Bajazyda II. Pod koniec XV w. podłogę świątyni pokryto dywanami. Wczesnośredniowieczne mozaiki z epoki Justyniana Wielkiego zostały przykryte na kolejnych kilkaset lat. Ujrzano je ponownie dopiero w XIX w. Za panowania Sulejmana Wspaniałego umieszczono wewnątrz dwa ogromne świeczniki oraz zakryto tynkiem mozaiki ukazujące Jezusa i Matkę Bożą. Dzieła te odkryto dopiero w 1930 r.

W 1935 r. pierwszy prezydent i założyciel Republiki Turcji, Mustafa Kemal Atatürk, przekształcił świątynię w muzeum

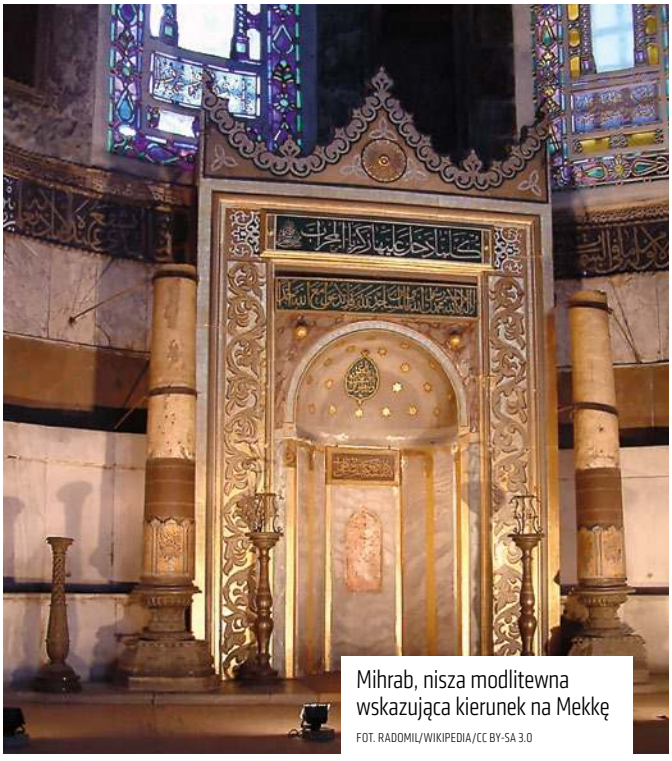
Znaczna przebudowa świątyni miała miejsce w czasach Selima II w połowie XVI w. Wzniesiono wówczas kolejne dwa minarety oraz m.in. mauzoleum, które stało się miejscem pochówku osmańskich władców. Następna renowacja odbyła się w latach 1847–1849 za panowania Abdulmejida I. Wzmocnienie liczącej ponad tysiąc lat budowli nadzorowali włoscy architekci. Wtedy też we wnętrzu świątyni zawieszono osiem gigantycznych medalionów z wykaligrafowanymi imionami Allaha, Mahometa, czterech pierwszych kalifów i dwóch wnuków Mahometa.

Pierwszą od 1453 r. Boską Liturgię (Mszę w obrządku wschodnim) odprawiono w Hagii Sophii dopiero po pierwszej wojnie światowej, w 1919 r., czyli po ponad 460 latach. Celebrował ją greckokatolicki ksiądz (kapelan) Eleftherios Noufrakis.

W 1935 r. pierwszy prezydent i założyciel Republiki Turcji, Mustafa Kemal Atatürk, przekształcił świątynię w muzeum. Od tamtej pory Hagia Sophia jest nieustannie remontowana. Konserwacji poddano delikatne freski, mozaiki i zabytkowe podłogi.

W 1991 r. na terenie Hagii Sophii otwarto specjalne pomieszczenie przeznaczone do muzułmańskich modlitw, a od 2013 r. dwa minarety były używane przez muezzinów do regularnego wzywania do modlitwy. W Turcji trwały spory, czy Hagia Sophia powinna w całości zostać przekształcona w meczet. Głosów „za" nie brakowało w rządzie. W 2019 r., po kilku latach dyskusji, prezydent Recep Tayyip Erdoğan zapowiedział, że kościół Mądrości Bożej zostanie wkrótce na nowo muzułmańską świątynią.

W 2020 r. rząd Turcji uczcił 567. rocznicę podboju Konstantynopola islamską modlitwą w Hagii Sophii. Decyzja Turcji została najbardziej oprotestowana przez Grecję, która czuje się duchową spadkobierczynią Cesarstwa Bizantyńskiego. Dezaprobatę wobec tej decyzji wyraziło też wiele innych państw oraz papież Franciszek. Mimo że muzeum stało się meczetem, Hagia Sophia nadal pozostaje otwarta dla zwiedzających (oczywiście poza czasem modlitwy).



Mihrab, nisza modlitewna wskazująca kierunek na Mekkę

FOT. RADOMIL/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93b77a6ac4



Oficerowie estońskiego pociągu pancernego
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, VÕRUMAA MUUSEUM

Lata 1918–1920 / Tallin w ogniu

Tallińska reduta



Arkadiusz Karbowiak

Estonia była jedynym z państw bałtyckich, które wybiło się na niepodległość w znacznej mierze dzięki własnym siłom

Oczywiście nie oznacza to, że droga Tallina do uzyskania niepodległości była łatwa i prosta. Głównym zagrożeniem dla realizacji estońskich dążeń niepodległościowych była Rosja bolszewicka. Powstały 15 listopada 1918 r. w Piotrogrodzie Tymczasowy Estoński Komitet Rewolucyjny wystąpił z prośbą do Rady Komisarzy Ludowych o udzielenie pomocy estońskiej rewolucji. Tydzień później bolszewicka 7. Armia Frontu Północnego rozpoczęła ofensywę w kierunku Narwy. Stacjonujące tam wojska niemieckie wspierane przez oddziały armii estońskiej początkowo natarcie odparły. Dopiero drugi atak przeprowadzony 28 listopada przez 6. Dywizję Strzelecką okazał się skuteczny.

Dzień później bolszewicy powołali do życia Estońską Komunę Ludu Pracującego, stanowiącą de facto organ rządowy, na której czele stanął Estończyk Jaan Anvelt. 7 grudnia 1918 r. Rosja bolszewicka uznała niepodległość komunistycznej Estonii. Równocześnie dzięki sukcesom militarnym Armii Czerwonej poszerzał się obszar bolszewickiego panowania. Postęp ofensywy wyhamowany został dopiero w odległości ok. 35–40 km od Tallina.

Na zajętych terytoriach władze komunistyczne za jeden z priorytetów uznały zniszczenie Kościołów ewangelickiego i prawosławnego. Pod karą śmierci zabroniono odprawiania nabożeństw. Rozpoczęło się prześladowanie duchowieństwa, postrzeganego jako element kontrrewolucyjny. W podobny sposób oceniano przedstawicieli arystokracji wywodzących się w Estonii z szeregów mniejszości niemieckiej. Ich majątki ziemskie, podobnie jak fabryki, zostały upaństwowione, a wielu z nich wysiedlono na Syberię. Tych, którzy zostali, poddano terrorowi. W miastach wprowadzały go w życie trybunały rewolucyjne oraz struktury estońskiej Czeka. W Tartu, drugim największym mieście Estonii, czekiści zaczęli działać 1 stycznia 1919 r. Na ich czele stał Aleksander Kull, mający doświadczenie w pracy w piotrogrodzkich organach bezpieczeństwa. Impulsem do rozpoczęcia represji w tym mieście stały się akcje estońskiego oddziału partyzanckiego por. Juliusa Kuperjanova, który 4 stycznia 1919 r. kazał powiesić komunistę Johannesa Pärna za działalność przeciwko estońskiemu rządowi narodowemu.

Pięć dni później na lodzie na rzece Emajõgi w Tartu stracono 13 osób, w tym trzech właścicieli ziemskich. Kolejne ofiary padły 12 stycznia 1919 r. w parafii Elistvere, gdzie zamordowano przy użyciu kul dum-dum ośmiu byłych wiejskich urzędni-

eprasa.pl 93b77a6ac4

ków. Pomiędzy 1 a 14 stycznia aresztowano w Tartu 512 osób. Ponad 70 osadzono w podziemiach Kasy Kredytowej. Tuż przed wyzwoleniem miasta przez oddziały estońskiej 2. Dywizji Piechoty Alexander Kull nakazał przeprowadzić egzekucję 19 więźniów. W gronie rozstrzelanych znaleźli się m.in. biskup prawosławny Platon, ewangelicki pastor Gotthilft Hahn oraz lider mniejszości niemieckiej w mieście Arnold von Tideböhl.

Pomoc Londynu

Nie mniej krwawe wydarzenia miały miejsce w innych miastach. W Narwie w okresie rządów bolszewickich stracono 45 osób, w Rakvere 101, w regionie Viru 141, a w Valdze w masowym grobie odnaleziono 92 ciała. Szacuje się, że na skutek bolszewickiego terroru ok. 700 osób straciło życie. Liczba ofiar zapewne byłaby większa, gdyby nie fakt, że bolszewickie rządy trwały dosyć krótko. Praktycznie do końca stycznia 1919 r. armia estońska odbiła większość terenów zagarniętych przez bolszewików. Armia podlegała powstałemu 24 lutego 1918 r. Tymczasowemu Rządowi Republiki Estonii, kierowanemu przez Konstantina Pätsa (po zajęciu Estonii przez wojska niemieckie rząd działał aż do listopada 1918 r. w podziemiu).



Julius Kuperjanov

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TARTU LINNAMUUSEUM

Wyparcie bolszewików możliwe było dzięki sprawnemu odtwarzaniu powstałych po rewolucji lutowej estońskich jednostek wojskowych. Jednym z problemów, poza zaopatrzeniem w broń i amunicję, była wola walki. Nie wszyscy członkowie gabinetu Pätsa byli bowiem zwolennikami prowadzenia działań zbrojnych. Ostatecznie decyzję w tej sprawie podjął premier, który na posiedzeniu gabinetu powiedział krótko: „Żadnych porozumień z bolszewikami". Jeszcze w grudniu 1918 r. udało się powołać pod broń 2,2 tys. żołnierzy. Do 5 stycznia liczba ta wzrosła do 13,5 tys. (według innych danych ok. 6 tys.). Żołnierzy często wspierali w walce członkowie paramilitarnej organizacji Kaitseliit, czyli Ligi Obrony.

Niedobór broni i amunicji zmusił rząd do poszukiwania sojuszników, którzy byliby w stanie udzielić wsparcia. Głównym partnerem Estonii była w tym zakresie Wielka Brytania. 27 listopada 1918 r. z bazy Firth of Forth wypłynęło w kierunku Bałtyku pięć krążowników, wspartych przez grupę trałowców, i dziewięć niszczycieli. Wraz z nimi na Bałtyku pojawiły się też m.in. lotniskowiec HMS „Vindictiv", monitor HMS „Erebus" oraz dwa stawiacze min wyładowane 5 tys. karabinów i kilkoma trzycalowymi działami przeciwlotniczymi. Brytyjczycy nie tylko wspierali z morza oddziały estońskie, lecz także atakowali flotę bolszewicką,



Brytyjskie okręty u brzegów Estonii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, VABADUSSÕJA AJALOO KOMITEE

czego efektem było zatopienie lekkiego krążownika „Oleg". Straty poniesione przez Royal Navy na Bałtyku wyniosły sześć okrętów wojennych i 112 marynarzy oraz pięciu pilotów.

Nie umniejszając brytyjskiej pomocy, zwycięstwo Estonii w zmaganiach z Armią Czerwoną było jednak możliwe głównie dzięki operacjom lądowym żołnierzy estońskich, choć swoją rolę odegrali w tym również fińscy ochotnicy. Gorącym orędownikiem udzielenia wsparcia Estonii był fiński parlamentarzysta Oskari Wilho Louhivuori, przewodniczący Centralnego Komitetu Pomocy Estonii. W Finlandii działalność komitetu cieszyła się uznaniem najwyższych władz z głową państwa Pehrem Svinhufvudem na czele. Fińskimi ochotnikami dowodził gen. Martin Wetzer, przyjaciel gen. Carla Gustava Mannerheima, pierwszy szef sztabu białej armii podczas wojny domowej w Finlandii. Nie pełnił jednak tej funkcji długo – już w marcu 1919 r. zrezygnował ze stanowiska, ponieważ w oczach Estończyków uchodził za wyraziciela niemieckich i rosyjskich interesów (trzeba przyznać, że faktycznie miał z tymi nacjami bardzo dobre relacje).

Bój o dwór

Fińskie siły ochotnicze składały się z liczącego 1550 żołnierzy oddziału, dowodzonego przez szwedzkiego majora Martina Ekströma. Jedna z jego kompanii, która przybyła do Tallina 30 grudnia na lodołamaczu „Tarmo", 18 stycznia 1919 r. wdarła się do Narwy. O mały włos w ręce atakujących wpadli Lew Trocki i Jaan Anvelt, jednak udało im się uciec. Nieco mniej szczęścia miało 27 fińskich komunistów walczących po stronie czerwonych. Ci po ujęciu zostali rozstrzelani pod ratuszem. Dzień później Narwa została wyzwolona. W walkach poległo 10 Finów, a 40 odniosło rany.

Drugą, znacznie większą jednostką fińską był liczący 2337 żołnierzy pułk o nazwie „Pohjan Pojat" (Synowie Północy). Dowodził nim Estończyk z pochodzenia ppłk Hans Kalm, weteran fińskiej wojny domowej. Jednym z pierwszych zadań przydzielonych żołnierzom „Pohjan Pojat" było zdobycie Valgi. Zanim do tego doszło, pułk wziął udział w jednej z najkrwawszych bitew estońskiej wojny o niepodległość – bitwy o dwór Paju. Finów wspomagał wówczas estoński batalion partyzancki por. Juliusa Kuperjanova i to właśnie jedna z jego kompanii 30 stycznia 1919 r. zajęła dwór, choć szybko została z niego wyparta. Kolejny atak prowadzony przez Estończyków na otwartym terenie spowodował duże straty – 13 zabitych i 42 rannych. Następnie ciężar szturmu wzięli na siebie Finowie z batalionu kpt. Erko Hanulli, którym ostatecznie za cenę 24 zabitych i 39 rannych, w walce na bagnety, udało się zdobyć dwór Paju. Straty łotewskich bolszewików były trzykrotnie wyższe,

eprasa.pl 93b77a6ac4



Sanitariuszka i żołnierze formacji Pohjan Pojat

FOT. COMMONS WIKIMIEDA, MUSEOVIRASTO



Fińscy ochotnicy przybywają do Tallina

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

co w pewnej mierze było skutkiem tego, że Finowie nie brali swych przeciwników do niewoli. Poza Finami niewielką rolę w wojnie w Estonii odegrała licząca 189 żołnierzy duńska kompania ochotnicza, dowodzona przez kpt. Richarda Borgelina. Natomiast żadnymi osiągnięciami nie byli w stanie pochwalić się Szwedzi, dlatego złożona z ochotników pochodzących z kraju trzech koron 179-osobowa jednostka została po miesiącu istnienia rozwiązana.

Nie tylko ochotnicy z krajów nordyckich zaznaczyli swój udział w wojnie estońsko-bolszewickiej. Wkład w pokonanie komunistów wnieśli też przedstawiciele mniejszości niemieckiej, formując tzw. Baltenregiment. Jego powstanie wynikało z zawarcia umowy o współpracy, którą 26 listopada 1918 r. podpisał rząd estoński z miejscowymi stowarzyszeniami Niemców bałtyckich. Trzon pułku stanowili Niemcy bałtyccy w liczbie 920 osób, choć należy wspomnieć, że w jego składzie znajdowało się także 160 Estończyków i 270 Rosjan. Jednostka miała charakter wyłącznie ochotniczy, a jej członkowie wywodzili się ze środowisk niemieckich junkrów, a także przedstawicieli klasy średniej oraz studentów.

Niemcy bałtyccy w Estonii, w przeciwieństwie do swych rodaków na Łotwie, chcieli po prostu bronić swej ojczyzny przed bolszewikami, nie przejawiając tendencji do występowania przeciwko estońskim współobywatelom. Szczególnym zaufaniem władz estońskich cieszył się płk Constantin von Weiss – dowódca pułku, były oficer armii carskiej. Swoistym dobrym duchem pułku okazał się naczelny dowódca armii estońskiej Johan Laidoner. Zapobiegł on rozwiązaniu jednostki, mimo że chcieli tak zrobić niektórzy estońscy dowódcy. Laidoner, by zmniejszyć napięcia estońsko-niemieckie, skierował Baltenregiment do działań militarnych prowadzonych poza granicami Estonii. Dzięki temu jednostka przetrwała do końca wojny estońsko-bolszewickiej, zachowując lojalność wobec nowo powstałego państwa, za które swe życie oddało 71 niemiecko-bałtyckich ochotników.

Strefa buforowa

Znacznie większą siłą militarną niż Niemcy bałtyccy dysponowali w Estonii Rosjanie. Armia niemiecka jeszcze w październiku 1918 r., a więc tuż przed końcem pierwszej wojny światowej podjęła wysiłki mające na celu stworzenie pod swymi auspicjami formacji białogwardyjskich. Po wycofaniu się, pod presją bolszewików, z Rosji do Estonii znalazły się one od 6 grudnia 1918 r. pod zwierzchnością rządu w Tallinie, funkcjonując pod nową nazwą – Korpus Północny. Formacja ta nie brała udziału w walkach z bolszewikami na terenie Estonii. Władze w Tallinie musiały w końcu zdecydować o przyszłości tej rosyjskiej jednostki.

13 maja 1919 r. Korpus Północny, dowodzony przez gen. Aleksandra Rodziankę, rozpoczął ofensywę, której celem było zajęcie Pskowa. W działaniach tych wzięły udział również jednostki estońskie. Generał Johan Laidoner uważał, że dla bezpieczeństwa Estonii należy zbudować tzw. pskowską strefę buforową, nad którą kontrolę mieli sprawować rosyjscy sojusznicy. Jednak Rosjanie zamierzali realizować bardziej ambitne cele.



Johan Laidoner

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FINNISH HERITAGE AGENCY

Po początkowych sukcesach Armia Północno-Zachodnia (korpus najpierw przemianowano na Armię Północną, a następnie na Armię Północno-Zachodnią – APZ) zderzyła się z bolszewicką kontrofensywą i została wyparta z dopiero co opanowanych terenów. Jesienią 1919 r. siły białogwardyjskie wspomagane przez Brytyjczyków, liczące ok. 18 tys. żołnierzy, podjęły kolejną próbę zwycięskiego rozstrzygnięcia wojny domowej na północnym teatrze. Dowodził nimi gen. Nikołaj Judenicz, mianowany na to stanowisko przez szefa rządu rosyjskiego w Omsku, adm. Aleksandra Kołczaka. Stosunek generała i przywódców ruchu białych wobec niepodległości Estonii nie pozostawiał cienia wątpliwości: po swoim zwycięstwie nie będą jej uznawać. Pomimo ogłoszenia 11 sierpnia 1919 r. deklaracji uznania Estonii



Kolumna Zwycięstwa w Tallinie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DIEGO DELSO

eprasa.pl 93b77a6ac4

przez tzw. Rząd Północno-Zachodni Estończycy byli bardzo nieufni wobec białogwardzistów. Ostatecznie problem relacji estońsko-rosyjskich rozwiązali bolszewicy, zadając klęskę armii gen. Judenicza, co przełożyło się na przejście części APZ na terytorium Estonii i złożenie przez jej żołnierzy broni.

Bunt na wyspie

Odbicie przez armię narodową z rąk bolszewików całego terytorium kraju i odnajdywanie grobów ludzi przez nich pomordowanych wywołało nastroje odwetowe u przedstawicieli władz w Tallinie. Instrumentem używanym do prowadzenia rozliczeń były sądy wojskowe powołane do życia 5 grudnia 1918 r. W ciągu roku na skutek wydanych przez nie wyroków stracono 284 osoby. Z tego grona 60 proc. skazanych stanowili cywile (m.in. działacze bolszewiccy), 21 proc. żołnierze (głównie dezerterzy), a 19 proc. jeńcy. Najbardziej charakterystycznym przypadkiem posłużenia się sądami polowymi było stłumienie buntu na wyspie Sarema, który wybuchł 16 lutego 1919 r. w proteście przeciwko poborowi do wojska estońskiego. Rebelianci dokonali wielu grabieży majątków oraz morderstw, zabijając 41 osób. Pierwszymi ofiarami byli chorąży Arseni Jefomow oraz jego dwóch podkomendnych, którzy przybyli na wyspę w celu przeprowadzenia poboru. Poza tym życie stracili m.in. znany ziemianin Alexander von Buxhoeveden, a także sekretarz konsulatu niemieckiego, Oscar Rahr, wraz z żoną. Aby spacyfikować buntowników, rząd postanowił wysłać na wyspę 242-osobowy oddział por. Jaana Klaara. Jego żołnierze 19 lutego zastrzelili 23 osoby, a 21 lutego, po potyczkach pod Upa i Vaivere, kolejne 75 (część ujętych rebeliantów przetransportowano do Kuressaare i tam rozstrzelano na głównym palcu). Ustanowiony w Saaremie sąd polowy skazał na śmierć 68 osób, które stracono za bunt i agitację na rzecz czerwonych. Ten sam sąd skazał również 58 innych osób na pracę przymusową, 15 na karę więzienia, a 118 na kary cielesne.

Sądy polowe rozpatrywały również sprawy dotyczące jeńców. Przykładem był proces 244 bolszewickich marynarzy z dwóch zdobytych przez Brytyjczyków (przekazanych następnie Estończykom) krążowników „Spartak" i „Awtroił". Spośród sądzonych załóg 28 osób usłyszało karę śmierci. Według najnowszych danych w trakcie tzw. białego terroru w Estonii w latach 1918–1919 zabito ok. 800 osób.

Pomimo nieudanej sowieckiej próby opanowania Estonii, do której doszło w grudniu 1919 r., rząd w Tallinie podjął rozmowy z przedstawicielami Rosji bolszewickiej na temat zakończenia konfliktu. Przy pełnej aprobacie ze strony Wielkiej Brytanii Estonia ostatecznie podpisała 2 lutego 1920 r. w Tartu traktat pokojowy z Sowietami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Braggemann K., ***„Defending National Sovereignty against Two Russias: Estonia in the Russian Civil War, 1918–1920";***

Jürman A. ***„The White and Red Terror in the Eastern Part of Viru County in 1917–1919";***

Kikkas T., ***„Field Courts Martial, the Cheka and Penal Policy in the Estonian War of Independence in 1918–1920".***

REKLAMA

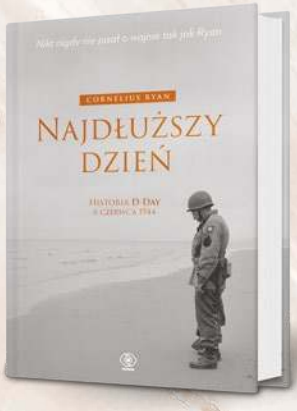
REBIS

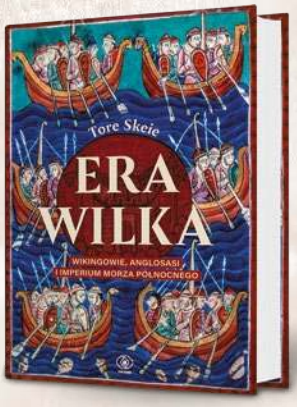


Przełomowy rok II wojny światowej w infografikach, rysunkach, fotografiach

Nikt nigdy nie pisał o wojnie tak jak Ryan.

Historia D-Day





Wikingowie, Anglosasi i imperium Morza Północnego

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z oo.

www.rebis.com.pl FB/REBIS

eprasa.pl 93b77a6ac4



Tomasz Stańczyk

1877 r. / Kulturkampf, Matka Boska i Warmiacy

Warmińskie Lourdes

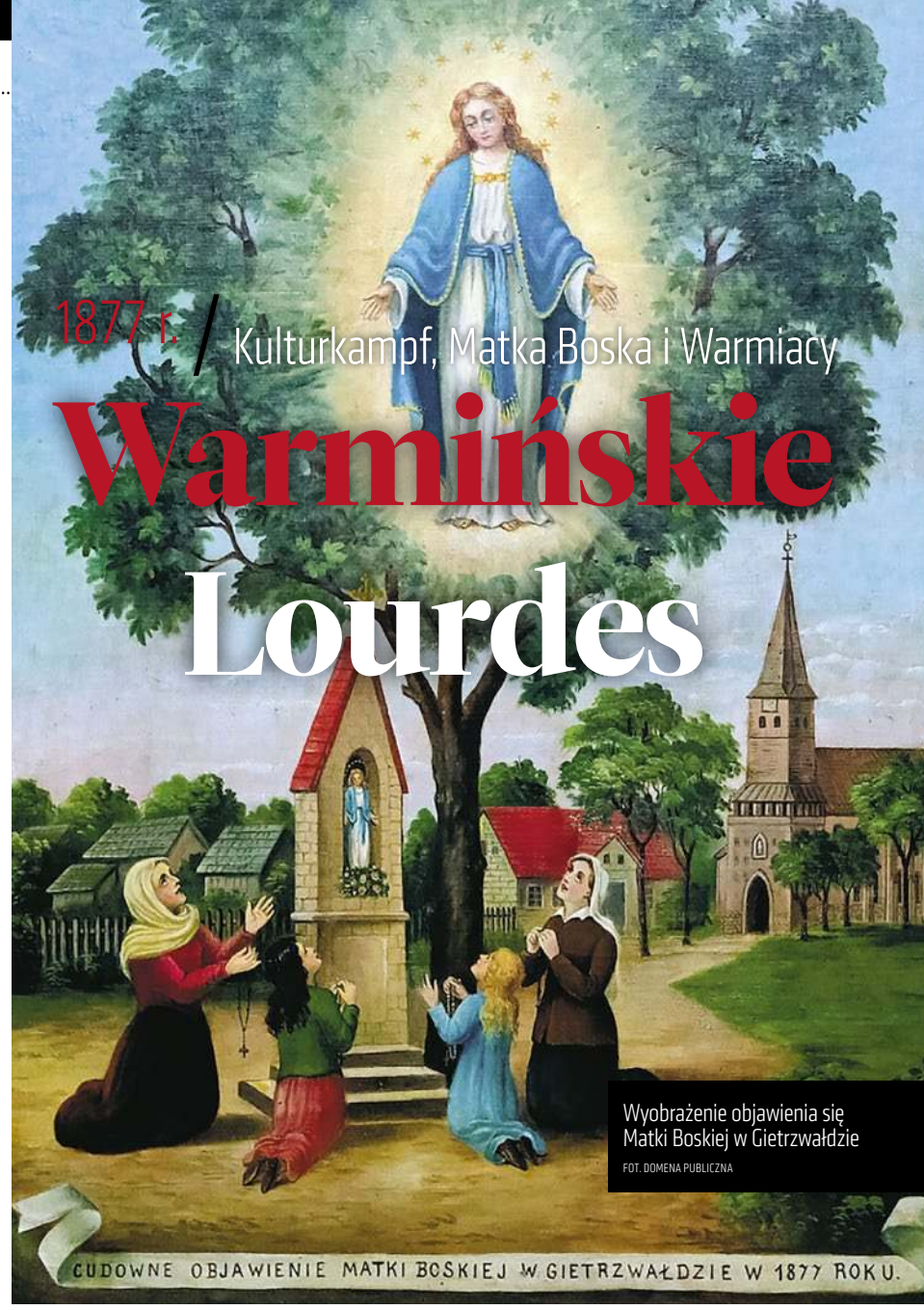
Kult objawień maryjnych w Gietrzwałdzie został uznany przez Kościół katolicki

Trzynastoletnia Justyna Szafryńska, córka młynarza ze wsi Nowy Młyn, nie była bystrą dziewczynką, nauka z dużym trudem wchodziła jej do głowy. Jej matka zamartwiała się, czy Justyna zda egzamin z katechizmu, dopuszczający do Pierwszej Komunii. Obawy miał także ks. Augustyn Weichsel, proboszcz w Gietrzwałdzie (wówczas Dietrichswalde), Niemiec znający bardzo dobrze język polski w jego warmińskiej odmianie. A w parafii gietrzwałdzkiej, obejmującej kilka wsi, Niemcy stanowili znikomą mniejszość. Jej sercem był konsekrowany w 1500 r. kościół, ze słynącym łaskami obrazem Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus trzymanym na lewej ręce.

Justyna zdała egzamin pomyślnie, ku zdziwieniu matki i księdza. Mówiła później, że zawdzięcza to modlitwom do Jezusa i Matki Boskiej. Gdy 27 czerwca 1877 r. po egzaminie dziewczynka wracała wraz z matką do domu, z wieży gietrzwałdzkiego kościoła odezwał się dzwon na „Anioł Pański". Matka i córka zmówiły modlitwę. I wówczas Justyna, patrząc na 200-letni klon rosnący niedaleko kościoła, powiedziała: „Czekajcie, matuchno, aż zobaczę, co to jest to białe na drzewie i gdzie zostanie". Matka, ponieważ nic nie widziała, ofuknęła ją i kazała iść dalej. Justyna jednak „lubo bardzo nieśmiała, zaczęła się powoli opierać woli macierzyńskiej, bo chciała koniecznie jeszcze wrócić pod klon i oczy swoje cudownem ucieszyć zjawiskiem".

Za chwilę pojawił się przy Szafryńskich ks. Weichsel, wracający ze spaceru. Dziewczynka silnie wzruszona powiedziała mu: „Tam siedzi na złotym tronie, perłami wysadzanymi piękna w bieli dziewica z długiemi i jaśniejącemu włosami, spływającymi poza ramiona". Opowiadała też później, że aniołowie przynieśli Matce Boskiej Dzieciątko i położyli je na kolanach, inni trzymali koronę nad Madonną.

Ksiądz Weichsel nie zlekceważył tego, co usłyszał od Justyny, więc polecił dziewczynce podejść pod klon i zmówić „Zdrowaś Mario". Niemal 20 lat wcześniej, w 1858 r., słynne stało się bowiem objawienie Matki Boskiej w Lourdes. Matka Zbawiciela pokazała się kilkanaście razy 14-letniej, ubogiej i niepiśmiennej dziewczynie, Bernadecie Soubirous, przekazując polecenie, by ludzie pokutowali i modlili się za grzeszników. Pobłogosławiła też źródełko i nakazała zbudować kaplicę. Miejscowy biskup, na podstawie badań powołanej przez siebie komisji, uznał, że objawienie rzeczywiście miało miejsce. Ksiądz Weichsel wiedział też o objawieniu się Matki Boskiej w Marpingen w Kraju Saary, do którego doszło rok wcześniej.



Wyobrażenie objawienia się Matki Boskiej w Gietrzwałdzie

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Płótna chorych

Na polecenie księdza Justyna wróciła następnego dnia pod klon, ponieważ

eprasa.pl 93b77a6ac4

duchowny chciał zobaczyć, czy widzenie się powtórzy. Wraz z Justyną pod drzewo przyszły dzieci, którym opowiedziała o swoim widzeniu. W ten sposób rozpoczęły się codzienne modlitwy pod klonem, do których przyłączyli się mieszkańcy Gietrzwałdu i okolicznych wsi. Ksiądz Weichsel polecił Justynie, by zapytała ukazującej się jej postaci, kim jest. Dziewczynka usłyszała odpowiedź: „Ja jestem Najświętsza Marya Panna, niepokalanie poczęta". Ksiądz kazał następnie zapytać, czego Matka Boska żąda. „Na pytanie dziecka w swoim rodzinnym języku odpowiedziała, w tem samem polskiem narzeczu: »Ja żądam, żebyście codziennie Różaniec odmawiali«". Było to główne przesłanie objawień gietrzwałdzkich, innym była zapowiedź kary dla pijaków i osób „zostających w szkaradnym nałogu nieczystości cielesnej".

Na kolejne pytanie przekazane przez księdza, czy oprócz wezwania do odmawiania Różańca Matka Boska życzy sobie jeszcze czegoś, Justyna Szafryńska otrzymała polecenie wybudowania kapliczki z figurą Niepokalanego Poczęcia, z zapowiedzią, że gdy to się stanie, chorzy będą mogli przynosić płótno, kłaść je u stóp posągu, a gdy zaczną je nosić, będą uzdrowieni.

Wśród dzieci jeszcze tylko jedna dziewczynka widziała Matkę Boską. Była nią 12-letnia Barbara Samulowska z Woryt, córka rolnika. Została później zakonnicą (szarytką), przeniosła się do Gwatemali i tam zmarła w 1950 r.

Wieść o objawieniu się Matki Boskiej w Gietrzwałdzie rozeszła się lotem błyskawicy po okolicznych wsiach i parafiach, a potem po ziemiach trzech zaborów. W lipcu 1877 r. napisały o tym niezwykłym wydarzeniu poznański „Orędownik" i wydawany w Pelplinie „Pielgrzym". Nie wyjaśnia to jednak masowego napływu pielgrzymów do Gietrzwałdu; czytelnictwo prasy miało przecież ograniczony zasięg, a w Królestwie Polskim rosyjska cenzura uniemożliwiała informowanie o objawieniach w warmińskiej wsi i nie pozwalała na rozpowszechnianie polskich gazet z zaboru pruskiego.

Do Gietrzwałdu zaczęły napływać tysiące ludzi. Przez zieloną granicę przedostawali się Polacy z zaboru rosyjskiego,



Klon w Gietrzwałdzie, miejsce objawień
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

nie brakło też Polaków z Galicji, Pomorza i Poznańskiego.

Redaktor „Pielgrzyma" tak to opisywał: „Ze wszystkich w ogóle stron był tu zgromadzony lud polski: od Morza Bałtyckiego aż po Tatry, od Warszawy i granic Litwy aż po Szczecin". Do Gietrzwałdu przybywali także Niemcy, ale z czasem było ich coraz mniej. Powodem była niechętna, a wręcz wroga postawa niemieckich księży, którzy z ambon odwodzili wiernych od pielgrzymki. Nie mogli się zapewne pogodzić z faktem, że Matka Boska objawiła się w czysto polskiej parafii.

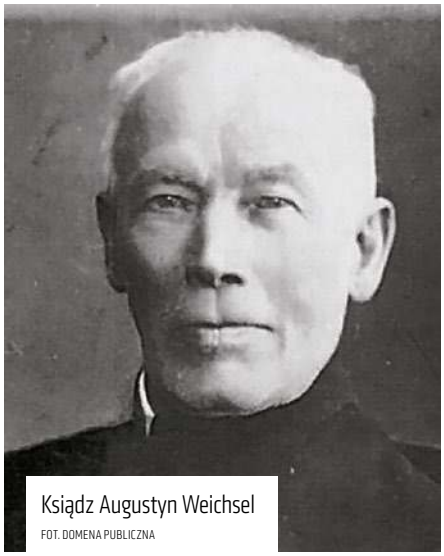
Niemiecka wrogość

Laurysiewiczowa odnotowała, że bezbożni ludzie i liberalne gazety atakowały gietrzwałdzkiego proboszcza, „że się on tego szwindlu i kuglarstwa nauczył w Marpingen, gdzie był kapelanem". Była to insynuacja.

„Przede wszystkim prasa niemiecka, zwłaszcza państwowe dzienniki polityczne – pisał bp Jan Obłąk – urabiały wrogą opinię i od razu wystąpiły z zarzutami pod adresem wizjonerek, proboszcza gietrzwałdzkiego i w ogóle duchowieństwa katolickiego. Ostro krytykowały wiarę w objawienia, sprzeciwiającą się zdrowemu rozsądkowi i będącą smutnym znakiem łatwowierności wielu katolików. Wydarzenia w Gietrzwałdzie określały jako zabobon, oszustwo, skandal, obłudę, obłęd religijny, haniebny humbug i knowania ultramontańskiego duchowieństwa z polskim zabarwieniem nacjonalistycznym" (J. Obłąk, „Objawienia Matki Boskiej w Gietrzwałdzie, ich treść i autentyczność w opinii współczesnych").

Władze niemieckie węszyły wręcz polski spisek, działalność politycznych agitatorów, choć zgromadzenia wiernych w czasie trwania objawień nie manifestowały najmniejszych akcentów politycznych. Samo ożywienie kultu maryjnego powodowało niezadowolenie urzędników w Prusach Wschodnich: ks. Weichsel był wzywany na przesłuchania, a nawet został na kilka dni aresztowany. W książce o objawieniach w Gietrzwałdzie Andrzej Samulowski i Stanisław Roman mogli jedynie – ze względu na niemiecką cenzurę – napisać, że ks. Weichsel bardzo się smucił. Wówczas „powiedziała Najśw. Marya Panna, że jeszcze gorsze czasy i prześladowania przyjdą, lecz to i Xiędzu, i innym na dobre wyjdzie".

Objawienia w Gietrzwałdzie wydarzyły się podczas rozpoczętej w 1871 r. polityki kulturkampfu. Ta „walka o kulturę" była walką z Kościołem katolickim, z wyraźnym antypolskim ostrzem. Kanclerz Bismarck przyznawał, że jedną z przyczyn kulturkampfu był zamiar zduszenia polskiej agitacji prowadzonej przez księży na terenie zaboru pruskiego. Ustawy niemieckiego parlamentu wprowadziły karę więzienia za wygłaszanie poglądów zagrażających porządkowi publicznemu w miejscach kultu religijnego, co dawało możliwość karania księży Polaków. Do państwa należały mianowanie i zwalnianie duchownych (musieli być kształceni



Ksiądz Augustyn Weichsel
FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 93b77a6ac4

na państwowych uniwersyteckich wydziałach teologicznych), co także umożliwiało represje wobec polskich księży. W 1873 r. władze Prus Wschodnich zlikwidowały język polski w szkołach (pozostawiono możliwość używania go – jedynie jako języka pomocniczego – tylko podczas lekcji religii).



Kościół w Gietrzwałdzie
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Badanie wizjonerek

Ksiądz Weichsel (albo – według drugiej relacji – inny duchowny), pragnąc upewnić się o prawdziwości objawień, wysłał liść z klonu i kawałek zawieszonego na nim płótna do belgijskiej mistyczki i stygmatyczki. „Gdy nadesłany liść zbliżano do Ludwiki Lateau podczas jej zachwycenia [ekstazy – przyp. red.], w piątek dnia 3 sierpnia 1877 r., ona się bardzo radowała i podnosiła do niego, gdy podawano jej kawałek onego płótna, ona z wysileniem i radością zrywała się do podawanego płótna". Lateau reagowała tak jedynie na „święte rzeczy".

Poinformowany o wydarzeniach w Gietrzwałdzie bp Filip Krementz wydelegował dwóch księży do zbadania sprawy. Poinformowali go, że są przekonani o prawdziwości objawień. „Dzieci nie chcą oszukać, ich ogłoszenia w ogóle są prawdziwe, a zapominanie nadanych im pytań, niektóre różnice w odpowiedziach, które mówią, że otrzymały, przyjdą niezawodnie tyko na rachunek ich słabego pojęcia i ich słabych zdolności [...]. Ze wszystkich poszukiwań powzięliśmy to przekonanie, że objawienia w Gietrzwałdzie muszą mieć realną podstawę. Prostota dzieci, ich jednostajne zachowanie od początku objawień aż dotąd, ich dobra sława, ich dziecinne obyczajne postępowanie, ich bezinteresowność nieszukająca żadnego zysku – wyklucza wszystką rychłą wątpliwość względem ich miłości prawdy i ich rzetelności". Również ks. Franz Hipler, teolog i profesor Liceum Hosianum w Braunsbergu (Braniewo), był przekonany o autentyczności relacji wizjonerek.



Pocztówka ukazująca objawienie Matki Boskiej w Gietrzwałdzie
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Justyna Szafrańska i Barbara Samulowska były badane przez trzech lekarzy pod kątem zdrowia psychicznego. „W osobliwym cielesnym usposobieniu i omamieniu umysłu rzeczone zjawienia nie mogły mieć swojej przyczyny" – orzeczono. Dziewczynki podczas wpatrywania się w postać Matki Boskiej nie reagowały na bodźce fizyczne, choć jeden z lekarzy stwierdził, że po zakropieniu atropiny do oczu źrenice reagują – rozszerzają się. Dziewczynki nie były też w zmowie. Przed widzeniami oddzielano je zasłonami tak, że jedna nie widziała drugiej. Mimo to w tym samym momencie kłaniały się, ujrzawszy Madonnę.

Źródełko i figura

8 września 1877 r., w dniu Narodzenia Matki Boskiej, miały odbyć się ostatnie objawienia, toteż przybyło wówczas do Gietrzwałdu aż 50 tys. pielgrzymów. Madonna pobłogosławiła źródełko na prośbę ks. Weichsela, żądała jednak, by przy zdroju stali tylko cztery wizjonerki i księża. Samulowski i Roman byli początkowo zdziwieni, dlaczego tysiące ludzi miały pozostawać z dala w tej tak wielkiej chwili, ale szybko zrozumieli. „Gdyby bowiem kilkunastotysięczny lud był wyruszył do zdroju na polu, policya mogłaby to uważać za zgromadzenie pod gołym niebem, które bez pozwolenia policyjnego odbyć się nie może".

Już w latach 1877–1878 miało się dokonać kilkanaście uzdrowień dzięki wodzie ze źródełka i nasączonemu nią płótnu. Jednak przypadki te, m.in. odzyskanie wzroku, uleczenie ze skrofułów (gruźlica węzłów chłonnych), odzyskanie mowy i słuchu przez głuchoniemą dziewczynkę, nie zostały zbadane przez biskupią komisję kościelną, w związku z czym nie doczekały się oficjalnego uznania.

W połowie września 1877 r. przywieziono z Monachium figurę Matki Boskiej. Zobaczywszy posąg, dziewczynki zaczęły płakać, gdyż – jak mówiły – Madonna nie była tak piękna, jak ją widziały. Ale Matka Boska pocieszyła je, mówiąc: „Nie smućcie się, figura jest dobra". Poświęcenie kaplicy z figurą Madonny nastąpiło 16 września 1877, w obchodzone w diecezji warmińskiej święto Narodzenia Matki Boskiej. Była to zarazem uroczystość Imienia Maryi, ustanowionego na pamiątkę wydarzenia związanego z obroną Wiednia w 1683 r., „pomnik niezwykłej, zgodnej jedności dwóch chrześcijańskich narodów przeciw wrogom chrześcijańskiego imienia". W beznadziejnej – zdawałoby się – sytuacji wiedeńczycy wzywali imienia Matki Boskiej. „I oto! Modlitwa niespodziewanie prędko została wysłuchana. Stróż z wieży głosił zbliżanie się odsieczy". A Jan III Sobieski, zanim ruszył do zwycięskiej bitwy z Turkami, powie-

eprasa.pl 93b77a6ac4

rzył Matce Boskiej siebie i swoje wojsko. Tamtego dnia do Gietrzwałdu przybyło 15 tys. pielgrzymów, Polaków i Niemców „w braterskiej miłości" złączonych. Kazanie po polsku wygłosił ks. Rysiewski, niemieckie – ks. Karau. Wówczas też skończyły się objawienia. A ostatnimi słowami Matki Boskiej były: „Mówcie gorliwie Różaniec".

Bezpośrednim skutkiem objawień w Gietrzwałdzie było właśnie upowszechnienie się zwyczaju grupowego odmawiania Różańca, a także zmniejszenie się plagi pijaństwa. Natomiast zetknięcie się w Gietrzwałdzie Polaków ze wszystkich zaborów z polskimi Warmiakami uświadomiło tym pierwszym, że w Prusach Wschodnich żyją dawni potomkowie kolonistów z Mazowsza, którzy mimo germanizacji zachowali swój język. Zofia Laurysiewiczowa była zawstydzona, że choć zna wszystkie ziemie polskie, to tak mało wiedziała „o tych kresach naszych na północy". Sądziła, że są one całkiem zniemczone, tymczasem „tam duch nasz gości". Polscy Warmiacy mogli natomiast zrozumieć i odczuć, że



Barbara Samulowska, zakonnica szarytka

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SIOSTRY SZARYTKI

są częścią narodu polskiego. „Dźwięk »Gietrzwałd« elektryzował całą pociętą kordonami Polskę i jednoczył pokawałkowany przemocą naród wokół wielkiego wspólnego przeżycia" – pisał Stefan Sulima w 70-lecie objawień w broszurze „Gietrzwałd. Zapomniane sanktuarium na Ziemiach Odzyskanych".

Rok po objawieniach Andrzej Samulowski otworzył, z pomocą Stanisława Romana, redaktora „Pielgrzyma" ukazującego się w Pelplinie, pierwszą na Warmii księgarnię polską. Odegrała ona istotną rolę w powstrzymywaniu germanizacji polskich Warmiaków. A do trwania przy warmińskiej odmianie języka polskiego zachęcały same objawienia: wszak Matka Boska rozmawiała z dziewczynkami i dwoma dorosłymi kobietami w tym właśnie języku. Była to „nobilitacja języka polskiego na gietrzwałdzkim klonie" – podkreślał Sulima.

We wrześniu 1977 r., w 100-lecie objawień, do Gietrzwałdu przybyło 150 tys. pielgrzymów. Wówczas też biskup warmiński Józef Drzazga zatwierdził kult objawień jako niesprzeciwiających się wierze i moralności katolickiej, opartych na wiarygodnych faktach, których charakteru nadprzyrodzonego nie da się wykluczyć.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Cytaty odnoszące się do przebiegu objawień pochodzą z książek wydanych tuż po nich: F. Hipler „Objawienia Matki Boskiej w Gietrzwałdzie dla ludu katolickiego podług urzędowych dokumentów spisane" oraz „Objawienia Najświętszej Maryi Panny w Gietrzwałdzie ze źródeł autentycznych na miejscu i z różnych pism zebrali S. i R." (Andrzej Samulowski i Stanisław Roman).

REKLAMA

ZAINWESTUJ W WOLNOŚĆ SŁOWA
– zostań akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

Do 30 maja 2025 r. trwa oferta publiczna akcji serii „D" Do Rzeczy S.A. – konserwatywno-liberalnego wydawcy tygodnika „Do Rzeczy" i miesięcznika „Historia Do Rzeczy". To szansa, by wesprzeć niezależne media i ich dalszy rozwój.

INWESTUJĄC CO NAJMNIEJ 1100 ZŁ,
zyskasz nie tylko akcje, lecz także roczną prenumeratę DO RZECZY+ o wartości cennikowej 329,80 zł – w tym dostęp do e-wydań, ekskluzywnych treści, materiałów wideo i e-booków.

DO RZECZY+



Zapisz się już teraz przez platformę: www.platforma.dminc.pl
Więcej informacji: www.dorzeczy.pl/gielda lub relacje-inwestorskie@dorzeczy.pl

DOŁĄCZ DO INWESTORÓW, KTÓRZY STAWIAJĄ NA WOLNOŚĆ SŁOWA I PRZYSZŁOŚĆ NOWOCZESNYCH MEDIÓW.

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

eprasa.pl 93b77a6ac4



Uczestnicy ekspedycji Shackletona na Wyspie Słoniowej FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FRANK HURLEY

XX w. / Lodowe piekło

Polarna epopeja Shackletona



Jakub Ostromęcki

Członkowie jego ekspedycji przetrwali prawie rok na lodach i skałach, za dom mając jedynie szalupy. Ernest Shackleton do historii przeszedł jako mistrz sztuki przetrwania

Wśród polarników Shackleton został zapamiętany nie za to, co odkrył, ale za to, w jaki sposób wychodził z sytuacji arcytrudnych. Trzy wyprawy, którymi dowodził lub w których brał udział, nie zrealizowały swoich celów. W latach 1901–1903 próbował wraz z Robertem Scottem zdobyć biegun południowy. W 1908 r. podjął się tego ponownie, już jako kierownik wyprawy. Choć nie potrafił jeździć ani biegać na nartach, to dotarł z towarzyszami najdalej na południe ze wszystkich znanych odkrywców. W oczy zaglądała im już jednak śmierć z głodu, musieli więc zjeść swoje biedne kuce i zawrócić.

W 1911 r. było już po polarnym wyścigu. Roald Amundsen i zaraz po nim Scott dotarli na biegun, z tym że ten drugi, dużo gorzej wyekwipowany, wyprawę przypłacił życiem. Niezniechęcony tym Shackleton przed wybuchem Wielkiej Wojny zaczął marzyć o trawersie Antarktydy, czyli o przemierzeniu owalnego kontynentu wzdłuż jego umownej „średnicy". Poprzednie wyprawy zawracały bowiem, osiągnąwszy biegun, by odpocząć i posilić się w zbudowanych po drodze obozach.

Morskie pułapki

Shackleton był już wówczas postacią znaną, więc znalezienie bogatych sponsorów wyprawy nie stanowiło większych trudności. Lwią część wydatków stanowił oczywiście statek – żaglowo-parowy „Endurance". Na początku XX w. większość stalowych kadłubów niezbyt nadawała się do walki z lodem, ponieważ ich konstrukcje były wciąż zbyt mało sprężyste. „Endurance" zbudowano natomiast z pieczołowicie dobranego norweskiego drewna.

Z podobnym pietyzmem Shackleton dobrał sobie ludzi – w czasie trwającej półtora roku wyprawy, gdzie ludzkie ciała i charaktery wystawiane były na ciężkie próby, nie wybuchł zbiorowy bunt, a dowódca musiał obsztorcować tylko jednego bosmana i kilku wilków morskich. Nie doszło też do bójek, a najbardziej szukający jej majtkowie pożegnali się z ekipą już w Buenos Aires. Fizyk Reginald James zapamiętał, że podczas rekrutacji kapitana interesowało głównie to, czy potrafi śpiewać, a raczej „trochę powrzeszczeć z chłopakami". Shackleton nie musiał się obawiać o własne zdolności przywódcze. „Jego rozkazów słuchano nie dlatego, że były rozkazami, ale z tego względu, że generalnie uważano je za słuszne" – pisała Caroline Alexander, autorka jednej z prac opisujących wyprawę. Socjologowie nazywają takie zjawisko internalizacją i jest ono marzeniem każdego przywódcy.

Skład załogi uzupełniało kilkadziesiąt psów zaprzęgowych. Nie były to jednak znane nam dobrze husky czy malamuty, ale rosłe mieszańce przypominające owczarki podhalańskie lub berneńskie. Do tego doszły dwie świnie – jedyne

eprasa.pl 93b77a6ac4



RYS. MARZENA WŁOCZYK/ COMMONS WIKIMEDIA / FINETOOTH

istoty, które planowo miały nie doczekać końca wyprawy – oraz kot okrętowego cieśli.

Sir Ernest już na samym początku napotkał na nieprzewidziany problem. Był rok 1914. Jego statek wyruszył z Wielkiej Brytanii akurat w momencie, gdy Korona wypowiadała wojnę państwom centralnym. Jako przykładny poddany był gotów zawrócić i walczyć. Będąc jeszcze na brytyjskich wodach, otrzymał jednak wiadomość od samego lorda admiralicji Winstona Churchilla: „Płyńcie".

Ku Antarktydzie wyruszyły dwie ekspedycje. Jedną dowodził osobiście Shackleton. Śmiałkowie zrobili postój w Buenos Aires, a 5 grudnia 1914 r. wypłynęli z Georgii Południowej, ostatniego przystanku przed Antarktydą. Na Antarktydę mieli dotrzeć przez Morze Weddella, założyć na brzegu obóz i ruszyć ku biegunowi. Równolegle druga ekspedycja wyruszyła z Australii ku Morzu Rossa, by wylądować po drugiej stronie lodowego kontynentu. Jej zadaniem było budowanie obozów, z których miał korzystać Shackleton po przejściu przez biegun.

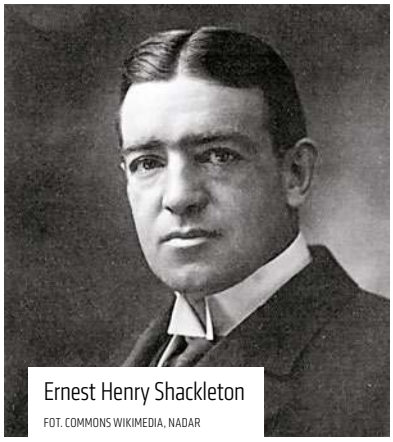
Trudno opowiedzieć historię obu ekspedycji bez wyjaśnienia kilku zagadnień z geografii, a szczególnie oceanografii polarnej. Na półkuli południowej pory roku są oczywiście odwrócone. W strefie, gdzie przebywał Shackleton, temperatury nie były aż tak morderczo niskie jak w środku kontynentu. W zimie spadały „zaledwie" do –35 st. C, a w lecie na wyspach na Morzu Weddella dochodziły nawet do 1 st. C. Na Antarktydzie latem możemy cieszyć się przez cały dzień światłem słonecznym, z kolei zimą na kilka miesięcy jesteśmy pogrążeni w mroku, za źródło światła mając jedynie gwiazdy lub Księżyc. Na Wyspie Słoniowej, która odegra jeszcze w tej historii niepoślednią rolę, zjawisko to nie jest tak ekstremalne – w lecie i zimie przez kilka godzin w ciągu doby panuje półmrok.

Płynąc przez Atlantyk ku południu, po minięciu mniej więcej 60. równoleżnika, wpływamy w strefę paku lodowego. Jest to lód przypominający krę, pośród którego dryfują często góry lodowe. Latem solidny statek powinien bez problemu przedrzeć się przez ten obszar, natomiast zimą pak gęstnieje i kry zderzają się za sobą, tworząc majestatyczne spiętrzenia i seraki. Pak staje się wtedy niemal jednolitą pokrywą na olbrzymim obszarze. Biada statkowi, który w tej lodowej masie utknie. Napór tysięcy ton lodu zgniecie w końcu nawet najbardziej wytrzymałą konstrukcję.

Prądy morskie na Morzu Weddella powodują, że ta rozległa masa lodu kręci się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Przesuwający się ku północy pak w końcu zacznie z powrotem pękać – czy to z powodu nadejścia lata, czy z powodu szerokości geograficznej – oddając wtedy morzu uwięziony obiekt (lub to, co z niego zostało). Trudno jest w takim miejscu lądować, więc załogi polarników musiały szukać obszarów, gdzie prześwitywał stały ląd.

Na południe!

Ekspedycja na Morzu Rossa rychło popadła w poważne tarapaty. Statek wysadził co prawda na brzegu załogę, ale utknął w dryfującym paku lodowym na wiele miesięcy, z większością zapasów. Choć w głębi lądu ekipa zdołała nawet założyć jakąś namiastkę obozu dla Shackletona, to jednak musiała myśleć przede wszystkim o własnym przetrwaniu.



Ernest Henry Shackleton

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NADAR

Ratunkiem okazała się stara chatka zbudowana przez poprzednie ekipy polarników w pobliżu wybrzeża. Ludzie ci zostali podjęci z tego schroniska dopiero w styczniu 1917 r. Oznacza to, że spędzili wśród skał i lodów ponad dwa lata (tracąc w czasie wędrówek kilka osób). Na losy tej ekipy Shackleton nie mógł mieć żadnego wpływu. Być może dobrze, że nie dotarł wtedy do bieguna, ponieważ zastałby obozy etapowe zaopatrzone dużo gorzej, niż wymagała tego sytuacja.

„Dawno nie było tak chłodnego lata. Lód sięga na północ bardziej niż kiedykolwiek" – przestrzegali Shackletona norwescy wielorybnicy mieszkający na stałe na Georgii Południowej. Sir Ernest uzupełnił jednak zapasy i pełen optymizmu ruszył na południe. Stało się jednak dokładnie tak, jak ponuro wieszczyli Norwegowie. „Endurance" napotkał pak lodowy szybko po wypłynięciu z górskiej wyspy. Musiał zatem wcześnie zacząć manewrować między co bardziej niebezpiecznymi kawałkami kry, a to z kolei oznaczało większe zużycie węgla. 18 stycznia 1915 r. pak zgęstniał tak bardzo, że unieruchomił okręt. Jak okiem sięgnąć, kra wszędzie zbita była w jedną taflę. Załoga nie miała jednak jeszcze powodów do zmartwień – „Endurance" radził sobie z naporem lodu, a pak przesuwał się przecież powoli w stronę lądu i Shackleton stwierdził, że uda

eprasa.pl 93b77a6ac4

się jeszcze znaleźć szczelinę w lodzie, która pozwoli dopłynąć do brzegu Antarktydy.

Minęło jednak antarktyczne lato, a „Endurance" minął punkt lądowania o 100 km. Pak nie zamierzał wypuścić statku, co oznaczało, że rozładunek i transport zapasów po nierównym, pooranym serakami terenie, i to przy takich odległościach, nie wchodził w grę. Shackleton zdał sobie wtedy sprawę, że lodowe więzienie trzeba będzie przeczekać do następnego lata, wrócić po zapasy i wznowić wyprawę – jeśli fundusze pozwolą. Na razie pozostawał dryf wraz z pakiem ku zachodowi, a potem ku północy. Stan ten miał trwać aż 10 miesięcy, z czego spora część w całkowitej ciemności!

Marynarze na unieruchomionym statku nie mieli zbyt wiele do roboty, a bezczynność sprzyja przecież pojawianiu się bardzo głupich pomysłów. Pamiętajmy, że majtkowie nie planowali dłuższego pobytu wśród lodów, bo według planu po lądowaniu polarników mieli zawrócić. Shackleton doskonale o tym wiedział. Aby zapobiec awanturom, buntom i chcąc uniknąć rozleniwienia, zapędził załogę do regularnych zajęć, jak choćby polowanie na foki (przynajmniej do momentu, gdy pak poprzecinany był jeszcze naturalnymi kanałami). Shackleton przezornie nie chciał naruszać żelaznych racji żywnościowych przeznaczonych pierwotnie jedynie dla ekipy lądującej. Była to słuszna decyzja. Gdy jedni polowali, inni rąbali lód wokół statku, jeżeli robił się zbyt gęsty. Regularnie urządzano grę w piłkę i wyścigi psich zaprzęgów, jeśli tylko pozwalało na to jeszcze światło polarnego dnia. Cały czas ktoś pełnił wachtę – a nuż lód gdzieś pęknie i będzie można opuścić polarne więzienie. Na to jednak nadzieje słabły z każdym dniem.

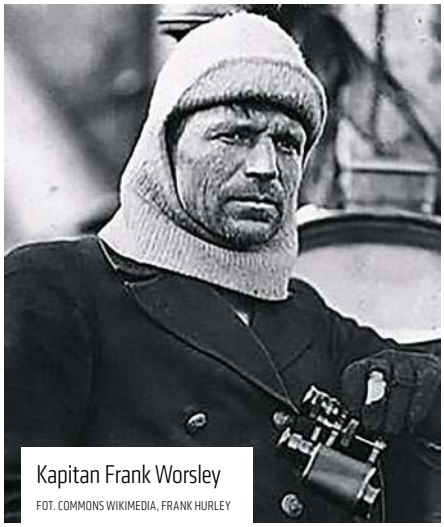
Pożarty przez lód

Zimą 1915 r. „Endurance" zaczął się trząść i przechylać. Gdy coś uderzyło w kil, pierwszą myślą marynarzy było – „wieloryb!". Potem jednak pękł ster ściśnięty tysiącami ton lodu. 24 października 1915 r. solidna konstrukcja w końcu nie wytrzymała i statek zaczął nabierać lodowatej wody. Załoga uruchomiła



Statek „Endurance" pod żaglami

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FRANK_HURLEY, STATE LIBRARY OF NEW SOUTH WALES



Kapitan Frank Worsley

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FRANK HURLEY

pompy, ale na ratunek nie było już szans. Chodziło tylko o to, by zyskać kilka dni, żeby cały najpotrzebniejszy ekwipunek przenieść na lód. Tam, gdzie pokrywa była wystarczająco gruba, planowano założyć obozowisko składające się z igloo, namiotów i prowizorycznych magazynów z desek. Na szczęście załoga była całkiem nieźle wyposażona w sprzęt do przetrwania – kuchnię działającą nawet na foczy tłuszcz czy zapasowe rękawice i skarpety dla każdego. W rezerwie pozostawały też turystyczne kuchenki Primus. Wodę pozyskiwano ze śniegu, a przed szkorbutem chroniło focze sadło.

21 listopada cała ekipa z przerażeniem patrzyła, jak „Endurance", przez ostatnie dni bezlitośnie zgniatany przez masy lodu, został w końcu pożarty przez nie i zapadł się w głębiny. Shackleton dał rozkaz do wymarszu na północ, korzystając z nadchodzącego lata. Okazało się jednak, że psie zaprzęgi nie radzą sobie w serakowatym terenie. Wielka sfora potrzebowała też sporo pożywienia potrzebnego ludziom. Dowódca kazał więc zwierzęta zastrzelić, łącznie z trzema szczeniakami, które urodziły się w czasie rejsu, i kotem. Nawet dla tak twardych ludzi traktujących zwierzęta z większym dystansem niż my była to decyzja niełatwa. Niektórzy z nich zżyli się przez te miesiące ze swoimi podopiecznymi. Najgorzej zniósł to ponury cieśla, który do końca życia nie wybaczył kapitanowi zabicia swojego ukochanego kota.

Ludziom zaczął zaglądać w oczy prawdziwy strach. W grudniu, korzystając z obfitości światła słonecznego, Shackleton dwa razy podrywał swój zespół do marszu i dwa razy przygrywał. Pojawiło się wówczas zarzewie buntu. Cieśla stwierdził, że po zatonięciu statku nie wiążą go rozkazy kapitana, na co Shackleton wyciągnął zza pazuchy jego kontrakt, który mówił zgoła co innego. Bunt ugaszono, ale gorsze były lód i seraki. Nie dało się przez nie ciągnąć ciężkich sań, na których tkwiły szalupy ratunkowe czekające na zwodowanie, gdy kra zacznie pękać. Pozostał więc lodowy dryf ku północy. Było lato, a pak nie chciał pękać.

Dopiero w marcu, gdy byli już daleko na północy, w krze zaczęły się pokazywać wąskie kanały. Nie można już było iść, płynąć jednak też nie dało się zbyt długo, załoga tkwiła więc przy szalupach i czekała w bardzo niebezpiecznych warunkach, ponieważ lód mógł pęknąć pod nimi w każdej chwili – kilku ludzi niemal przypłaciło to oczekiwanie życiem. W końcu jednak, gdy lód zaczął ustępować miejsca wodzie, ruszyli. Dopiero chwyciwszy za wiosła, odkryli, jak bardzo są słabi. Po zatonięciu „Endurance" oszczędzali bowiem jedzenie na czarną godzinę. Przemoczone i zasolone ubrania natychmiast zaczęły obcierać ciała, pojawiły się bolące i krwawiące odciski, rany, ropnie, czyraki, zajady. O gotowaniu nie było mowy, trzeba było ruszyć żelazne racje żywnościowe.

Wyspa Słoniowa

Przez tydzień załoga żeglowała ku północy, walcząc z wiatrem i bałwanami, starając się dotrzeć do jednej z wysp leżących na północ od krańca Półwyspu

eprasa.pl 93b77a6ac4



„Endurance" tonie
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ROYAL GEOGRAPHICAL SOCIETY

Antarktycznego. Ostatecznie 15 kwietnia morze rzuciło ich na Wyspę Słoniową. Oszalali z głodu i pragnienia, mokrzy, zziębnięci, poranieni dotknęli twardego gruntu po raz pierwszy od 5 grudnia 1914 r., czyli od 16 miesięcy. Wyspa była oczywiście niegościnna, skalisto-lodowa, ale dopływały do niej foki i pingwiny. Eksplozja szczęścia sprawiła, że pękły okowy wiktoriańskiej wstrzemięźliwości i rezerwy. Jeden napychał kamieniami kieszenie, drugi rzucił się z toporem na foki, reszta tarzała się w żwirze.

Po dwóch dniach udało się na wyspie znaleźć nieco lepszą „przystań". Domem załogi stały się dwie szalupy odwrócone do góry kilem i oparte na stosach głazów i kamieni uszczelnionych foczą krwią, pingwinimi piórami i starymi szmatami. Ktoś zbudował w nim nawet iluminator ze starej obudowy chronometru, a także komin (ze starej puszki po konserwach). W środku dało się nawet gotować – oczywiście na foczym tłuszczu. Shackleton po raz trzeci w trakcie tej wyprawy musiał huknąć na podwładnych. Marynarze



Pożegnanie szalupy odpływającej z Wyspy Słoniowej FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FRANK HURLEY

wciąż nienawykli bowiem do warunków polarnych i rozrzucali byle gdzie swoje rękawice i kurtki. Część z nich natychmiast porwał wiatr, zmniejszając tym samym ich szanse na przeżycie.

Co się jednak stało z trzecią szalupą? Shackleton wiedział, że nie można tu zostać – nie ma jak wezwać pomocy, a w pobliżu nie pływali nawet wielorybnicy. Z kilkoma marynarzami ruszył więc najlepszą z szalup ku Georgii Południowej. Rejs ten przeszedł do annałów żeglarstwa ekstremalnego. Zbliżała się zima, już druga dla członków tej wyprawy, wiały potężne wiatry, pogoda była więcej niż sztormowa, a „grupa ratownicza" wybierała się w podróż w łupince z jednym improwizowanym masztem, przykrytą jedynie resztkami namiotów, co miało dać ochronę odpoczywającym po wachcie i pozwolić nawigatorowi nanieść pozycję na mapę. Nawiasem mówiąc, nawigowanie nią było tak samo koszmarne jak żeglowanie. Niebo skryte za chmurami i ogromne fale nie pozwalały na precyzyjne wyznaczenie sekstantem szerokości geograficznej; w miarę dokładnie można było jednie określić długość za pomocą chronometru. Pozostawała więc tzw. nawigacja zliczeniowa, na podstawie prędkości szalupy i kursu z poprawką na dryf i znos.

Łódź kilkukrotnie pokryła się lodem, co zwiększyło jej masę. Trzeba było więc zrąbywać lód siekierą, co niemal skończyło się śmiercią jednego z żeglarzy. Na domiar złego pękła beczka ze słodką wodą i przez ostatnie dwa dani żeglarze nic nie pili. Znów, tak jak przy dryfie ku Wyspie Słoniowej, ich ciała pokryły się ranami i wrzodami. Jednak dali radę i 10 maja 1916 r., przypominając żywe trupy, wyszli na brzeg na południowym, niestety niezamieszkanym wybrzeżu zbawczej wyspy. Czekała ich teraz przeprawa lądem do stacji wielorybniczej, skąd wypłynęli półtora roku temu. Była to osobna epopeja, podczas której na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów musieli pokonać trzy kilkusetmetrowe granie i zbocza pokryte lodowcem. Shackleton i jego towarzysze przetrwali dzięki ostatniej kuchence Primus, która wystarczyła akurat na czas przejścia przez wyspę. Osłabieni, zarośnięci i obdarci 20 maja stanęli w końcu przed znajomym szefem osady wielorybniczej, który początkowo wziął ich za jakichś pijaków ze statku cumującego w porcie.

Ekstremalna amputacja

Po nabraniu sił Shackleton natychmiast zorganizował akcję ratowniczą. Trzy kolejne okręty pod jego dowództwem docierały na odległość ok. 100 km od Wyspy Słoniowej, ale nie mogły płynąć dalej z powodu paku – właśnie zaczęła się przeklęta zima. Mijały miesiące. Na Wyspie Słoniowej kończyły się zapasy, było coraz mniej zwierzyny łownej, a jakby tego było mało, to jeszcze jeden z marynarzy dostał tzw. stopy okopowej, co skończyło się gangreną palców. Chirurg, mając do znieczulenia resztkę chloroformu i gotując skalpel i piłę w puszce po gulaszu, niemal w ciemności plażowego schronu zdołał jednak amputować chore palce. Marynarz przeżył.

Pod koniec zimy, 30 sierpnia 1916 r.,



Szalupa na ekspozycji w Dulwich College
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DULWICH COLLEGE

popadający już w apatię rozbitkowie zauważyli w końcu statek Shackletona. Radość z jego przybycia była tak wielka, że w ciągu kilku sekund wybiegający na plażę marynarze, kopiąc garnki i gubiąc buty, zdewastowali budowaną z taką pieczołowitością ścianę schronu. W ten oto sposób Shackleton przeszedł do historii nie jako zdobywca, lecz mistrz sztuki przetrwania, który dostarczył do domów wszystkich swoich podwładnych; choć jednego bez palców.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93b77a6ac4

XX w. / Listy antykomunisty

Rosjanie Iosifa Antonowicza



Józef Mackiewicz z żoną Barbarą Toporską FOT. MUZEUM POLSKIE W RAPPERSWILU



Tomasz Kornaś

Londyńska Kontra opublikowała „rosyjski” tom korespondencji Józefa Mackiewicza. Znajdziemy w nim arcyciekawe rozmowy słynnego polskiego pisarza z intelektualistami, którzy przed bolszewizmem schronili się na Zachodzie

Cykl dzieł autora „Lewej wolnej”, wybitnego pisarza, bezkompromisowego wroga komunizmu we wszystkich jego odmianach, ukazuje się od ponad 30 lat, zainaugurowany w 1993 r. edycją powieści „Droga donikąd”. Od 2001 r. w ramach serii wydawca publikuje m.in. artykuły, opowiadania, listy pisarza (i do pisarza) wcześniej albo nieznane, albo praktycz-

eprasa.pl 93b77a6ac4



Borys Kowerda FOT. NAC

nie niedostępne w obiegu czytelniczym. Tom najnowszy – już 36. – przynosi korespondencję pisarza z białą emigracją rosyjską (nie licząc listów Ryszarda Wragi i paru frapujących aneksów). Jest to zatem tom zupełnie inny od poprzednich, wcześniej wydanych tomów korespondencji (omawiałem je na tych łamach w numerach 6/2020 i 4/2023).

Józef Mackiewicz zdecydowanie rozdzielał dwa byty. Czym innym, całkowicie czym innym, była dla niego Rosja, a czym innym Związek Sowiecki. Do przedbolszewickiej Rosji miał sporo uznania czy nawet sentymentu. Wielokrotnie w swojej twórczości i korespondencji powracał do tego tematu, dowodząc, że traktowanie państwa stworzonego przez bolszewików jako innej formy bytu państwa rosyjskiego jest zupełnie niezgodne z rzeczywistością. Dawał liczne przykłady wolności przysługujących poddanym cara, będących nie do pomyślenia w państwie bolszewickim. W „Zwycięstwie prowokacji" pisał np., że o ile życie polityczne za caratu podlegało ograniczeniom ze strony władz, o tyle zasadą było nieingerowanie władzy w życie prywatne człowieka. Pod Sowietami natomiast daleko posunięta ingerencja władz w życie prywatne ludzi była normą. Wychodząc z takiego założenia, Mackiewicz konsekwentnie w białych Rosjanach, w rosyjskich antybolszewikach widział sprzymierzeńców w zbożnym dziele przeciwstawiania się komunizmowi.

Pisarz – urodzony w 1902 r. i przez kilkanaście lat będący poddanym cara Mikołaja II – zdążył zapamiętać relatywny (szczególnie w porównaniu z bolszewizmem) liberalizm ustroju Rosji sprzed rewolucji. Nie on jeden oczywiście to zauważał. Wacław Lednicki w „Pamiętnikach" pisał, że „państwo rosyjskie było jednak państwem praworządnym pomimo wszystko", a chyba najtrafniejsze zestawienie Rosji carskiej i Związku Sowieckiego wyszło spod pióra Adama Pragiera, który w swoim monumentalnym dziele „Czas przeszły dokonany" (zachwycał się nim Mackiewicz) stwierdzał, że „Rosja [carska] była państwem policyjnym, lecz totalizmu jeszcze podówczas nie wymyślono. A nawet gdyby go ktoś wymyślił, nie umiano by go stosować".

Swoją publicystykę Mackiewicz okrasił faktami obrazującymi straszliwy zamordyzm komunizmu w porównaniu z caratem. Stąd też absolutnie logiczna była jego postawa życzliwości i serdeczności w stosunku do białej rosyjskiej emigracji widzącej w państwie stworzonym przez Lenina i Trockiego ucieleśnienie wszelkiego zła. Jako że pisarz bardzo dobrze i swobodnie władał językiem Puszkina, mógł bezproblemowo kontaktować się z Białorosjanami. Inna rzecz, że niektórzy z nich – w międzywojniu mieszkający w Polsce – całkiem dobrze radzili sobie z językiem Mackiewicza i do autora „Karierowicza" pisali po polsku. Często z kolei do tych, którzy nawet z lekkim jakby wstydem tłumaczyli się, że nie znają polskiego na tyle, aby swobodnie prowadzić korespondencję, pisał Mackiewicz po rosyjsku i czynił językowe ukłony, podpisując się z rosyjska (z otczestwem) jako Iosif (Antonowicz) Mackiewicz.

W mniejszości

Tom otwiera zbiór korespondencji (najobszerniejszy z wszystkich) z Sergiuszem Woyciechowskim, działaczem politycznym, poetą, publicystą mieszkającym w międzywojniu w Warszawie i już wówczas sporo publikującym. Był on jednym z rosyjskich korespondentów Mackiewicza operujących naszym językiem (zwracał się do Józefa: „Pisać może Pan do mnie po polsku") i mocno zainteresowanym Polską i jej kulturą. Wspominał, że abonuje i paryską „Kulturę", i londyńskie „Wiadomości", aczkolwiek w jednym z listów z roku 1975 napisał, że jednak „Kultury" już nie prenumeruje, co – wolno się domyślać – mogło mieć związek z linią polityczną miesięcznika stawiającego nie na antykomunizm, lecz na działania na rzecz liberalizacji ustroju. Tak czy owak Polską, Polakami Woyciechowski się interesował, czego świadectwem i dowodem jest żywa, obszerna i obustronnie życzliwa korespondencja z Mackiewiczem.

Niezwykle ciekawe było polityczno-ideowe credo, które zawarł w liście z 1967 r. pisanym do Ryszarda Wragi, a które w sekcji przypisów przywołał wydawca tomu. Woyciechowski pisał w nim: „Jestem poniekąd odosobniony wśród prawicowej emigracji rosyjskiej… również w pewnych poglądach, dotyczących przyszłości. Bronię bowiem myśli tak niepopularnej wśród prawicowych Rosjan, jak konieczność oparcia ustroju przyszłej Rosji na uchwałach Konstytuanty oraz bezwzględne równouprawnienie obywateli w dziedzinie wyznaniowej, językowej, kulturalnej i narodowościowej, co się wielu wydaje herezją i zdradą zasady automatycznego wskrzeszenia monarchii, panującej nad jednolicie rosyjskim imperium".

Mackiewicz – podobnie jak jego korespondencyjny rozmówca – również był wśród rodaków w mniejszości. W wielu miejscach zaznaczał i podkreślał, że jest wrogiem komunizmu, wrogiem konsekwentnym i nieprzejednanym, ale zarazem ubolewał, że znaczna część Polaków, w tym oczywiście również tych z pojałtańskiej emigracji, jest bardziej nastawiona antyrosyjsko niż antykomunistycznie. W liście do Woyciechowskiego tę myśl wyraził wprost: „Ja jestem: ANTYKOMUNISTA. A moi rodacy w ogromnej przewadze: ANTYROSJANIE".

Obaj zatem, z różnych miejsc przychodząc, byli podobnych poglądów, zapatrywań, politycznych emocji. Nic dziwnego, że Woyciechowski, który był zwolennikiem całkowitego (można wręcz

eprasa.pl 93b77a6ac4

rzec – „totalnego") równouprawnienia wszystkich obywateli przyszłej wolnej Rosji, zachwycał się twórczością Mackiewicza, w której dostrzegał wiele różnych emocji, spojrzeń, aspektów, ale nie znajdował akceptacji dla wartościowania ludzi i społeczeństw ze względu na wyznawaną wiarę, język czy poczucie narodowe. Widział to Woyciechowski wyraźnie i dlatego pisał do Józefa, że chcąc dołożyć swoją cegiełkę do starań na rzecz wysunięcia kandydatury pisarza do Literackiej Nagrody Nobla, zamierza w swoim liście do komitetu zwrócić uwagę na „wszechludzki, pozbawiony jakiegokolwiek szowinizmu duch utworów Pańskich". Warto jeszcze wspomnieć, że serdeczność i otwartość Woyciechowskiego miały też wymiar finansowy, ponieważ był on jedną z osób, które wspierały żyjącego w nadzwyczaj skromnych warunkach pisarza.

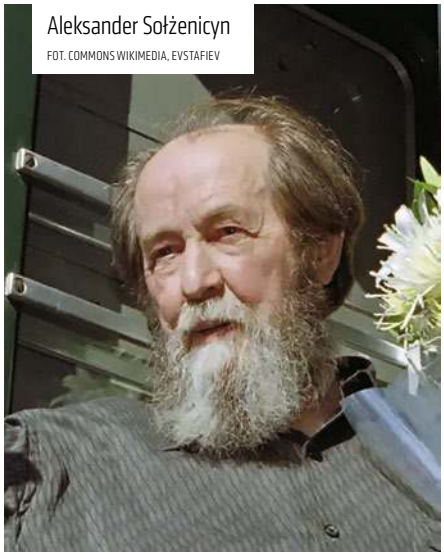
Przyjaciel zamachowiec

Ciekawą postacią był kolejny korespondent Mackiewicza – Borys Kowerda, z którym Mackiewicz nawiązał pisemną znajomość dość późno, prawdopodobnie na przełomie lat 70. i 80. Był to biały Rosjanin, który opuścił ojczyznę po przejęciu władzy przez bolszewików i zamieszkał w Wilnie. Z pewnym jakby zakłopotaniem pisał do Mackiewicza, że niewprawnie już pisze po polsku, ale przecież w momencie zawiązania korespondencji od ponad 40 lat był już poza Polską.

Borys Kowerda w 1927 r. dokonał udanego zamachu na sowieckiego posła w Warszawie, Piotra Wojkowa, za co został skazany początkowo na dożywocie, ale potem karę zmniejszono mu do 15 lat, z czego odsiedział 10. Kapitalnym aneksem w tomie jest przedruk wspomnieniowego artykułu Kowerdy z jednego z emigracyjnych rosyjskich czasopism z 1984 r. na temat okoliczności zamachu. Pisał w nim Kowerda o swoich motywacjach, przygotowaniach i wreszcie o przebiegu samego zdarzenia.

Innym rozmówcą korespondentem Mackiewicza był Roman Gul, również barwna postać o bardzo „dynamicznym" życiorysie. Był żołnierzem oficerskiego korpusu gen. Korniłowa podczas rewolucji lutowej, walczył też w wojskach hetmana Skoropadskiego, potem mieszkał w Niemczech, a finalnie w Stanach Zjednoczonych. Był wydawcą i redaktorem „Nowego Żurnala", jednego z najważniejszych pism białej rosyjskiej emigracji, i bardzo chętnie Mackiewicza drukował. Więcej nawet – Gul domagał się od niego tekstów! Może to być pewnym zaskoczeniem, jeśli pamięta się nieustanne problemy pisarza z publikacją tekstów w polskich czasopismach emigracyjnych i często występujące spory, co mu wolno, a czego nie wolno napisać. Z gazetą Gula było inaczej. Za artykuły płacił pisarzowi regularnie, chociaż sam uważał, że marnie, pisząc do autora „Buntu rojstów": „Poślemy i nasze żebracze honorarium". Żebracze? Pisarz dziękował: „Zupełnie nie oczekiwałem takiego królewskiego honorarium".

Znając permanentne problemy finansowe Mackiewicza, znając problemy ze swobodnym pisaniem tekstów do polskich gazet, można sobie łatwo wyobrazić, jakim uśmiechem losu była współpraca z Gulem i jego czasopismem. Uczciwe honoraria, swoboda w doborze tematów, zabieganie wydawcy o teksty, no i oczywiście bezpłatna wysyłka kolejnych numerów periodyku, którego tak linię ideową, jak zawartość Mackiewicz niezwykle wysoko cenił. Czasem nawet Gul – co też warte zaznaczenia – wysyłał Mackiewiczowi pieniądze przed napisaniem tekstu. W liście do pisarza z 1972 r. pisał, że wysyła czek na 25 dol., i dodawał: „Oczekuję artykułu od Pana. Nie ma pośpiechu, ale koniecznie proszę przysłać. To [czek – T.K.] – »awans dla zachęty«". Takie zwyczaje mocno kontrastowały z relacjami, które Mackiewicz miał np. z Mieczysławem Grydzewskim z londyńskich „Wiadomości" (z Giedroyciem i jego „Kulturą" było lepiej), gdy pisarz musiał się wykłócać z redaktorem nawet o pojedyncze słowa i frazy, których Grydzewski nie chciał zaakceptować, a do tego płacił słabo („To, co Pan może płacić, jest śmiesznie mało") i zazwyczaj z opóźnieniem. Czytając ich listy, co rusz napotykamy na prośby Mackiewicza w rodzaju: „Będę bardzo wdzięczny za przekazanie mi honorarium za uprzednie opowiadanie", „Zwracam się z uprzejmą prośbą o honorarium za mój ostatni artykuł" itp.



Aleksander Sołżenicyn
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, EVSTAFIEV

Braterskie faux paux

Bardzo sobie cenił Mackiewicz kontakt, opinie, listowną, a potem osobistą znajomość z Fedorem Stepunem, literatem, socjologiem kultury i religii, profesorem filozofii na Uniwersytecie Monachijskim. Znajomość listowna zainaugurowana w 1957 r. miała na samym początku lekko zabawny element, kiedy to profesor popełnił faux pas, biorąc Józefa za jego starszego brata, Stanisława (bawiącego od roku w PRL), z którym autor „Nie trzeba głośno mówić" nie utrzymywał już żadnych relacji. Znajomość nie trwała długo, bo Stepun zmarł w 1965 r., ale w tym czasie obaj literaci zdążyli odbyć kilka osobistych spotkań, trochę rozmów telefonicznych, no i powymieniać listy. Mackiewicz był bardzo wdzięczny Stepunowi za jego wyrażoną w liście (a potem opublikowaną w prasie) obszerną i wnikliwą recenzję „Drogi donikąd", bardzo pozytywną, aczkolwiek niepozbawioną pewnych zastrzeżeń i uwag. Ale Mackiewicz nadzwyczaj sobie cenił omówienia uważne i pogłębione, chociaż niekoniecznie pochwalne. Przykładowo do Michała Chmielowca pisał kiedyś: „Zdecydowanie negatywną recenzję [Wojciecha] Wasiutyńskiego o »Drodze [donikąd]« uważałem za jedną

eprasa.pl 93b77a6ac4



Roman Gul FOT. DOMENA PUBLICZNA

z lepszych, a w każdym razie o wiele lepszą, od dziesiątków pochwalnych".

Profesor Stepun, podobnie jak autor „Kontry" (a zarazem inaczej niż Ryszard Wraga, kolejny korespondent Mackiewicza z tomu 36., o którym za chwilę), Rosję carską i Związek Sowiecki traktował jako całkowicie odrębne podmioty. Z całą pewnością takie podejście budowało uznanie i szacunek Mackiewicza, który w „Zwycięstwie prowokacji" zacytował odnośne fragmenty jego wydanych w 1956 r. wspomnień: „Jakaż ogromna różnica pomiędzy caryzmem i bolszewizmem… Despotyzm państwowy straszny jest nie tyle w jego politycznych zakazach, ile w jego kulturalno-politycznych nakazach, w jego pomysłach stworzenia nowego człowieka i nowego człowieczeństwa. Przy całym swoim despotyzmie Rosja carska nikogo duchowo nie zamierzała wychowywać".

W tym zbiorze korespondencji z Rosjanami jest jeden, „polski" wyjątek: listy wymieniane ze wspomnianym Ryszardem Wragą (właściwie Jerzym Niezbrzyckim), byłym oficerem wywiadu, sowietologiem, publicystą. Co ciekawe, właściwie są to listy Wragi do Mackiewicza, bo wydawcy udało się odnaleźć i umieścić w zbiorze tylko jeden list Mackiewicza. Ale jak najwłaściwsza była decyzja, aby umieścić listy Wragi (niektóre bardzo obszerne), ponieważ były one zazwyczaj frapującą dyskusją i polemiką z niektórymi tezami Mackiewicza. Wraga, w wielu rzeczach zgadzając się z pisarzem, prezentując mocną opcję antykomunistyczną, zajmował jednak stanowisko, że Sowiety są spaczoną, ale mimo wszystko niewątpliwą emanacją i kontynuacją państwowości rosyjskiej, że są po prostu współczesną formą Rosji. W liście z 1963 r. pisał: „Uważałem zawsze, że negowanie, że ZSRR nie jest Rosją, jest beznadziejne […]. ZSRR jest niewątpliwie współczesną formacją Rosji". Uwagi te czynił na kanwie wspomnianej wyżej książki Mackiewicza („Zwycięstwo prowokacji"), w której pisarz prezentował stanowisko odmienne, najkrócej dające się zdefiniować tytułem jednego z jego tekstów opublikowanych w londyńskich „Wiadomościach" w 1947 r.: „Nie Rosja, ale Sowiety".

Wraga zajmował jednak stanowisko, że Sowiety są spaczoną, ale mimo wszystko niewątpliwą emanacją i kontynuacją państwowości rosyjskiej

Kłopot z Sołżenicynem

Oprócz wielu dyskusji, wymiany myśli o komunizmie, o jego naturze, o możliwościach i sposobach walki i przeciwstawiania się tej strasznej dżumie XX w., wymienianych wspomnień, przywoływania różnych osób i postaci bądź historycznych, bądź też znanych interlokutorom osobiście jedną z kilku dominant tematycznych jest postać i historia Aleksandra Sołżenicyna. Mackiewicz będąc – najdelikatniej pisząc – sceptyczny wobec szczerości autora „Archipelagu GUŁag" i jego wrogości do komunizmu, której pisarz w jego postawie i deklaracjach nie dostrzegał, za co często był krytykowany przez rodaków, znalazł zrozumienie dla swojego podejścia u niektórych rosyjskich znajomych. Woyciechowski pisał np. w liście, odnosząc się do dosyć swobodnego opuszczenia Sowietów przez Sołżenicyna: „Nie mam zaufania do ludzi łatwo opuszczających Związek Sowiecki", a Natalia Grant-Wraga (żona Ryszarda) dziękowała pisarzowi: „Tak się cieszę, że nareszcie rozległ się głos kogoś, kto nie uległ temu obłędnemu oczarowaniu Sołżenicynem i próbuje poddać analizie całą tę historię". Inne podejście prezentował natomiast Gul, który uważając, że władze sowieckie mogą dla swoich celów wykorzystywać niektóre wypowiedzi Sołżenicyna, zarazem wykluczał, aby noblista mógł mieć jakiś układ z tą władzą.

Na koniec parę zdań należy koniecznie poświęcić edytorowi, czyli niezwykle zasłużonemu, wydającemu książki Mackiewicza od ponad 50 lat wydawnictwu Kontra i jego właścicielce Ninie Karsov. Trudno nie być pełnym uznania dla niezwykłej staranności tak edytorskiej, jak merytorycznej. Szczególnego podkreślenia wymagają zawarte w tomie, bardzo ułatwiające lekturę historyczne i – w mniejszym stopniu – literackie „didaskalia" w postaci przypisów i aneksów przybliżających ludzi i okoliczności, o których Mackiewicz ze „swoimi" Rosjanami pisywał i dyskutował. Przypisy i aneksy są bardzo starannie przemyślane – obszerne tam, gdzie rozwinięcie tematu przybliży nieznane powszechnie postaci i zdarzenia, ułatwiając w ten sposób lekturę, zdawkowe tam, gdzie takiej potrzeby nie ma. Zasługą wydawcy było też dotarcie do rozproszonych przecież archiwów, co wymagało ogromnego nakładu pracy. Nina Karsov przetłumaczyła też te listy, które pisane były po rosyjsku (czy to przez Mackiewicza, czy też przez jego listownych rozmówców). Warto o tym wszystkim pamiętać podczas lektury najnowszego (oby nie ostatniego) tomu dzieł Józefa Mackiewicza.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93b77a6ac4





Krzysztof Masłoń

Jego „Kamień na kamieniu” pozostaje jednym z najdonioślejszych utworów powojennej literatury polskiej

Całymi latami wyjaśniał różnice między kulturą chłopską a kulturą ludową. Z połowicznym rezultatem, bo wciąż te pojęcia są mylone. Kultura chłopska – tłumaczył – „była kulturą bytu, kulturą miejsca. Wyrażała się w relacjach człowiek – człowiek, człowiek – rodzina, sąsiedzi, zwierzęta, ziemia, Bóg – słowem, we wszystkich możliwych relacjach, jakie pojawiały się w orbicie ludzkiego życia. Uzewnętrzniały się te relacje w rytuałach, zachowaniach, w wyobraźni, w języku. Była to kultura integralna, w której świat realny współistniał na takich samych zasadach jak świat wyobrażeniowy. W tę kulturę wpisany był bez mała system filozoficzny odpowiadający na pytanie, jak żyć”.

A kultura ludowa? „Tę stworzyła nasza inteligencka wyobraźnia. Nasze spojrzenie na kulturę chłopską jak na barwny folklor. Powtórzę, co już kiedyś powiedziałem: chłop nie wiedział, jaki jest jego folklor, wiedział, jaki jest jego los”.

I o tym losie, polskim losie chłopskim pisał w swoich powieściach i dramatach. Razem tworzących jeden z najważniejszych rozdziałów literatury polskiej. Zapisanych cierpliwie przez Wiesława Myśliwskiego, codziennie po stroniczce, ołówkiem. Dlaczego ołówkiem? Bo nie znosi skreślonego zdania, czymś zupełnie innym jest zdanie wytarte. Gumką.

Szczególna antropologia

Henryk Bereza tak postrzegał Myśliwskiego: „Będąc poetą i filozofem, kreuje w swoich powieściach i dramatach fizyczne i metafizyczne plany ludzkiej egzystencji indywidualnej i społecznej, trzymając się swojego archimedesowego punktu oparcia w sandomierskiej okolicy”.

Bereza towarzyszył pisarstwu autora „Nagiego sadu” (1967) od początku. Uznawał je za wyjątkowo wartościowe zjawisko w literaturze polskiej, ale prawdziwy akt strzelisty uczynił krytyk po ukazaniu się w 1984 r. „Kamienia na kamieniu”. A właściwie nie po nim, a przed, ponieważ druk powieści, publikowanej najpierw w pięciu numerach miesięcznika „Twórczość”, wpływowy krytyk poprzedził tekstem anonsującym powstanie arcydzieła.

Nie wszyscy w to uwierzyli czy raczej bardzo starali się, by nie uwierzyć. A jednak Bereza, w latach późniejszych, niekiedy pochopnie nadając przeciętnym książkom i ich autorom znamiona wielkości, w tym wypadku miał stuprocen-

eprasa.pl 93b77a6ac4



1932 r. / Wiesław Myśliwski

Pisarz chłopskiego losu

towową rację. Wciąż „Kamień na kamieniu" pozostaje jednym z najdonioślejszych utworów powojennej literatury polskiej. Głęboko prawdziwa jest historia życia Szymona Pietruszki, bohatera powieści, przez lata buntującego się przeciw odziedziczonej chłopskości, by dopiero u samego kresu swego ziemskiego bytowania pogodzić się z nią i połączyć zerwane więzi, wznosząc rodzinny grobowiec. A w kulturze chłopskiej, której się wyrzekał, odnaleźć ład i harmonię. I swoje przeznaczenie.

„Jeśli mógłbym go nazywać pisarzem chłopskim – pisał o twórcy »Kamienia na kamieniu« Henryk Bereza – to tylko w takim sensie, w jakim Jan Kochanowski, Jan Chryzostom Pasek i Henryk Rzewuski są pisarzami szlacheckimi, przynależąc jednocześnie, powiedzmy, do dwunastki, piętnastki lub dwudziestki największych pisarzy polskich w ciągu wieków. W tej liczbie oczywiście znalazłby się także Wiesław Myśliwski.

I taki pisarz zawdzięcza kulturze chłopskiej rzeczy pisarsko i artystycznie fundamentalne, swój pisarski język, swój artystyczny styl i szczególną, nazwę to nie po swojemu, antropologię".

I o tę antropologię chodzi. To ona odróżniała pisarstwo Myśliwskiego od – też przecież znakomitej, a tematycznie bardzo bliskiej – prozy Edwarda Redlińskiego. Jeśli zaś chodzi o wzory z przeszłości, również tak oczywiste, jak – zdawałoby się – „Chłopi" Reymonta, to przywoływany tu już krytyk zauważył, „że to tylko pozór, składniki języka i stylu u Reymonta są gotowe, łączy się u niego stylizację polszczyzny chłopskiej z konwencjonalną polszczyzną literacką swojego czasu lub raczej odwrotnie, łączy się tą drugą z tą pierwszą.

Wiesław Myśliwski tworzy dla potrzeb swojego pisarstwa swój własny kształt językowej i stylistycznej chłopskości, która jest taka, że może być tożsama z językową i stylistyczną literackością, z własnym indywidualnym piętnem".

Powieść, czyli wszystko

Gdy ćwierć wieku temu rozmawiałem z pisarzem o wydanym wtedy „Widnokręgu", w 1996 r. uhonorowanym przyznaną po raz pierwszy nagrodą Nike, ale przez czytelników niedocenioną chyba, a przecież to jedna z najpiękniejszych książek o miłości, powiedział, że ta ostatnia to najwyższy stan mądrości, a nie jest na nam dana tylko z tego tytułu, że się urodziliśmy. A prowadzi do niej trudna droga i „nie każdego na nią stać, a może nawet mało kogo. Zdolność do miłości zawdzięczamy innym, ale także naszej wrażliwości na innych".

Zacytowałem na to słowa jednej z postaci „Widnokręgu", która powiada, że „groby wiedzą najwięcej". Bohater powieści nie pogrąża się jednak wraz z umarłymi, choć doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że „umiera wraz z nimi", że nie umiera wyłącznie świat wokół niego.

„Czy nie ma pan takiego wrażenia – zapytał wtedy Wiesław Myśliwski – że

FOT. TOMASZ GZELL/PAP

eprasa.pl 93b77a6ac4

nawet gdy umierają znajomi, przyjaciele, to jednak umierają inni, lecz gdy zaczynają umierać ci, z którymi nas łączą więzy krwi, to czujemy, że i sami umieramy? Rodzina ma bardziej fundamentalne znaczenie w planie metafizycznym niż w jakimkolwiek innym. Jest to jednocześnie ten kawałek świata, z którego nic nie jest w stanie nas wyzuć. Istnieje możliwość wyzucia nas z państwa, z narodu, ze społeczeństwa, ze środowiska, z wszystkich innych zbiorowości, ale nie z rodziny. Tylko śmierć może to uczynić, chociaż i to nie jest takie pewne".

„Widnokrąg" został tak zbudowany, że – posiłkując się słowami pisarza – „nie liczy się z następstwami, zawiesza różne rzeczy, wielu nie dopowiada, inne świadomie pomija i można z niego wyjmować pewne historie, które mogłyby istnieć osobno". Tak właśnie zaistniała historia o tytule kojarzącym się z Proustem – „W poszukiwaniu zgubionego buta" – którą zresztą przeniosła na ekran Izabella Cywińska.

A konstrukcja „Widnokręgu" jest płynna, plazmoidalna – tłumaczył autor. „Wynika z koncepcji architektonicznej, a ta z kolei z mojego poglądu na powieść. W ogóle uważam, że powieść, nazywana często formą barbarzyńską, jest w istocie formą najbardziej wolną, jest w stanie zmieścić w sobie wszystko".

Kiedyś był zawziętym kinomanem, ale to mu przeszło. Bo to właśnie filmu, a nie powieści, której koniec wielokrotnie już za naszego życia wieszczono, dotknął najgłębszy kryzys. Pozostały z niego ruchome obrazki, głupstwa i prymitywizm będący obrazą dla dzieł Bergmana, Felliniego, Buñuela. A powieść? Ona „wyrasta z potrzeby opowiedzenia siebie drugiemu człowiekowi. Ta potrzeba jest naszą naturą. Po to człowiek wynalazł język. Każdy chce opowiedzieć siebie w takiej lub innej formie. Proszę zauważyć, jak się ludzie zachowują na przykład w towarzystwie. Niby słuchamy, co ktoś tam mówi, a po prawdzie czatujemy na sposobność, żeby samemu mówić. Powieść jest najdobitniejszym świadectwem tego, że człowiek jest istotą zbiorową".

Przeżycie egzystencjalne

Dziesięć lat po „Widnokręgu" został Myśliwski laureatem nagrody Nike po raz wtóry (po nim dwukrotnie przyznano Nike także Oldze Tokarczuk) – za kolejną wielką powieść, którą jest „Traktat o łuskaniu fasoli". Okazał się on bardziej przyjazny czytelnikom niż „Widnokrąg", nic dziwnego więc, że w plebiscycie słuchaczy 2. Programu Polskiego Radia uznany został za książkę 25-lecia. Tym samym czarno na białym okazało się, że



Wiesław Myśliwski z żoną i nagrodą Nike za „Traktat o łuskaniu fasoli" w 2007 r.
FOT. DOMINIK PISAREK/REPORTER

eprasa.pl 93b77a6ac4













podział na literaturę doby PRL i czasu wolnej Polski nie jest wcale tak oczywisty, jak twierdzili ci, którzy po 1989 r. całe piśmiennictwo powstałe w kraju po 1945 r. oddawali na śmietnik historii. Komunistyczna cenzura kneblowała usta, a wraz z autocenzurą zmuszała ludzi pióra do ezopowych wygibasów, to jest oczywiste. Tak samo jak jest faktem, że Wiesław Myśliwski pisał arcydzielne utwory i przed wielką zmianą, i po niej.

To może kogoś dziwić, ale w 400-stronicowym „Traktacie o łuskaniu fasoli" jedynym politycznym wydarzeniem, które wywiera znaczący wpływ na życie bohatera, jest wymiana pieniędzy w 1950 r. Żadne polskie Październiki, Marce, Czerwce czy Grudnie, tylko tamten rabunek dokonany w majestacie prawa, jakiekolwiek by ono było. Rabunek, który uniemożliwił bohaterowi „Traktatu..." kupno wymarzonego instrumentu muzycznego. Konkretnie – saksofonu…

„Te wszystkie ważne – polityczne, historyczne wydarzenia działy się poza przestrzenią mojego bohatera – wyjaśniał mi Myśliwski na potrzeby wywiadu, jaki z nim przeprowadzałem. – Wymiana pieniędzy – inaczej, dotknęła go bezpośrednio, to było wydarzenie na miarę jego życia. Jego i innych ludzi, bo to była klęska społeczna, którą pamiętam, gdyż sam ją przeżyłem. To było wydarzenie egzystencjalne, a cóż jest bardziej dojmującego dla ludzkiego doświadczenia niż własne przeżycie egzystencjalne? Uświadamia mi pan, że – nie wiedząc nawet o tym – wykreowałem jedno z najbardziej powtarzalnych wydarzeń egzystencjalnych, bowiem wymiana pieniędzy to jest permanentny los świata.

– Który nielicznych bogaci, a całe rzesze rujnuje.

– Przypominam sobie zdarzenie z lat okupacji. Przyjechałem z mamą i siostrą na wieś i w domu dziadków bawiłem się na strychu. Oderwałem deskę od powały, a pod nią znalazłem, w zwitkach, pełno rubli. Carskich rubli.

– Dziadek mógłby wytapetować nimi izbę.

– Opowiedziano mi ich historię. Tuż przed I wojną światową na wsi była prosperity. Rosja szykowała się do wojny i nastąpiła hossa na żywność. Dziadkowie hodowali świnie, na które zaistniał duży popyt, a to dla chłopów było zawsze najważniejsze: to, co wytwarzali, mieli komu sprzedać. I zbierali te ruble, święte ruble. Po wojnie długo jeszcze nie wierzyli, że ruble nie wrócą do obiegu. Na wsi było to powszechne przekonanie. Oczywiście wszystko poszło w diabły. Jakby z punktu widzenia pieniędzy spojrzał pan na wszystkie rewolucje, przełomy, zawirowania społeczne, to okaże się, że jest to niewiarygodne doświadczenie egzystencjalne. A co się stało w 1990 roku?".

No cóż, narrator innej powieści Myśliwskiego, „Ostatniego rozdania" (2013), powiadał, że „historia zawsze dzieje się na naszych oczach, tylko nie zawsze te oczy chciałyby być nasze".

Kreacja i pamięć

Jeszcze inna powieść tego autora – „Ucho igielne" (2018) – opowiada o konfrontacji między tym, co było, a tym, co jest i będzie. „Nie jest winą starości – czytamy – że niemodna, podobnie jak młodości, że modna. Może kryje się za tym jakiś pomysł na obecny świat […]. Dzisiaj mówi się, że starzy opóźniają marsz świata do przodu. Tylko że gdy się zastanowić, na starość się dopiero wie, że marsz świata do przodu jest złudzeniem młodości. To tylko kula ziemska obraca się pod naszymi stopami, a my drepczemy w miejscu, udając marsz. Bo cóż by znaczyło do przodu, jeśli nie do śmierci".

Jest również „Ucho igielne" książką bardzo mocno osadzoną w realiach Sandomierza, miasta dzieciństwa i młodości autora, który tam uczył się w gimnazjum i liceum, zdał maturę, a później wielokrotnie wracał tam z Warszawy, gdzie osiadł na stałe. Tak jak jego są historie opowiedziane w powieści, co jednak nie znaczy, by miała to być książka autobiograficzna. Myśliwski sprzeciwia się utożsamianiu narratorów swoich powieści z jego osobą. Autobiografia, jego zdaniem, pomagać ma uruchamiać kreację, a nie pamięć. O tej ostatniej zaś możemy tylko medytować, tak jak o losie człowieczym. Medytacji takiej sprzyjałoby np. łuskanie fasoli. Ale kto dziś łuska fasolę?

Utwory Myśliwskiego wielokrotnie przenoszone były na ekran (m.in. „Przez dziewięć mostów" – według „Nagiego sadu" – i „Kamień na kamieniu" w reżyserii Bogdana Bera, „Klucznik" w reżyserii Wojciecha Marczewskiego, „Pałac" wyreżyserował Tadeusz Junak, a „Złodziej" zekranizował Wiesław Helak), adaptowane na potrzeby Teatru Telewizji („W poszukiwaniu zgubionego buta" według „Widnokręgu", reż. Izabella Cywińska), wystawiane na wielu scenach („Drzewo", „Requiem dla gospodyni" w pamiętnych realizacjach Kazimierza Dejmka).

Myśliwski skończył studia polonistyczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Po przyjeździe do Warszawy podjął pracę redaktorską w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. W 1975 r. założył kwartalnik „Regiony", którym kierował prawie przez ćwierć wieku, publikując niezwykle wartościowe materiały, m.in. pamiętniki chłopów. W latach 80. wchodził w skład Narodowej Rady Kultury, będąc przez pewien czas jej wiceprzewodniczącym (bywało, że wypominano mu tę działalność). Pod koniec zeszłego wieku został redaktorem naczelnym pisma „Sycyna", już samym tytułem nawiązującego do ukochanego przez pisarza twórcy – Jana Kochanowskiego.

Tłumaczono go chyba na wszystkie języki świata, otrzymał kilka honorowych doktoratów i kilkadziesiąt nagród literackich. Nobla nie dostał, a należał mu się, należał.

Wiesław Myśliwski, urodzony w Dwikozach pod Sandomierzem, najwybitniejszy żyjący polski pisarz, ma 93 lata. Mieszka w Warszawie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93b77a6ac4



Jan Matejko „Kazanie Skargi”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Książka miesiąca / Siła ducha

Polska ścieżka

Podziwianie pokazu dronów, szturmowców z „Gwiezdnych wojen” i koncertu z udziałem Dody zapewne pozostawiły miłe wrażenia wśród uczestników warszawskiego pikniku z okazji tysiąclecia koronacji Bolesława Chrobrego i Mieszka II. Kto jednak czuje, że to trochę mało jak na tak wielką rocznicę, niech sięgnie po książkę Grzegorza Górnego.

W ponad 100 krótkich szkicach autor przedstawia historię nie tylko z punktu widzenia politycznego, społecznego i gospodarczego, lecz także w powiązaniu z religią, działalnością Kościoła katolickiego, jego hierarchów i księży. Jest to jednocześnie opowieść o duchowym i intelektualnym wkładzie Polaków w dzieje Europy, pokazująca także odrębną polską ścieżkę. Autor pisze, że państwo polskie czerpało siłę odrodzenia ze swojego potencjału duchowego, czyli z wiary chrześcijańskiej, która stała się fundamentem tożsamości Polaków.

„Typ chrześcijaństwa, jaki wyłonił się w Polsce – stwierdza Górny – uchronił nas zarówno przez rzeziami bratobójczych wojen, jak i przed ludobójstwem antyreligijnych modernizatorów, a do jednego i drugiego dochodziło choćby w stawianej za wzór Francji”. Rzeczypospolitej nie objęła więc krwawa trzydziestoletnia wojna religijna, a symbolem oświecenia nie stały się gilotyna i rzeź w Wandei. A polskie oświecenie było w dużej mierze dziełem księży, takich jak Konarski, Kołłątaj, Staszic, Piramowicz. To duchowni stanowili główną siłę Komisji Edukacji Narodowej.

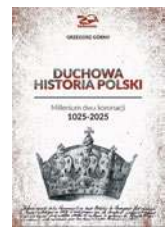
Autor przypomina, że ideę Rzeczypospolitej, nie jako własności monarchy, lecz wolnego społeczeństwa, które rządzi się stanowionymi przez siebie prawami i wybiera sobie króla, sformułował bp Wincenty Kadłubek. Inny hierarcha, prymas Jan Łaski, był głównym architektem konstytucji nihil novi, oznaczającej, że władca nie może stanowić praw bez zgody parlamentu.

Związek religii z polskością dobitnie pokazały czasy zaborów, gdy Kościół uczył – jak pisał cytowany przez autora Bohdan Cywiński – „oporu biernego, najczęściej milczącego, ale solidarnego i ciągłego”.

Swoją specyfikę miał powstający wówczas polski ruch robotniczy i socjalistyczny. W swym głównym nurcie – zauważa Górny – nie był, jak na Zachodzie, radykalnie antyreligijny, natomiast miał oblicze niepodległościowe. Autor zwraca też uwagę, że jakkolwiek Piłsudski i Dmowski byli religijnie indyferentni, to jednak z szacunkiem odnosili się do chrześcijaństwa, doceniając jego rolę jako źródła moralności i siły współtworzącej w dziejach narodu. Lider Narodowej Demokracji pisał, że „katolicyzm nie jest tylko dodatkiem do polskości, zabarwieniem jej na pewien sposób, ale tkwi w jej istocie”. Dlatego też Niemcy podczas drugiej wojny światowej ze szczególną zajadłością mordowali polskich księży.

Grzegorz Górny wielokrotnie przywołuje słowa Jana Pawła II, a wśród nich i te, w których mówił o obowiązku strzeżenia podstawowej suwerenności, którą każdy naród ma dzięki swojej kulturze. A suwerenność i kultura nie mogą paść ofiarą dominacji i hegemonii. Do obecnej rzeczywistości można odnieść także stwierdzenie autora, że unię lubelską zawierano pod hasłem „wolni z wolnymi, równi z równymi”, a związek dwóch narodów „był jednością polityczną bez niszczenia poszczególnych odrębności”.

Tomasz Stańczyk



GRZEGORZ GÓRNY
„DUCHOWA HISTORIA POLSKI. MILLENIUM DWU KORONACJI. 1025–2025”
ROSIKON PRESS

eprasa.pl 93b77a6ac4

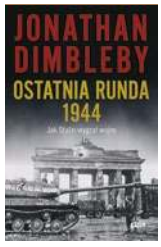
Runda Stalina

22 czerwca o świcie rozpoczęła się nawała ogniowa, która dosłownie poszatkowała pozycje wroga. Nacierający mieli miażdżącą przewagę na całej linii frontu właściwie pod każdym względem. W ciągu kilku kolejnych tygodni strona zaatakowana będzie się już tylko cofać, tracąc po drodze masę żołnierzy i ogromne ilości sprzętu. Nie, to nie jest opis operacji „Barbarossa", lecz jej lustrzanego odbicia – operacji „Bagration". Dokładnie trzy lata po niemieckim ataku na Związek Sowiecki Stalin odwrócił sytuację na froncie wschodnim. „W ciągu nieco ponad dwóch tygodni, w trakcie których alianckie armie walczyły o zdobycie czegoś więcej niż przyczółka na północy Francji, Armia Czerwona zadała niemieckim siłom zbrojnym najbardziej upokarzającą klęskę w ich dziejach – pisze Jonathan Dimbleby. – W ten sposób wojska Stalina pomściły hańbę operacji Barbarossa".

Dokładnie o to chodziło dowództwu Armii Czerwonej: Niemcy mieli zobaczyć, jak to jest, gdy cały front rozpada się w drobny mak. Sowieci zgromadzili do tej operacji niemal 2 mln żołnierzy; Niemcy mogli im początkowo przeciwstawić niecały milion. Z naszego punktu widzenia efektem tej operacji było przede wszystkim wyrąbanie sobie przez Sowietów drogi przez Białoruś do Polski. I stanięcie u bram wykrwawiającej się Warszawy...

Ta ofensywa to kulminacyjny moment opowieści Dimbleby'ego o roku 1944. Podtytuł książki brzmi „Jak Stalin wygrał wojnę", ale raczej nie są to słowa na wyrost. Już wtedy, w połowie 1944 r., każdy przytomny obserwator musiał rozumieć, że Niemcy przegrają wojnę, a tempo sowieckiej nawały oznacza, że to Stalin będzie dyktował warunki na ogromnych obszarach Europy Środkowo-Wschodniej.

Dużym atutem tej książki są często cytowane wspomnienia żołnierzy obu stron. Widać z nich, że na tym etapie wojny nie tylko Sowieci potrafili bezsensownie rzucać żołnierzy na „mięsne szturmy". Również u Niemców zdarzały się takie sytuacje (choć oczywiście dużo rzadziej). Oddajmy głos 22-letniemu szeregowemu Heinzowi Fielderowi, broniącemu „twierdzy" Bobrujsk: „Pamiętam, jak pewnego razu trzeba było odbić jedną pozycję i młody podporucznik odmówił ponownego ataku, ponieważ ponad połowa jego ludzi zginęła, i to na marne. Atakowali raz po raz, aż wszyscy zginęli". ©℗ ***Piotr Włoczyk***



JONATHAN DIMBLEBY
„OSTATNIA RUNDA 1944. JAK STALIN WYGRAŁ WOJNĘ"
ZNAK HORYZONT

„Odwrócony" rasizm

Biali zaczęli pojawiać się na terenie dzisiejszej RPA w XVII w. Część potomków pierwszych osadników traktuje więc to miejsce jako swą jedyną ojczyznę. Relacje Holendrów i Brytyjczyków z miejscową ludnością od początku były dramatyczne, pełne krwawych porachunków. Najbardziej znanym epizodem jest apartheid. Niewiele jednak mówi się o tym, co działo się w RPA po dojściu do władzy czarnych. Autor opowiada o tym, jak wygląda RPA w ostatnich latach. Liczne morderstwa, tortury, brak poczucia bezpieczeństwa. Czy biali są „gatunkiem" skazanym w RPA na zagładę? ©℗ ***(a.s.)***



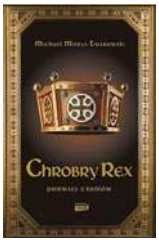
WOJCIECH ROGALA
„GATUNEK ZAGROŻONY. BIALI AFRYKANIE W RPA"
ZONA ZERO

Bolesław Wielki

Tysięczna rocznica koronacji pierwszego polskiego monarchy to znakomita okazja, aby przypominać jego postać. Bolesław Chrobry był bowiem bezsprzecznie jednym z najwybitniejszych, a zdaniem niektórych historyków nawet najwybitniejszym władcą w dziejach Polski. Należałby mu się przydomek Wielki. Oczywiście części jego sukcesów nie byłoby, gdyby nie scheda, którą otrzymał po ojcu, zjednoczycielu części słowiańskich plemion, które zamieszkiwały (mniej więcej) właśnie obszar dzisiejszej Polski. Syn Mieszka nie tylko okazał się godnym następcą, lecz także przewyższył ojca zdolnościami militarnymi i dyplomatycznymi. O tych ostatnich świadczą zjazd gnieźnieński i dobre relacje z Ottonem III. Bolesław utrzymał dziedzictwo, a także umocnił je i sprawił, że jego państwo zaczęło się liczyć w naszej części Europy.

Proces, który zakończył się nałożeniem na skronie księcia Bolesława korony, był długi i mozolny, a przy tym naznaczony krwawymi bitwami, pełen dworskich intryg, a nawet zamachów na życie władcy. Bolesław wychodził jednak z opresji obronną ręką, nie mając dla wrogów litości. Chrobry był jednym z największych wojowników wśród naszych królów. Nie zaniedbywał przy tym spraw duchowych, przyjaźnił się m.in. z bp. Brunonem z Kwerfurtu.

Tę książkę można traktować jak podróż po państwie Bolesława Chrobrego. Zainteresuje nie tylko historyków. ©℗ ***(a.s.)***



MICHAEL MORYS-TWAROWSKI
„CHROBRY REX. PIERWSZY Z KRÓLÓW"
ZNAK HORYZONT

eprasa.pl 93b77a6ac4



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Albo–albo

Elity Unii Europejskiej żyją w historycznej schizofrenii. Z jednej strony swój wymarzony projekt „państwa europejskiego" nazywają uparcie „Stanami Zjednoczonymi Europy". Z drugiej strony w symbolice tego postulowanego państwa odwołują się do tradycji Karola Wielkiego. To właśnie jego uczyniły patronem najważniejszej nagrody, którą honorują swych najbardziej obiecujących przedstawicieli, i to on pojawia się w tle najsilniej artykułowanych państwowotwórczych rojeń, jak m.in. „obszar karoliński" czy „Europa karolińska".

A przecież są to tradycje krańcowo odmienne. Karol Wielki, król, a potem cesarz z Bożej łaski, podbijał kolejne prowincje siłą i ujednolicał je przemocą – symbolem jego jednoczenia Europy było przymusowe nawracanie Sasów po ogłuszeniu ich pałką. Stany Zjednoczone powstały natomiast jako związek 13 wolnych państw – byłych kolonii brytyjskich – które zbliżyła do siebie wspólna chęć wyzwolenia się spod zwierzchnictwa monarchii. Decydujący o powołaniu wspólnoty demokratycznie wybrani przedstawiciele tych państw bardzo mocno zabiegali w przygotowywanych traktatach o zachowanie w maksymalnym stopniu odmienności systemów prawnych oraz politycznych każdego z nich. Nawiasem mówiąc, do polskich serwisów streamingowych wrócił ostatnio biograficzny serial o Johnie Adamsie, drugim prezydencie USA, który świetnie ten proces „czynienia z wielu jednego" pokazuje, i polecam go z czystym sercem jako źródło wiedzy na ten temat.

> W mentalu zachodniej Europy nie ma innego wzorca „europejskości" niż dominacja jednych nad drugimi **ani innego sposobu „nawracania" na ideę europejską „nowych krajów członkowskich" niż pałką przez łeb**

Z tych dwóch sprzecznych historycznych narracji, po które sięgają zwolennicy „pogłębiania integracji europejskiej" aż do budowy jednolitego, europejskiego państwa, odpowiednią dla ich praktyki jest tradycja karolińska. W mentalu zachodniej Europy nie ma po prostu innego wzorca „europejskości" niż dominacja jednych nad drugimi ani innego sposobu „nawracania" na ideę europejską „nowych krajów członkowskich" niż pałką przez łeb.

Niestety, historia potoczyła się tak, że to Francji i Niemcom przypadło zainicjowanie wznoszenia tej europejskiej budowli – wielka szkoda, że nie nam. Gdyby jednoczenie Starego Kontynentu zaczęło się od jego wschodnich, a nie zachodnich obszarów, mówiąc wprost – od nas, na pewno bylibyśmy w stanie nawiązać do znacznie lepszych wzorców. Dawna Rzeczpospolita Narodów (celowo pomijam mylące słowo „obojga") była bowiem założeniem krańcowo odmiennym, bliskim późniejszym Stanom Zjednoczonym Ameryki. Królestwo Polskie nie podbiło Wielkiego Księstwa Litewskiego ani odwrotnie – zawarły one ze sobą unię, z czasem rozszerzoną na budzących się do osobnego bytu narodowego Rusinów. Państwo powstałe wskutek tej Unii nie podbiło Prus ani Inflant – to obywatele tych krajów dążyli do zjednoczenia z nami po to, by cieszyć się z tych samych wolności, co szlachta Rzeczypospolitej.

Szydercy przypomną zaraz, że ta konstrukcja się zawaliła. Owszem, ale nie dlatego, że była źle pomyślana, tylko dlatego, że źle ją próbowano naprawiać – zamiast poszerzać warstwę obywatelską, próbując narzucić jej elementy absolutyzmu (trafnie i wyczerpująco pisał o tym ostatnio Jacek Komuda w książce „Upadek").

Ale zanim do tego upadku doszło, przez kilkaset lat Rzeczpospolita funkcjonowała świetnie. A ile lat dają państwo – zakładając, że w ogóle one powstaną – „Stanom Zjednoczonym Europy"? Ja również niewiele. ©℗

eprasa.pl 93b77a6ac4



Piotr Semka

/ Felieton

Fenomen mścicieli

Im dłużej obserwuję historię, tym bardziej oprócz jej tragicznego rysu dostrzegam też pewne krzepiące prawidłowości – wszelkie wyrządzone zło spotyka się z odpłatą. Tyle że często w bardzo zaskakujący i trudny do przewidzenia sposób.

Lubię przytaczać dość egzotyczny dla nas przykład pomsty. Ci, którzy oglądali świetny serial historyczny Netflixa „Outlander", zaznajomili się z losami Jamesa Frasera – szkockiego, XVIII-wiecznego bojownika o wolność. Ten uczestnik powstania Szkotów z 1746 r. po klęsce zrywu wyjeżdża do Ameryki i po pewnym czasie przyłącza się do amerykańskich zwolenników niepodległości. W serialu doskonale pokazane jest, jak brutalność, z którą Anglicy stłumili zryw szkockich górali, zapisała się w pamięci tych ostatnich. Nie mogąc już wytrzymać życia w terroryzowanej ojczyźnie, Szkoci wyemigrowali za wielką wodę. I tam właśnie weterani powstania z 1746 r. byli pierwszymi, którzy wsparli hasła przeciwstawienia się brytyjskiej tyranii. Zaciętości dodało temu konfliktowi to, że do tłumienia powstania wysłano brytyjskie oddziały, których dowódcy w bardzo wielu przypadkach nauczyli się bezwzględności i okrucieństwa właśnie przy okazji palenia szkockich wiosek i siedzib klanów.

Tyle tylko, że w niewielkiej Szkocji, do której Anglicy mieli blisko, żołnierze króla Jerzego byli panami sytuacji. Z kolei w Ameryce, do której każdy nabój do brytyjskiej flinty trzeba było przewozić tygodniami statkiem przez burzliwy Atlantyk, już tak wesoło nie było. Anglicy ubrani w czerwone kubraki byli wręcz wymarzonym celem dla zbuntowanych mieszkańców Ameryki. Oficerowie angielscy odpowiadali na porażki zadawane im przez niewidzialnych wrogów, urządzających na nich zasadzki w puszczach, mszcząc się na wioskach buntowników, czyli na ich żonach i dzieciach. Można dość górnolotnie powiedzieć, że powstańcy dowodzeni przez Jerzego Waszyngtona z pewnością zabili wielu pacyfikatorów Szkocji. Opatrzność nie pozostawiła brytyjskiego okrucieństwa bez należytej odpłaty.

Także w dziejach Polski można znaleźć wiele przykładów, gdy dana generacja zaszczuta kłamstwem lub nienawiścią odnajduje po wielu latach swoistych „duchowych mścicieli". Józef Piłsudski i jego PPS, włączając się w rewolucję 1905 r., byli mścicielami, którzy odpłacali Rosji za potworne stłumienie powstania styczniowego. Nie przypadkiem Piłsudski zadbał osobiście, by po odrodzeniu się niepodległej Polski wszyscy żyjący powstańcy zostali odszukani, mianowani na stopień oficerski i przeszli pod opiekę państwa. Podobne wrażenie istnienia pokolenia mścicieli ogarnęło mnie, gdy czytałem dzieje prawicowych ugrupowań opozycyjnych z czasów PRL. Myślę tu o Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Ruchu Młodej Polski, a także Konfederacji Polski Niepodległej. Te wszystkie ugrupowania wchłonęły młodych ludzi urodzonych w latach 50., którzy wyrastali wśród szeptanych na ucho opowieści o stryjach, wujach i krewnych zakatowanych w stalinowskich więzieniach.

Ale zjawisko politycznych mścicieli wystąpiło też po 1989 r. Nie byłoby generacji „pampersów" i Frondy, gdyby nie poczucie dławiącego wstydu za to, jak część elit wyniesionych do władzy przez Solidarność zdradziła etos tego ruchu. Czy to wykazując obojętność na los generacji, której dotknął kryzys z początku lat 90., czy też poprzez demonstracyjne bratanie się z komunistami, czego symbolem były przyjaźnie Adama Michnika z Jerzym Urbanem i Wojciechem Jaruzelskim.

Dziś jesteśmy świadkami jeszcze dziwniejszego fenomenu. Oto Kanał Zero stał się najtrudniejszym przeciwnikiem dla PO. Krzysztof Stanowski, twórca tego kanału, nie miał w życiu specjalnie złych doświadczeń z szeroko rozumianym obozem Donalda Tuska. Ale gdy tylko chciał uzyskać jakąkolwiek niezależność na rynku medialnym, natychmiast stał się obiektem hejtu jako „pachołek PiS". W jednej z wypowiedzi zdradził nawet, że perfidnie zaatakowano jego rodzinę. I siłą rzeczy twórca kanału zrozumiał, że bez poszerzania pluralizmu na rynku opinii sam zniknie z tego rynku. W tym sensie Kanał Zero też jest mścicielem, który wyśmiewa arogancję i nienawiść okazywaną przez polityków i fanatycznych stronników PO. Mściciele pojawiają się nie na zasadzie jakiejś przemyślanej logiki dziejów, lecz w reakcji na pychę tych, którzy nadużywają swojej władzy. I to jest w całej tej historii najbardziej optymistyczne. ©℗

eprasa.pl 93b77a6ac4



Podpisanie traktatu paryskiego (1783) kończącego wojnę o niepodległość Stanów Zjednoczonych. W środku: Benjamin Franklin. Nieukończony obraz Benjamina Westa. Anglicy odmówili pozowania

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WINTERTHUR MUSEUM

Wieki XVII–XX / Bezkrwawe zmagania

Pokojowe wojny



Grzegorz Janiszewski

Konflikty zwykle pochłaniają tysiące, a nawet miliony istnień ludzkich. Historia zna jednak przypadki, gdy w trwających niekiedy dziesiątki lat wojnach nie zginął dosłownie nikt

Po 80-letniej wojnie z Hiszpanią siedem północnych niderlandzkich prowincji uzyskało w 1648 r. niepodległość. Prowincje południowe pozostały przy Habsburgach. Północ czerpała swoje bogactwo głównie z handlu morskiego, blokując przy tym austriackim Niderlandom dostęp do morza przez rzekę Skaldę. Odblokowanie rzeki umożliwiłoby prowadzenie handlu morskiego z portów w Antwerpii i Gandawie, co znacznie ożywiłoby gospodarkę regionu.

W październiku 1784 r. z rozkazu cesarza Józefa II flotylla złożona z trzech okrętów, z flagowym „Le Louis" na czele, wyruszyła, by odblokować rzekę. Józef, korzystając z uwikłania Niderlandów w wojnę z Anglią, zażądał też ustępstw terytorialnych i opuszczenia przez Holendrów chroniącego ich kraj systemu twierdz. Holendrzy wysłali przeciw niej samotny okręt „Dolfijn".

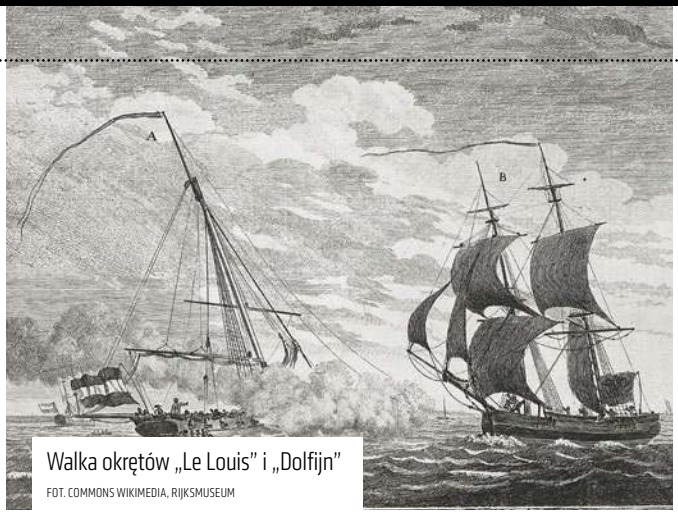
Spotkanie nastąpiło 8 października na wysokości miasta Saaftingen. Cesarskie okręty, pewne swojej przewagi, płynęły dalej. Wtedy z holenderskiego okrętu wystrzelona została jedna armatnia kula, która przebiła pokład „Le Louis" i wpadła do kotła z gotującą się zupą. To wystarczyło, żeby flotylla zawróciła. W zawartym później traktacie z Fontainebleau w 1785 r. potwierdzono istniejący stan rzeczy. Holendrzy musieli jedynie zapłacić Cesarstwu 2 mln florenów i wycofać się z fortyfikacji.

Wojna o szmugiel

Szwecja do wojen napoleońskich przystąpiła jako sojusznik Wielkiej Brytanii, z którą od lat łączyły ją ścisłe związki handlowe. Król Gustaw V nienawidził rewolucji francuskiej i Napoleona. Jednak przegrana w wojnach w Finlandii i na Pomorzu zmusiła go w styczniu 1810 r. do podpisania traktatu paryskiego i przystąpienia do wymierzonej w Wielką Brytanię blokady kontynentalnej Napoleona. Szwedzi nie przykładali się do niej, szmuglując towary z Wysp, więc w październiku Francja postawiła im ultimatum. Szwecja miała w ciągu pięciu dni wypowiedzieć wojnę Wielkiej Brytanii i zająć wszystkie brytyjskie statki i towary znajdujące się w jej portach.

Zmęczeni poprzednimi wojnami Szwedzi, którzy w tym czasie wybrali na następcę tronu napoleońskiego marszałka Bernadotte'a, nie byli w stanie stawić oporu. W obliczu nowej wojny z Francją,

eprasa.pl 93b77a6ac4



Walka okrętów „Le Louis" i „Dolfijn"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RIJKSMUSEUM

Rosją i Danią przyjęli te warunki. Handel z południowych, łatwych do obserwacji portów przeniósł się na północ.

Bernadotte, już wcześniej poróżniony z Napoleonem i przeczuwający jego klęskę, nie miał zamiaru być marionetką cesarza i iść na wojnę z Brytyjczykami. Nawet gdy ci zajęli szwedzką wyspę Hanö, która była dogodną bazę na Bałtyku. Niepewny reakcji Francji Bernadotte nakazał rozpocząć przygotowania do wojny. W regionie Klågerup wybuchły jednak rozruchy przeciwko poborowi. Wysłana tam karna ekspedycja zabiła ok. 40 chłopów. Były to jedyne, zupełnie nieoczekiwane ofiary tego konfliktu.

Napoleon był wściekły na swojego byłego marszałka i przed inwazją na Rosję w styczniu 1812 r. powtórnie zajął szwedzkie Pomorze oraz Rugię, żeby chronić północną flankę. Po ataku Napoleona na Rosję wojna szwedzko-brytyjska została szybko zakończona traktatem z Örebro podpisanym w lipcu 1812 r. Już w następnym roku Szwecja przystąpiła do VI koalicji, a Bernadotte na czele Szwedów bił napoleońskie wojska, odgrywając decydującą rolę w bitwie pod Lipskiem.

Wojna z niedźwiedziem

Traktat paryski z 1783 r., kończący wojnę Wielkiej Brytanii z jej amerykańskimi koloniami, miał tylko 2 tys. słów. Oprócz uznania niepodległości Stanów Zjednoczonych określał też przebieg granicy między powstałym państwem a brytyjską wówczas Kanadą. W okolicach kanadyjskiej kolonii Nowy Brunszwik i dzisiejszego amerykańskiego stanu Maine traktat regulował przebieg granicy. Biegła ona rzekami, „które wpadają do Oceanu Atlantyckiego, do wysuniętych najbardziej na północny wschód źródeł Rzeki Connecticut".

Dopóki rejon ten był słabo zaludniony i w niewielkim stopniu eksploatowany gospodarczo, dopóty takie wytyczenie granicy nie nastręczało większych problemów. Jednak na początku lat 20. XIX w. coraz większy napływ osadników z obu stron granicy, zajmujących się głównie drwalstwem, zaczął powodować kłopoty. Amerykanie, którzy ścinali drzewa na północ od rzeki Penobscot, interpretowali zapisy traktatu w kreatywny sposób – jako rzeki wpadające do oceanu zaczęli traktować również te, które uchodziły do zatok św. Wawrzyńca i Fundy. Spowodowało to nie tylko przesunięcie granicy na ich korzyść, lecz także odcięcie nadmorskich prowincji Kanady od Quebecu.

Na amerykańskie władze zaczęli się też skarżyć brytyjscy poddani, których próbowano traktować jak obywateli USA. W końcu strony zwróciły się do holenderskiego króla Wilhelma I o arbitraż w sprawie granicy, ale ostatecznie władze Maine odrzuciły jego kompromisową propozycję. Strony nawzajem zaczęły aresztować swoich urzędników, próbujących liczyć mieszkańców i zbierać podatki. Oskarżały się też o kradzież drewna. Drwale chcieli załatwić sprawę między sobą przy pomocy siekier, ale gotowych do bójki rozpędził podobno olbrzymi niedźwiedź, który pojawił się zwabiony ich krzykami.

W odpowiedzi legislatura w Maine uchwaliła fundusz wojenny w wysokości 800 tys. dol. i powołała 10 tys. milicji stanowej, wysyłając ją do pospiesznie zbudowanych fortów Fairfield i Kent. Kanadyjskie Nowy Brunszwik i Nowa Szkocja również wysłały na granicę swoje milicje. Doszło nawet do kilku przypadków demonstracji siły przez oddziały obu stron. Do jedynej „bitwy" tej wojny doszło w barze w Houlton. Gdy jakiś Amerykanin wzniósł toast za zwycięstwo Maine, wywiązała się bójka na pięści.

W końcu Kongres USA przeznaczył na wojnę 10 mln dol. i powołał milicję w sile 50 tys. osób. Prezydent Martin Van Buren wysłał gen. Winfielda Scotta z wojskiem, jednak jego główną misją było nie wojowanie, lecz uspokojenie sytuacji w drodze negocjacji. Scott przekonał miejscowych polityków do odłożenia broni i wynegocjował w marcu 1839 r. z gubernatorem Nowego Brunszwiku, Johnem Harveyem, tymczasową linię demarkacyjną. W tej amerykańsko-kanadyjskiej „wojnie" nie było ofiar, oprócz kilku żołnierzy, którzy zmarli od chorób i w wypadkach. Najbardziej znaną jej ofiarą był szer. Hiram T. Smith. Do dzisiaj toczą się spory, czy zamarzł on na śmierć, został przejechany przez wóz z zaopatrzeniem czy utonął w stawie. W 1842 r. strony podpisały traktat, który ustalił przebieg granicy uznawany do dziś.

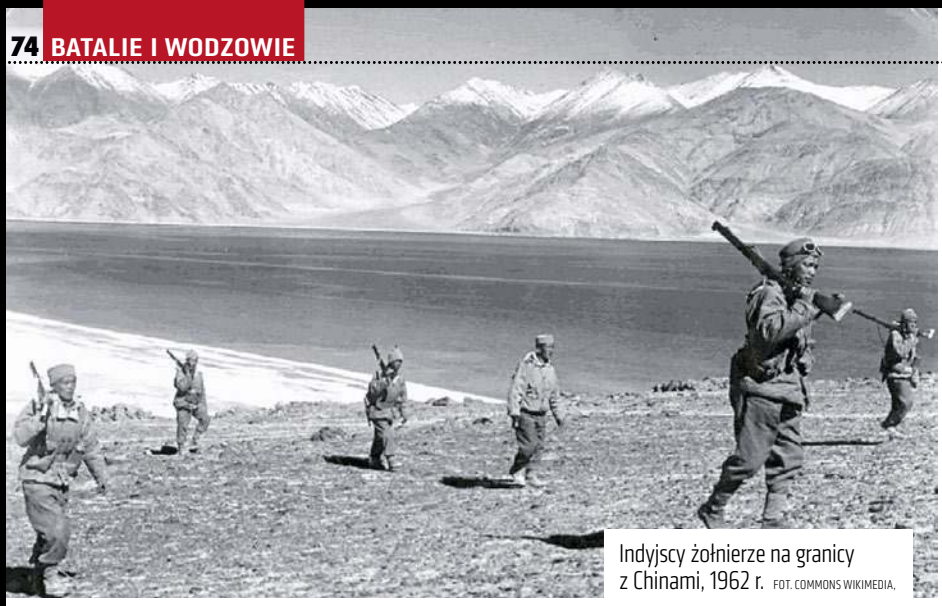


Mapa spornych terytoriów na pograniczu indyjsko-chińskim FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MAPS.LIB.UTEXAS.EDU

Wojna o langusty

W latach 50. XX w. Amerykanin Davis Morgan założył w Fortalezie w Brazylii przedsiębiorstwo przetwórstwa skorupiaków morskich, które

eprasa.pl 93b77a6ac4



Indyjscy żołnierze na granicy z Chinami, 1962 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA,

wkrótce dysponowało znaczącymi możliwościami połowu i przerabiania owoców morza. Dotychczas skorupiaki były łowione w niewielkich ilościach, na potrzeby lokalnej konsumpcji i jako przynęty na ryby, ale wraz z Morganem pojawiła się tam poważna infrastruktura. Okazję próbowali wykorzystać francuscy rybacy pełnomorscy, którzy po uzyskaniu niepodległości przez Mauretanię w 1960 r. stracili łowiska u jej brzegów.

Zagrożeni bankructwem, zdesperowani Francuzi uzyskali brazylijskie licencje dla trzech statków i zaczęli połowy na tamtejszych wodach terytorialnych, ponad 6 tys. km od wybrzeży Francji (dzięki amerykańskiemu przedsiębiorstwu w Fortalezie mogli przerabiać na miejscu owoce morza). Spotkało się to jednak z dużym niezadowoleniem miejscowych rybaków, wspieranych przez amerykańskie koncerny. W końcu licencje zostały Francuzom odebrane. Ci jednak nie zamierzali rezygnować. Mimo odmowy wydania nowych pozwoleń do brzegów Brazylii w grudniu 1961 r. dotarła nowa wyprawa. Tym razem rybacy chcieli łowić na wodach międzynarodowych, na których przysługiwało im prawo do żeglugi i połowu. Brazylijczycy jednak nie mieli zamiaru tego akceptować i w rejon połowów wysłali dwie korwety marynarki wojennej. W połowie grudnia zatrzymały one francuski statek rybacki „Casiopee". Francuzi oficjalnie zaprotestowali, wskazując na jawne pogwałcenie prawa międzynarodowego. Brazylijczycy nie odpuszczali, powołując się na podpisaną cztery lata wcześniej konwencję w sprawie szelfu kontynentalnego. Przewidywała ona, że gatunki zwierząt osiadłe na nim należą do państwa, do którego przynależy szelf. Francuzi argumentowali z kolei, że langusty nie są zwierzętami osiadłymi, ale przemieszczają się, wykonując kilkumetrowe skoki. Dlatego należy je traktować jak ryby.

Francuzi chcieli rozmów w tej sprawie, jednak Brazylia wybrała eskalację. W czerwcu 1962 r. fregata „Babitonga" zajęła statek „Plomatacha" i odprowadziła go do brazylijskiego portu. Kapitanowi zagrożono, że jeżeli jeszcze raz pojawi się na tych wodach, to statek zostanie skonfiskowany. Na rozwój sytuacji wpływ miały sprawy wewnętrzne w obu krajach. Słaby rząd prezydenta João Marquesa Goularta postrzegał eskalację konfliktu jako możliwość wzmocnienia swojej władzy. Francuzi, zajęci innymi sprawami w swoich koloniach, nie chcieli zwiększać napięcia, ale rozumieli, że ustępstwo w tej sprawie spowoduje żądania w innych podobnych przypadkach i wystawi na szwank reputację Francji jako mocarstwa.



Admirał Robert Blake. Obraz Henry'ego Perroneta Briggsa
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ROYAL MUSEUMS GREENWICH

Do końca 1962 r. trwała wymiana dyplomatycznych protestów przeplatana zatrzymywaniem i zwalnianiem statków rybackich. W lutym następnego roku w spornym rejonie znalazło się ich już dziewięć, co spowodowało ostre protesty miejscowych rybaków. Brazylijczycy ogłosili zakaz połowów i nakazali Francuzom opuszczenie łowisk. Prezydent de Gaulle nazwał Brazylię „niepoważnym państwem", a w jej kierunku skierowana została francuska fregata „Tartu".

Brazylijczycy po początkowym szoku zdecydowali się wysłać wsparcie w postaci krążownika i czterech niszczycieli. Nie było one jednak w pełni zdolne do akcji, a raporty o ich gotowości do akcji były (po wojskowemu) przesadzone. Brakowało prawie wszystkiego, z paliwem, amunicją i racjami żywnościowymi na czele. Co gorsza, załogi nie były przeszkolone do takich działań, a część marynarzy zwolniono na weekendowe przepustki, żeby potem w pośpiechu szukać ich po ulicach Rio de Janeiro, wzywając przez samochodowe megafony do powrotu na okręty. Do akcji włączył się też Waszyngton, zabraniając Brazylii używania wydzierżawionych od USA okrętów, a z drugiej strony naciskając na de Gaulle'a, który jednak nie zamierzał ulegać. Brazylijczycy wysyłali kolejne, zazwyczaj niezbyt sprawne okręty, a dodatkowo akwen zaczęły patrolować samoloty wojskowe.

W końcu Francuzi stracili cierpliwość. Z Casablanki w kierunku Dakaru wyruszyła grupa uderzeniowa z lotniskowcem „Clemenceau" na czele. Kierownictwo brazylijskiej marynarki lojalnie uprzedziło rząd, że starcie z nią może oznaczać koniec floty. Francuzi, wiedząc o tym, nie chcieli eskalować konfliktu. Dali Brazylijczykom szanse na wycofanie się z twarzą. Na początku marca 1963 r. zamienili „Tartu" na okręt pomocniczy „Paul Goffeny". Jednocześnie do Francji zaczęły wracać statki rybackie. Francuskie władze zaproponowały rozwiązanie sporu drogą mediacji przed Trybuna-

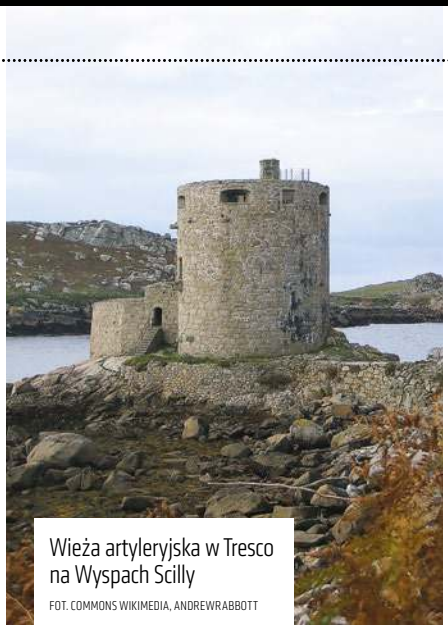
eprasa.pl 93b77a6ac4

łem Arbitrażowym w Hadze. „Wojna" zakończyła się zawarciem pięcioletniego porozumienia połowowego. Podpisali go przedstawiciele junty wojskowej, która obaliła prezydenta Goularta (jednym z głównym powodów puczu były właśnie jego działania podczas rybackiego konfliktu z Francją).

Wojna o pustki

Granice w wysokich partiach Himalajów nigdy nie były precyzyjnie wyznaczone. Mało kto się tam zapuszczał, bo zamieszkujące górskie doliny plemiona były zwykle wojownicze i potrafiły dawać bolesną nauczkę agresorom nieprzyzwyczajonym do tak trudnego terenu i klimatu. Prowadzona między Wielką Brytanią i Rosją tzw. Wielka Gra o panowanie w Azji, a także postęp cywilizacyjny sprawiły, że Anglicy w końcu zaczęli wytyczać tam stałe granice. Ta między brytyjskimi Indiami i Tybetem została określona w 1914 r. jako Linia McMahona. Mimo że Tybetańczycy nie do końca zgadzali się z jej przebiegiem, linia ta przetrwała rozpad brytyjskich kolonii i nadal wyznaczała granicę między niepodległymi już Indiami a Tybetem.

Po zajęciu tego ostatniego przez Chiny władze w Pekinie zaczęły zgłaszać zastrzeżenia co do jej przebiegu. Z powodu nieporozumień granicznych w 1962 r. wybuchła wojna indyjsko-chińska, ale ostatecznie linia McMahona pozostała nadal granicą, chociaż po wojnie zaczęła być nazywana Linią Faktycznej Kontroli. Do lat 80. obie strony nie kontrolowały tych trudnych terenów, nie chcąc eskalować konfliktu. Sytuacja zmieniła się wraz z powrotem do władzy Indiry Gandhi, która forsowała swoją doktrynę, zakładającą poszerzanie wpływów w Himalajach. Wybudowana infrastruktura pozwalała na dostęp do linii granicznej i patrolowanie jej latem. W czerwcu 1986 r. żołnierze z 12. Pułku Assam wrócili na posterunek na brzegu rzeki Sumdorong-Chu i zobaczyli kilkuset Chińczyków prowadzących intensywne prace budowlane na indyjskim brzegu na skrawku gruntu mierzącym niecały kilometr kwadratowy. Indusi zaczęli ściągać posiłki i patrolować granicę. W październiku wysłali tam całą brygadę.



Wieża artyleryjska w Tresco na Wyspach Scilly

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ANDREWRABBOTT

Deng Xiaoping ostrzegł, że jeśli Indusi nie przestaną naruszać granicy, „dostaną nauczkę". Indyjskie władze nie przestraszyły się, a nawet w 1987 r. prowokacyjnie podniosły nadgraniczny region Arunachal Pradesh do rangi stanu. Wiosną i latem obie strony podciągały na granicę kolejne siły. Chińczycy wysłali tam ok. 20 tys. żołnierzy, a dodatkowe osiem gotowych do akcji dywizji przenieśli do wschodniego Tybetu. Indusi do rozlokowanych już w rejonie 50 tys. żołnierzy podciągnęli jeszcze trzy dywizje. W gotowości było również lotnictwo myśliwsko-bombowe. Obie strony były zaopatrywane głównie z powietrza. Ich posterunki położone w wąskich górskich dolinach często niemal sąsiadowały ze sobą, znajdując się w odległości 50–100 m od siebie. W każdej chwili mogło dojść do wybuchu walk. Napięcie opadło dopiero po wizycie indyjskiego ministra spraw zagranicznych w Chinach, w maju 1987 r., i przeniesieniu rozmów na poziom polityczny. W 1993 r. podpisano porozumienie o redukcji wojsk w tym himalajskim regionie i do 1999 r. posterunki zostały odsunięte na odległość ok. 1 km od siebie.

Najdłuższa wojna w historii

Ofiar nie było też w bodaj najdłuższym konflikcie w historii. Angielski król Karol I po przegranym starciu z parlamentem został przez niego skazany na śmierć w 1649 r. Wyrok wykonano, ale ogniska buntu tliły się jeszcze długo. Ścięty król miał zwolenników zwłaszcza w Kornwalii. Część z nich, wyparta przez wojska Cromwella, schroniła się na pobliskich Wyspach Scilly, opływanych przez ciepłe prądy Golfsztromu. Były one we władaniu bliskiego przyjaciela przyszłego angielskiego króla Karola II, Johna Granville'a. Tam też schroniły się okręty rojalistów, łupiąc teraz statki Holendrów, którzy długo trzymali ich stronę. W końcu widząc nieuchronną wygraną parlamentu, rojaliści przeszli na stronę Cromwella.

Holendrzy wysłali na wyspy 12 okrętów pod dowództwem adm. Maartena Trompa, żeby ukrócić ten proceder i zażądać od wysp reparacji za wyrządzone szkody. Rojaliści nie zamierzali jednak płacić, więc admirał 30 marca 1651 r. wypowiedział im wojnę. Do dzisiaj toczą się spory, czy Tromp był upoważniony do jej wypowiedzenia i czy mógł to zrobić w stosunku do wysp, które były częścią królestwa Anglii, w którym toczyła się wojna domowa. Do czerwca wysłana przez Cromwella eskadra pod dowództwem adm. Roberta Blake'a zmusiła flotę rojalistów do kapitulacji, a wyspy wróciły pod władzę parlamentu. Holendrzy odpłynęli. W 1654 r. został zawarty traktat pokojowy między Anglią i Holandią, który powinien też był objąć pozostające już wówczas pod angielskim panowaniem Wyspy Scilly.

Przez stulecia wśród mieszkańców wysp przekazywana była jednak legenda, że wojna wciąż trwa. W 1985 r. lokalny historyk i przewodniczący rady wysp Roy Duncan zaczął badać sprawę i analizując dokumenty, doszedł do wniosku, że pokój nigdy nie został zawarty. Zwrócił się zatem do ambasady holenderskiej w Londynie z prośbą o wyjaśnienia. Obawy mieszkańców nie były bezzasadne – nie znaleziono żadnych dokumentów potwierdzających, że wojna formalnie została zakończona. Na prośbę Duncana w kwietniu 1986 r. na wyspy przybył holenderski ambasador Rein Huydecoper i podpisał traktat pokojowy. W ciągu 335-letniej wojny nie padł ani jeden strzał, nie było też jej żadnej ofiary, ale ogłoszenie „pokoju" było doskonałą okazją do promocji tego żyjącego głównie z turystyki regionu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93b77a6ac4



Taraśnice, kolubryny i kartauny

Armaty zdobyte przez Szwedów na Moskalach. Dziedziniec zamku Gripsholm

FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Wynalezienie prochu i zbudowanie broni miotającej pociski było wydarzeniem epokowym. Artyleria rozpowszechniła się na całym kontynencie ze zdumiewającą szybkością

Kiepski proch, lufy o niskiej wytrzymałości oraz kule wykonywane z kamienia, a także toporne klocowe łoża ograniczały stosowanie wczesnej artylerii do działań oblężniczych. Postęp, choć powolny, był jednak nieustający i już u schyłku średniowiecza umiejętnie użyta artyleria okazywała się wielce przydatna. W pierwszej połowie XV w. czescy husyci jako pierwsi skutecznie wykorzystali ją w działaniach polowych. W ich arsenale znajdowały się mniejsze taraśnice (osadzane na drewnianych i pozbawionych kół łożach rusztowaniach) oraz hufnice, które miały już lawetę mobilną, kołową. Największe działa, czyli bombardy, kładziono na drewnianych konstrukcjach i ustawiano na pozycjach przygotowanych do ostrzeliwania fortyfikacji. Specyfiką wojskowości husyckiej było wykorzystanie taboru (Wagenburg – zamek z wozów), będącego zasadniczym elementem bitewnej formacji. Wzmocniony działami był niemal nie do zdobycia.

Symbolem nowej epoki w dziejach artylerii stał się upadek Konstantynopola (1453). Świadek ówczesnych wydarzeń, Grek Kritobulos stwierdził, że to „działa zadecydowały o wszystkim". Sułtan Mehmet II zgromadził pod stolicą cesarstwa 69 dział, które rozmieszczono w 15 bateriach. Były wśród nich bombardy strzelające pociskami o wadze do 680 kg. Walki o stolicę Bizancjum stały się impulsem do zmian w fortyfikacjach. Średniowieczne mury zaczęto dostosowywać do nowych potrzeb. Poza zwiększeniem obrony biernej (niższe, grubsze mury) zapewniono możliwość aktywnej defensywy z wykorzystaniem dział (basteje).

Renesansowa rewolucja

W okresie renesansu konstruowanie dział opierało się już na obliczeniach, dzięki którym dawało się określać proporcje w budowie luf. W drugiej połowie XV w. najnowocześniejszą i najliczniejszą artylerię miała Francja. „Przyczyną tej metamorfozy było zastosowanie kul żelaznych i czopów odlewanych z ciała dział – pisał Konstanty Górski w »Historii artylerii polskiej«. – Oba te ulepszenia zostały wprowadzone we Francyi za panowania Karola VIII który na wojnę Włoską mógł już wyprowadzić 140 nowego kształtu armat na łożach kołowych".

Ponieważ żelazo ma znacznie większy ciężar gatunkowy niż kamień, nowa amunicja umożliwiła zmniejszenie kalibrów oraz wymiarów luf. Dzięki czopom osadzonym w panwiach łoża można było wygodnie nadawać kąt podniesienia. Wraz ze zmniejszaniem kalibrów lufy

eprasa.pl 93b77a6ac4



Szwedzka trzyfuntowa armata regimentowa z I połowy XVIII w. w muzeum Arsenalen
FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

uległy wydłużeniu. Lepszy materiał, którym był udoskonalony spiż (stop miedzi, cyny, cynku i ołowiu), pozwolił stosować znacznie większe ładunki prochu. W dłuższych lufach proch spalał się całkowicie, co przekładało się na większą prężność gazów. Upowszechniło się klasyczne dwukołowe drewniane łoże. Sprzyjało to ograniczeniu rodzajów sprzętu i wpłynęło na lepszą efektywność ognia oraz mobilność artylerii. Typ dział zaczęto określać według wagi pełnej kuli żelaznej podawanej w funtach (wagomiar).

Wyruszające w 1494 r. do Włoch wojska Karola VIII nazywane bywają przez historyków pierwszą nowoczesną armią, gdyż doszło w niej do planowej koordynacji działań artylerii, piechoty i kawalerii. Sile tej pierwszej nie były w stanie oprzeć się żadne zamki i twierdze. Żelazne kule bijące w jeden punkt u podstawy murów powodowały ich szybkie zawalenie się. Zmodernizowana artyleria zapewniała także przewagę w polu, czego dowiodła bitwa pod Fornovo (1495). Wobec wzrastającej roli artylerii dotychczasowy system bastejowy okazał się niewystarczający i w połowie XVI w. rozpoczęła się era bastionu, czyli dzieła fortyfikacyjnego założonego na planie pięcioboku; niskiego, wysuniętego przed lico murów (kurtyn) i doskonale dostosowanego do ogniowej obrony przedpola oraz flanek, a więc niwelującego problem martwych pól ostrzału. W tym samym mniej więcej czasie we Francji ustanowiono pierwszy klarowny system klasyfikacji sprzętu artyleryjskiego, czyli słynnych „sześć kalibrów Francji". Artyleria zyskała podstawy naukowe, a renesansowi teoretycy, tacy jak Włoch Niccolo Tartaglia, zapoczątkowali studia nad tajnikami balistyki. Upowszechniły się pierwsze przyrządy celownicze, w tym kwadrant umożliwiający nadanie żądanego kąta podniesienia lufy. Do określenia kalibru zastosowano tzw. skalę Hartmanna (działomierz).

Holenderskie porządki

U schyłku XVI w. dominowały na polu walki lufy długie i ciężkie, a działa dzieliły się na ordynalne, czyli porządkowe, i ekstraordynalne – pozaporządkowe (najdłuższe). Te pierwsze dodatkowo dzielono na legitymy (prawidłowe) i bastardy (nieprawidłowe). Do każdej z tych grup wchodziły lufy o odmiennych wagomiarach, z których najcięższymi były podwójne kolubryny (smoki), a najlżejszymi działka zwane świerszczami. Sprawę uprościli dopiero Holendrzy, którzy na początku XVII w. zaproponowali rewolucyjny podział oparty na systemie kartaun (ciężkich odprzodowych dział polowych) zamiast powszechnie dotychczas używanych długolufowych kolubryn. Zastosowanie lepszego gatunkowo spiżu i prochu umożliwiło bowiem upowszechnienie się luf krótszych, które nie traciły na swej mocy w stosunku do długich poprzedników. Wprowadzone przez Holendrów zmiany miały na celu stworzenie takiego sprzętu, który nadawałby się zarówno do walki oblężniczej, jak i do działań polowych. Nowy system stanowił wzorzec i wprowadził względny porządek. Najczęściej wymienia się cztery podstawowe kalibry: 48-funtowe kartauny (kaliber ok. 190 mm, waga kuli ok. 24 kg), 24-funtowe półkartauny (150/12), 12-funtowe ćwierćkartauny (120/6) i 6-funtowe oktawy (100/3).

System został udoskonalony przez króla Szwecji Gustawa II Adolfa (1611–1632), który chciał zapewnić armii polowej wsparcie artyleryjskie na każdym etapie walki. Wśród epokowych innowacji „Lwa Północy" wymienia się przede wszystkim lekkie 3-funtowe armatki regimentowe.

Holendrzy rozwinęli także stworzony przez Włochów system fortyfikacyjny. Zamiast kamienia i cegły zastosowali przede wszystkim ziemię, dzięki czemu istotnie wzrosła odporność bastionów i kurtyn na ostrzał; kule zamiast niszczyć mury, grzęzły w nich, nie czyniąc większej szkody.

Ojciec artylerii

Kulminację artyleryjskiej ewolucji w okresie nowożytnym stanowiły reformy Jeana Baptiste'a de Gribeauvala, zwanego „ojcem francuskiej artylerii". Ujednolicił kalibry i zmniejszył wagę luf do 150-krotnej wagi kuli (w poprzednim systemie Valliera ciężar luf sięgał 250-krotnej wagi kuli). Zmniejszając łoża, zwiększył jednocześnie średnicę kół, zaopatrując je w żelazne lane buksy (panewki) oraz osie z kutego żelaza. Dla ułatwienia w manewrowaniu działem łoża otrzymały liny zaczepiane do osi i haki u ogona do zaczepiania rzemiennych pasów. Aby zapewnić lufom jak najściślejsze wymiary, zaczęto poddawać je precyzyjnej obróbce, rezygnując jednocześnie ze zdobienia luf ornamentami. Francuz wprowadził miedziany wkręcany zapał i zastosował przyrządy celownicze: mechanizm śrubowy zamiast drewnianych klinów do celowania w pionie i muszkę na wylocie lufy. Standardem stały się gotowe ładunki. Przodki znacznie ułatwiły transport dział, a podręczny zapas amunicji przewożono w drewnianych skrzyniach spoczywających pomiędzy ścianami łoża.

Artylerii towarzyszyły w polu kuźnie polowe wraz z całym osprzętem oraz jaszcze amunicyjne, mieszczące ładunki. Zarówno przy produkcji dział, jak i amunicji do nich przestrzegano ściśle wymiarów. System Gribeauvala wprowadził niespotykany dotąd porządek. Słynny pruski generał Gerhard von Scharnhorst stwierdził (nieco przesadnie), że „kiedy w innych krajach artyleria stała na poziomie rzemiosła, we Francji staje się ona już nauką".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93b77a6ac4



Amfibia Conestoga

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SMITHSONIAN NATIONAL MUSEUM OF AMERICAN HISTORY

Wieki XIX–XX / Z wody na ląd (i na odwrót)

Amfibie na dnie



Tymoteusz Pawłowski

Był czas, gdy wydawało się, że amfibie zrobią wielką karierę. Splot kilku czynników przesądził jednak, że te ciekawe konstrukcje właściwie nie mają już przyszłości

Największym ograniczeniem technicznym w budowie takich pojazdów był brak odpowiedniego napędu. Na lądzie jako napęd wykorzystywano zwierzęta pociągowe, przede wszystkim woły. Mają one jednak pewną wadę: są parzystokopytne, trudno było je więc podkuwać, przez co niezbyt nadawały się do pracy na utwardzonych drogach. Gdy dróg takich pojawiało się coraz więcej – szczególnie w XVIII w. – woły zaczęły być zastępowane końmi, które mają jednak wiele wad: są drogie (w zakupie, a także w utrzymaniu), dość kapryśne i podatne na choroby, a przede wszystkim mają słaby uciąg, ok. dwóch–trzech razy mniejszy niż woły.

Pojazdy wodne również nie miały odpowiedniego napędu, choć w tym przypadku pomocny okazywał się wiatr. Ma on jednak podobną wadę jak wół: słabo nadaje się do ciągnięcia ładunków po utwardzonych drogach. To nie żart: statki żaglowe nie mogły operować na rzekach i na kanałach, których od XVIII w. budowano coraz więcej. Barki był holowane przez konie idące obok wody po utwardzonych drogach. Problem z napędem pojazdów lądowych i wodnych rozwiązało pojawienie się w latach 30. i 40. XIX w. silnika parowego. I tak transport na lądzie zdominowały parowozy, a na wodzie – parowce.

Oczywiście pojazdy lądowe zdolne do pływania były znane już wcześniej w Europie i w Azji – w postaci szczelnych wozów taborowych zdolnych do unoszenia się na wodzie – choć nie były zbyt popularne. Pływanie wymaga bowiem zapewnienia zapasu wyporności, a więc kadłuba o dużej objętości, a co za tym idzie – o dużej masie własnej. W wiekach XVIII i XIX takich wozów (zwanych Conestoga, od miasta w Pensylwanii) używano jednak w Ameryce do transportu ładunków na pograniczu między zagospodarowanymi stanami leżącymi na wybrzeżu a bliskim Dzikim Zachodem. Daleki Dziki Zachód „zdobywano" mniejszymi wozami, bez zdolności amfibijnych, ale lżejszymi i bardziej wszechstronnymi.

W latach 30. i 40. XIX w. powstawały oczywiście prototypy samobieżnych pojazdów amfibijnych, ale nie odnosiły one sukcesów. Pierwsze amfibie mechaniczne, które odniosły sukces komercyjny, działały zresztą niejako na odwrót. Były to bowiem statki potrafiące pokonać suchy teren. Od lat 70. XIX w. budowano w USA i Kanadzie płaskodenne holowniki do spławiania drewna, mogące same się przeciągać – za pomocą własnego silnika, wyciągarki i mocnej liny – pomiędzy rzekami.

Wzlot i upadek

Amfibie wcale nie muszą być pojazdami lądowymi zdolnymi do poruszania się po wodzie, w ogóle nie muszą być pojazdami lądowymi. Amfibia jest słowem pochodzącym ze starożytnej greki oznaczającym podwójne (amfis) życie (bios). W podstawowym znaczeniu odnosi się do płazów: organizmów mogących żyć na lądzie, ale z reguły wymagających wody do rozmnażania się. W początkach XX w. słowa tego zaczęto używać wobec pojazdów mogących działać również na wodzie. W tym czasie „dwuśrodowiskowość" była jednak przede wszystkim wodno-powietrzna.

W 1910 r. wzniósł się w powietrze „Hydravion" (dosłownie tłumaczy się

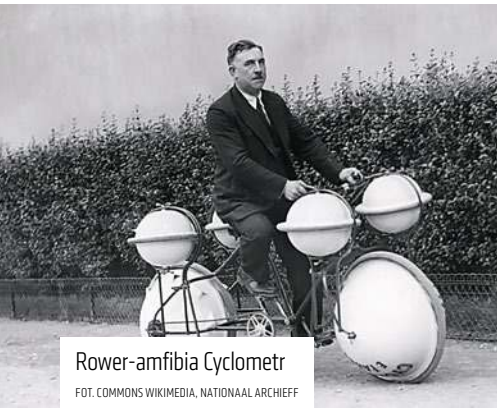
eprasa.pl 93b77a6ac4



VW typ 166 Schwimmwagen FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

to jako „wodnosamolot") konstrukcji Henri Fabre'a, a później nastąpiła pierwsza z wojen światowych. Dwudziestolecie międzywojenne było również dwudziestoleciem wodnosamolotów: barierą w rozwoju maszyn latających były przede wszystkim krótkie lotniska, więc używanie wody do startów i lądowań pozwalało na wyeliminowanie niektórych problemów logistycznych i technicznych. Druga z wojen światowych doprowadziła jednak do zbudowania mnóstwa betonowych pasów startowych. W ten sposób wodnopłatowce straciły na znaczeniu, szczególnie gdy okazało się, że starty i lądowania z wody niosły ze sobą kilkukrotnie większe ryzyko awarii i wypadków.

Druga wojna światowa, chociaż zakończyła karierę amfibii latających, stała się jednak złotym wiekiem amfibii wodno-lądowych. Były one koniecznością, wróg bowiem leżał – szczególnie z perspektywy Amerykanów i Brytyjczyków – za morzami i oceanami. Zwycięska dla aliantów faza wojny zaczęła się od desantu na wyspę Guadalcanal, kontynuowana była lądowaniem na plażach Normandii, a zakończyła się po sforsowaniu wezbranego powodziami Renu. Nauczono się wytwarzać gąsienicowe amfibie LVT zwane popularnie „aligatorami", kołowe ciężarówki DUKW czy mniejsze GPA. Co ciekawe, alianci skupili się na amfibiach transportowych, lekceważąc produkcję pływających czołgów. Te ostatnie najzwyczajniej nie sprawdzały się: albo miały zbyt cienki pancerz, albo zbyt łatwo tonęły.



Rower-amfibia Cyclometr
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAAL ARCHIEFF

Mistrzami czysto bojowych amfibii stali się natomiast Sowieci. Gdy przystąpili do wojny, mieli niemal tyle czołgów pływających, co ich największy wróg (Niemcy) wszystkich czołgów razem wziętych. Mistrzostwo było jednak wątpliwe i krótkotrwałe: błyskawicznie stracili swoje amfibie i później musieli korzystać z pomocy aliantów.

Amfibijny demobil

Po zakończeniu wojny amerykańskie amfibie stały się popularne na rynku cywilnym. Były tanie, łatwo dostępne i uniwersalne, można było je więc przerobić na wozy strażackie, pojazdy wyprawowe czy też autobusy turystyczne zapewniające atrakcyjną przejażdżkę ulicami starówki i spływ przepływającą przez miasto rzeką. Miały one jednak kilka wad, przede wszystkim były dość „niewygodnych" rozmiarów.

W latach 60. XX w. pojawiły się amfibie specjalnie zaprojektowane do celów komercyjnych. Największy sukces w kategorii rodzinnej odniósł niemiecki Amficar (pływający samochód), spokrewniony – zarówno technicznie, jak i ideologicznie – z wojennej produkcji Volkswagenem Schwimmwagenem. Największy sukces w kategorii amfibii ciężkich i superciężkich odniosły natomiast poduszkowce, potrafiące poruszać się nad wodą i lądem na poduszce powietrznej, transportując w swoich ładowniach tuziny innych samochodów.

Sukcesy były jednak ulotne. Amficary i poduszkowce były drogie i kosztowne w utrzymaniu. W latach 70. w światową gospodarkę uderzył kryzys paliwowy, a jednocześnie opracowano technologie pozwalające produkować tanie i niezawodne samoloty oraz helikoptery. Okazało się wówczas, że ludzi, których stać na amficary i poduszkowce, stać również na samoloty i helikoptery: szybsze, sprawniejsze, dające więcej frajdy podczas rekreacji i więcej możliwości podczas wykonywania niebezpiecznych prac.

Wciąż pozostawał jednak chłonny rynek militarny. Amficar odniósł pewien sukces, ale wyprodukowano jedynie 3878 sztuk tego pojazdu. Wojenny Volkswagen Schwimmwagen powszechnie uchodzi za porażkę, choć powstał w liczbie 15 584 egzemplarzy. Wojsko dużo zamawia i dobrze płaci, także za amfibie, więc produkowano je na masową skalę po obu stronach żelaznej kurtyny. Pojawiła się nawet moda na pływające bojowe wozy piechoty i transportery opancerzone. Wszyscy szykowali się bowiem do błyskawicznych uderzeń, podczas których szybkość forsowania przeszkód wodnych będzie miała olbrzymie znaczenie.

Ukraiński test

Gdy jednak skończyła się zimna wojna, nikt już nie chciał kupować uzbrojenia, również amfibii. Produkowano je tylko siłą rozpędu. Gwoździem do ich trumny okazały się wydarzenia na Ukrainie. Do tej pory wszyscy wierzyli, że nadchodząca wojna będzie bardzo dynamiczna i pełna manewrów, niczym ostatni konflikt światowy. Rzeczywistość okazała się jednak inna: manewry się nie udawały, a wojnę toczono w okopach, jak w latach 1914–1918. Priorytetem przestała być manewrowość, a stał się nim pancerz. Posowieckie amfibijne wozy bojowe skończyły w 2022 r., tak jak sowieckie pływające czołgi w 1941 r.: szybko i bez sukcesów.

Przyszłość amfibii wydaje się przesądzona. Nie ma dla nich miejsca ani na rynku cywilnym, ani na rynku militarnym. Być może przeżyją gdzieś w bagnach Amazonii albo na mokradłach Syberii, ale nawet i to nie jest pewne; źle im wróży rozwój lekkich pionowzlotów napędzanych wydajnymi silnikami elektrycznymi.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 93b77a6ac4

Niekończący się konflikt / Gaza na krawędzi



Palestyńczyk przy ciałach ofiar izraelskiego ataku w obozie dla uchodźców w mieście Dżabalija, 2023 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WAFA Q2915969 IN CONTRACT WITH A LOCAL COMPANY APAIMAGES

Lewica, prawica, Izrael



Piotr Zychowicz

Jeżeli Berlin brałby na poważnie swoje deklaracje, to powinien wspierać Palestyńczyków. A wspiera Izrael

Trudno w to uwierzyć, ale wojna w Strefie Gazy trwa już od ponad półtora roku. Przypomnijmy: 7 października 2023 r. Hamas dokonał bestialskiego ataku terrorystycznego na południowy Izrael. Zginęło 1,2 tys. Żydów, w tym 800 cywilów. W odwecie izraelska armia zastosowała zasadę odpowiedzialności zbiorowej i obróciła w gruzy Strefę Gazy, mordując ponad 50 tys. ludzi, w większości kobiet i dzieci.

Liczba ofiar jest szokująca – jest to najbardziej krwawa odsłona całego konfliktu bliskowschodniego od jego zarania w latach 20. i 30. XX w. Trudno więc się dziwić, że na całym świecie powstają kolejne książki na temat tej tragedii. Jedna z nich ukazała się właśnie w Polsce. To „Gaza w obliczu historii" lewicowego włoskiego historyka i politologa Enza Traversa.

Wiele wątków książki może się okazać niezwykle ciekawych i odkrywczych dla polskiego czytelnika. Przyzwyczailiśmy się do krytyki Stanów Zjednoczonych za ich bezkrytyczne wspieranie i zbrojenie Izraela. Krytyka ta jest oczywiście słuszna. To, co robi Ameryka, woła o pomstę do nieba. Traverso zwraca jednak uwagę na inne państwo Zachodu wspierające Izrael. Mowa o Niemczech.

Zakaz wjazdu

Niemcy stoją na stanowisku, że ze względu na Holokaust mają „wyjątkowe moralne zobowiązanie" wobec Izraela. Sprowadza się ono do wspierania Izraela na arenie międzynarodowej i przymykania oczu na zbrodnie na ludności cywilnej, których dokonują siły zbrojne tego państwa.

Mało tego, niemieckie władze kneblują swobodną debatę na temat gehenny Gazy. Jako przykład Traverso podaje odmowę wpuszczenia na swoje terytorium znanych krytyków Izraela, którzy mieli występować na konferencjach w Berlinie i Kolonii.

„Niektórzy zauważają – pisze autor – że Gaza to kolejne ludobójstwo wspierane lub dokonane przez Niemcy w ciągu niewiele ponad stulecia, począwszy od eksterminacji ludów Herero i Namaqua w kolonialnej Namibii na początku XX w., kończąc na Żydach, Romach i Sinti podczas drugiej wojny światowej. Obecnie

eprasa.pl 93b77a6ac4

krąży okrutny żart: Niemcy nie chciały tego przegapić, ilekroć dochodzi do ludobójstwa, stoją po stronie kata".

Słowa te są oczywiście publicystyczną przesadą. Czym innym jest dokonanie ludobójstwa, a czym innym wspieranie państwa dokonującego masowych mordów na ludności cywilnej. Co nie zmienia faktu, że krytyka postawy Niemiec jest słuszna.

Niemcy – jako państwo, które dokonało Holokaustu – na każdym kroku zapewniają, że zrobią wszystko, by ludobójstwo nigdy się nie powtórzyło. W przypadku konfliktu na Bliskim Wschodzie stoją jednak po stronie okupantów, a nie po stronie ofiar. Gdyby Berlin brał swoje deklaracje na poważnie, broniłby Palestyńczyków masakrowanych izraelskimi bombami.

Traverso idzie zresztą znacznie dalej w swoim poszukiwaniu historycznych analogii.

„Zniszczenie Gazy przez armię izraelską – pisze – przypomina zrównanie getta warszawskiego przez generała Stroopa w 1943 roku, a bojownicy wyskakujący z tuneli, by uderzyć w armię okupacyjną, która postrzegała ich jako »zwierzęta«, nieuchronnie przywodzą na myśl bojowników w getcie".

Znowu teza śmiała i brawurowa, ale przesadzona. Tak, metody stosowane przez Izrael są barbarzyńskie. Ale zestawienie bojownik Hamasu = bojownik ŻOB wydaje się chybione. Bojownicy ŻOB nie dokonali bowiem masakry niemieckiej ludności cywilnej.

„Wyjątkowy", czyli „lepszy"?

Drugi ciekawy wątek godny odnotowania to rozważania Traversa na temat wyjątkowości Holokaustu. Według włoskiego historyka Izrael – a wraz z nim Niemcy – stoi na gruncie, że zagłada europejskich Żydów była wydarzeniem absolutnie wyjątkowym w dziejach świata. Podejście takie jest, zdaniem Traversa, „moralnie wątpliwe", ponieważ tworzy „hierarchię wśród ofiar".

Pytanie, czy Holokaust był czy nie był wyjątkowy, jest oczywiście zadawane od lat i jest przedmiotem zażartej



ENZO TRAVERSO
„GAZA W OBLICZU HISTORII"
KSIĄŻKA I PRASA

debaty. Zdaniem piszącego te słowa: był i nie był.

Był – ponieważ każde ludobójstwo jest wyjątkowe. Ma bowiem miejsce w określonych okolicznościach, miejscu i czasie. A jego ofiarą padają konkretni ludzie. Jest to więc wydarzenie wyjątkowe, bo nigdy nie może się już powtórzyć w taki sam sposób.

W tym sensie Holokaust oczywiście był wyjątkowy. Nie może być jednak zgody na używanie określenia „wyjątkowy" w kontekście „lepszy" niż inne ludobójstwa. Traverso ma bowiem rację, że prowadzi to do hierarchizacji ofiar. Podziału na ofiary pierwszej kategorii (Holokaust) i drugiej kategorii (wszystkie inne ludobójstwa w dziejach świata).

Na podobny zabieg nie może się zgodzić żaden myślący w sposób logiczny (i empatyczny) człowiek. Życie każdego zamordowanego dziecka jest bowiem warte tyle samo. Jest bezcenne. Niezależnie, czy jest to dziecko żydowskie zgładzone w Auschwitz, dziecko ukraińskie zagłodzone podczas wielkiego głodu, dziecko z plemienia Tutsi zasieczone maczetą w Rwandzie czy dziecko kambodżańskie zastrzelone na Polach Śmierci Pol Pota.

Świat na lewo

Inne fragmenty książki Traversa skłaniają z kolei do polemiki. Niestety, jak wielu lewicowych intelektualistów włoski politolog ma tendencję do postrzegania rzeczywistości przez pryzmat swojej ideologii. Zgodnie z jego wizją świata Palestyńczyków wspierają obecnie wszyscy lewicowcy i postępowcy. A z kolei Izrael popierają konserwatyści, faszyści i reakcjoniści.

Jest to oczywiście nieprawda. Empatia i współczucie wobec cierpienia drugiego człowieka nie mają nic wspólnego z poglądami politycznymi. Można być prawicowcem i jednocześnie krytykiem izraelskiego terroru w Strefie Gazy. I odwrotnie. Można być lewicowcem i zagorzałym syjonistą. Życie często jest bardziej skomplikowane niż ideologiczne schematy.

℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Opatrywanie rannych Palestyńczyków w szpitalu Al-Shifa, 2023 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WAFA Q2915969 IN CONTRACT WITH A LOCAL COMPANY APAIMAGES

eprasa.pl 93b77a6ac4

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

CHOĆ WŁADYSŁAW SHEYBAL ZAGRAŁ W KILKUDZIESIĘCIU FILMACH I SERIALACH, TO W POLSCE W OKRESIE PRL, NIE PISANO O NIM I JEGO ROLACH.
URODZIŁ SIĘ W 1923 ROKU W ZGIERZU, A JUŻ CZTERY LATA PÓŹNIEJ JEGO RODZINA PRZEPROWADZIŁA SIĘ DO KRZEMIEŃCA. W CZASIE WOJNY NAJPIERW BYŁ ŚWIADKIEM ZBRODNI ARMII CZERWONEJ, A PÓŹNIEJ WKROCZENIA DO MIASTA NIEMCÓW. PRZENIÓSŁ SIĘ DO WARSZAWY, GDZIE PRZYSTĄPIŁ DO EGZAMINU DO PODZIEMNEGO PAŃSTWOWEGO INSTYTUTU SZTUKI TEATRALNEJ I CHOĆ NIE POSZŁO MU NAJLEPIEJ, TO JEDNAK OSTATECZNIE ZOSTAŁ PRZYJĘTY. PO POWSTANIU WARSZAWSKIM TRAFIŁ DO NIEMIECKIEJ NIEWOLI I WYWIEZIONO GO DO OBOZU W ALTWARP. BYŁ JUŻ W TRANSPORCIE WIĘŹNIÓW SKAZANYCH NA EGZEKUCJĘ, JEDNAK...



PO TEJ UCIECZCE PRZEDOSTAŁ SIĘ DO KRAKOWA, GDZIE ZNALAZŁ SCHRONIENIE – UKRYWAŁA GO MALARKA HANNA RUDZKA-CYBISOWA. PO WOJNIE WYSTĘPOWAŁ W TEATRACH W ŁODZI, KRAKOWIE, KATOWICACH I WARSZAWIE. PRZEŁOMEM OKAZAŁ SIĘ WYSTĘP W FILMIE **„KANAŁ"** ANDRZEJA WAJDY, W KTÓRYM ZAGRAŁ KOMPOZYTORA MICHAŁA.



DZIĘKI TEJ ROLI W 1957 ROKU OTRZYMAŁ ZGODĘ NA MIESIĘCZNE STYPENDIUM W PARYŻU. JEDNAK PO UPŁYNIĘCIU TEGO CZASU POSTANOWIŁ NIE WRACAĆ DO KOMUNISTYCZNEJ POLSKI, W KTÓREJ NIE WIDZIAŁ MIEJSCA DLA SIEBIE. PO LATACH TAK TO SKOMENTOWAŁ: „WYJECHAŁEM, BO NIE MIAŁEM NADZIEI. NIE WIERZYŁEM W TE WSZYSTKIE ZMIANY, KTÓRE JUŻ WKRÓTCE OKAZAŁY SIĘ ZŁUDNE". Z FRANCJI WYJECHAŁ DO ANGLII, A JEGO OSOBĄ ZAINTERESOWAŁY SIĘ SŁUŻBY PRL.



CO PRAWDA PROWADZENIE ROZPRACOWANIA ZAKOŃCZONO W 1961 ROKU, JEDNAK ZARÓWNO AKTORA, JAK I JEGO RODZINĘ, W KOLEJNYCH LATACH SPOTYKAŁY SZYKANY ZE STRONY WŁADZY. SHEYBALOWI NIE UDZIELONO POZWOLENIA NA PRZYJAZD DO POLSKI NA POGRZEB RODZICÓW, A W MEDIACH OBOWIĄZYWAŁ ZAKAZ MÓWIENIA I PISANIA O NIM.

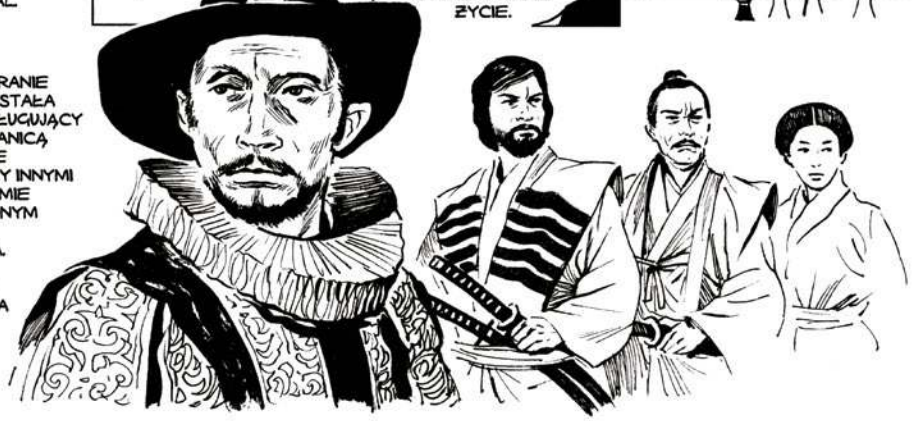
POD KONIEC LAT 50. POZNAŁ POCZĄTKUJĄCEGO AKTORA SEANA CONNERY'EGO I TO WŁAŚNIE ON KILKA LAT PÓŹNIEJ ZAPROPONOWAŁ, ABY ROLĘ CZECHOSŁOWACKIEGO MISTRZA SZACHOWEGO KRONSTEENA (BĘDĄCEGO JEDNOCZEŚNIE CZŁONKIEM TAJNEJ ORGANIZACJI SPECTRE) W DRUGIM FILMIE O PRZYGODACH **JAMESA BONDA – AGENTA 007**, ZAGRAŁ WŁAŚNIE SHEYBAL.





TAK FAKTYCZNIE SIĘ STAŁO. CHOĆ W **„POZDROWIENIACH Z MOSKWY"** NA EKRANIE BYŁ PRZEZ KILKA MINUT, TO TA ROLA ZOSTAŁA ZAUWAŻONA I WŁADYSŁAW SHEYBAL (POSŁUGUJĄCY SIĘ ŁATWIEJSZYM DO WYMÓWIENIA ZA GRANICĄ IMIENIEM VLADEK) OTRZYMYWAŁ KOLEJNE PROPOZYCJE FILMOWE. WYSTĄPIŁ MIĘDZY INNYMI U BOKU NAJWIĘKSZYCH GWIAZD KINA W FILMIE **„CASINO ROYALE"**, A TAKŻE NAGRODZONYM ZŁOTYM GLOBEM I OSCAREM FILMIE **„ZAKOCHANE KOBIETY"** KENA RUSSELLA. ZAGRAŁ RÓWNIEŻ W WIELU FILMACH SZPIEGOWSKICH Z LAT 70. I 80. WIDZOWIE ZAPAMIĘTAJĄ GO TAKŻE Z ROLI KAPITANA FERRIERY W SERIALU **„SHOGUN"**, W KTÓRYM WYSTĄPIŁ OBOK RICHARDA CHAMBERLAINA I TOSHIRO MIFUNE.

ZMARŁ 16 PAŹDZIERNIKA 1992 ROKU.



eprasa.pl 93b77a6ac4

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA Z TERESĄ ROMER ROZMAWIA MICHAŁ LEWANDOWSKI: „CZUJĘ SIĘ UPRZYWILEJOWANA”

Czuję się uprzywilejowana

Ilość archiwaliów niezbadanych i wymagających opracowania wciąż przyprawia o zawrót głowy. Uwaga uczonych skupia się zwykle w większym stopniu na tego rodzaju źródłach „poważnych”, a tymczasem gdzieś z boku na głos cierpliwie czekają świadkowie Historii. Ich świadectwa są nie mniej ważnie od urzędowych protokołów, raportów i sprawozdań. Badacze zainteresowani dziejami emigracji polskiej po roku 1939 coraz częściej wykorzystują konwencję „książek mówionych”.

Wyścig z czasem trwa. Ostatni świadkowie Historii odchodzą cicho i niepostrzeżenie. Coraz trudniej znaleźć nie tylko uczestników tamtych wydarzeń, ale również ich bliskich krewnych, którzy w sposób świadomy przeżywali tę Historię z nimi.

Do osobistych świadectw bezwzględnie zasługujących na bycie usłyszanymi i zapamiętanymi należy opowieść pani Teresy Romer. Historykom dokumentującym dzieje polskiej emigracji jest to postać doskonale znana. Wszak to głównie dzięki jej wysiłkom pamięć o zasługach Tadeusza Romera jest powoli przywracana, a jego wkład w kształtowanie polskiej polityki zagranicznej w trudnych latach II wojny światowej zyskuje należyte uznanie. Córka polskiego dyplomaty od wielu lat niestrudzenie przypomina pracę ojca na rzecz utrzymania ciągłości państwowości polskiej po katastrofie wrześniowej oraz jego heroiczną walkę o ratunek dla uchodźców polskich i żydowskich na Dalekim Wschodzie.

(fragment Przedsłowia)



159 zł

oszczędność 43 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 93b77a6ac4

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Inwestuj w uczciwość!
Kup akcje Do Rzeczy S.A.

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Inflacja, podatki, tania energia – czas mówić prawdę o gospodarce.”



Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA **New/Connect (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl 93b77a6ac4